



MASKARADA
SZALEŃCÓW

Wampiry
z Morganville

RACHEL
CAINE


AMBER

RACHEL CAINE

MASKARADA SZALEŃCÓW

ZDARZYŁO SIĘ WCZEŚNIEJ...

Claire Danvers chciała studiować na Caltech. Albo może na MIT. Wybrała kilka świetnych uczelni... Ale rodzice nie palili się wysyłać szesnastolatkę w świat, gdzie na młodą, naiwną dziewczynę czyha tyle niebezpieczeństw. Zaproponowali więc kompromis: przez rok Claire miała studiować na Uniwersytecie Texas Prairie, niewielkiej uczelni w Morganville, w stanie Teksas, zaledwie godzinę drogi od domu...

Ale Morganville nie jest zwykłym miastem, jak się z pozoru wydaje. To azyl wampirów, a ludzie, którzy tu mieszkają na stałe lub przyjechali na studia, nie są bezpieczni. Miastem rządzą wampiry...

Jakby tego było mało, Claire narobiła sobie wrogów, groźnych wrogów, i wśród ludzi, i wśród wampirów. Teraz mieszka z Michaelem Glassem (od niedawna wampirem), Eve Rosser (od zawsze Gotką) i Shane'em Collinsem (którego chwilowo nieobecny ojciec para się zabijaniem wampirów). Claire jest tu jedyną normalną osobą... Czy raczej byłaby, gdyby nie zaangażowała się tak bardzo w życie Morganville. Została współpracownicą założycielki miasta, Amelie, i przyjaciółką najniebezpieczniejszego, a jednocześnie najbardziej bezbronnego wampira ze wszystkich - Myrnina.

I właśnie kiedy wydaje jej się, że gorzej już być nie może... robi się jeszcze gorzej.

Ojciec Amelie, też wampir, przyjeżdża do miasta i jest bardzo niezadowolony.

A kiedy tatuś jest niezadowolony... wszyscy tracą humor.

ROZDZIAŁ 1

Trudno sobie wyobrazić, że ten dzień - nawet jak na Morganville - mógłby być gorszy... Ale wampiry, których zakładniczką była Claire, zażyczyły sobie śniadania.

- Śniadanie? - powtórzyła zdziwiona. Spojrzała za okno, jakby chciała się na wszelki wypadek upewnić, ale faktycznie, było ciemno.

Trzy wampiry spojrzały na nią. Już i tak czuła się nieswojo, kiedy koncentrowała się na niej uwaga tych dwojga, którym nie została przedstawiona jak należy - mężczyzny i bardzo pięknej kobiety. A gdy pan Bishop wbił w nią zimny wzrok, chciała zwinąć się w kłębek i zniknąć.

Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka sekund, a potem spuściła oczy. Prawie czuła jego uśmiech.

- Śniadanie jada się rano - wycedził. - Dla wampirów „rano” nie znaczy wtedy, gdy wschodzi słońce. A poza tym lubię jajka.

- Jajecznice czy sadzone? - spytała Claire, próbując nie okazywać zdenerwowania.

- Proszę, nie mów, że sadzone. Nie wiem, jak się smaży jajka sadzone. Nie mam pojęcia, dlaczego je zaproponowałam. Nie mów, że sadzone...

- Jajecznice - powiedział i Claire głęboko odetchnęła. Bishop siedział w salonie w wygodnym fotelu, który zwykle zajmował Michael, kiedy grał na gitarze. Wampir siedział w fotelu jak na tronie. Claire miała takie wrażenie, bo ona i trzymający się blisko niej Shane, a także' Eve i Michael stali. Claire zaryzykowała i rzuciła okiem na Michaela. Minę miał... obojętną. Był zły, to jasne, ale przynajmniej nad złością panował.

Claire bardziej niepokoiła się o Shane'a. Wiedziała, że gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo jego bliskich, działał impulsywnie, bez zastanowienia. Wzięła go za rękę, a on rzucił jej chmurne spojrzenie. Nie, co do niego pewności wcale nie miała.

Bishop znów przyciągnął jej uwagę, bo zapytał:

- Dziewczyno, powiadomiłaś Amelie o naszym przyjeździe? To było pierwsze polecenie Bishopa - dać znać jego córce, że przyjechał do miasta. Jego córce?! Claire do głowy nie przyszło, że Amelie, najważniejsza wampirzyca w Morganville, ma rodzinę, nawet tak przerażającą jak ten cały Bishop. Wampirzyca była zimna jak lód, nieludzka.

Ojciec Amelie czekał na odpowiedź, więc Claire szybko wzięła się w garść.

- Dzwoniłam, ale włączyła się poczta - wyjaśniła. Próbowała mówić stanowczym tonem, żeby Bishop nie sądził, że się tłumaczy z niewykonanego polecenia. Wampir zmarszczył brwi ponuro.

- Jak rozumiem, zostawiłaś jej wiadomość. - Claire pokiwała głową. - No dobrze. Czekając na Amelię, zjemy. Jak mówiłem, jajecznice. Poprosimy też o bekon, kawę...

- Herbatniki - wpadła mu w słowo kobieta, przeciągając samogłoski. Oparła się o fotel, w którym siedział Bishop. - Bardzo lubię herbatniki. Z miodem. - Wampirzyca mówiła ze śpiewnym akcentem z Południa. Bishop spojrzał na nią trochę tak, jak człowiek spogląda na ulubione domowe zwierzę. W oczach miała lodowate ogniki i poruszała się tak szybko i cicho, że w żaden sposób nie

można by jej wziąć za zwykłą kobietę. I wcale tego nie ukrywała, tak jak próbowały to robić niektóre wampiry z Morganville.

Kobieta uśmiechała się, nie odrywając oczu od Shane'a. Claire nie spodobał się sposób, w jaki na niego patrzyła. Patrzyła zachłannie.

- Herbatniki - zgodził się Bishop z dziwnym uśmieszkiem. - Sprawię ci nawet większą przyjemność, dziecko, bo proponuję do nich sos. - Uśmiech zniknął, kiedy znów spojrzał na czwórkę stojących przed nim ludzi. - A wy idźcie do swoich zajęć. Już.

Shane złapał Claire za rękę i właściwie ciągnął ją do kuchni. Michael był szybszy i pierwszy pchnął Eve przez drzwi.

- Przecież idę! - zaprotestowała.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedział Michael. Jego zwykle miła twarz była surowa, jakby składała się tylko z ostrych linii. Kiedy już schronili się w kuchni, zamknął drzwi. - Dobra. Wie mamy wielkiego wyboru. Róbmy, co nam każe, i miejmy nadzieję, że Amelie załatwi sprawę, kiedy się tu pojawi.

- A ja myślałem, że to ty jesteś wrednym krwiopijcą... - parsknął Shane. - Przecież to twój dom. Jak to się dzieje, że nie możesz ich wyrzucić? - To było rozsądne pytanie i Shane'owi udało się zadać je tak, żeby nie brzmiało jak wyzwanie. No cóż, przynajmniej nie za bardzo. Claire zauważyła, że w kuchni jest zimno, jakby w całym domu temperatura ciągle się obniżała. Zadrżała.

- To skomplikowane. - Michael zabrał się do parzenia świeżej kawy. - Tak, to nasz dom... - Claire zauważyła, że położył nacisk na słowo „nasz” - ale jeśli cofnę Bishopowi zaproszenie, on i tak nam skopie tyłki, tyle mogę ci zagwarantować. Shane oparł się o kuchenkę i skrzyżował ramiona na piersi.

- Ja po prostu myślałem, że powinieneś być silniejszy od nich, grając na własnym boisku.

- Powiniennem, ale nie jestem. Nie wydziwiał mi tu teraz, nie mamy na to czasu.

- Stary, wcale nie chciałem wydziwiać. - Claire wyczuła, że tym razem Shane mówi szczerze. Michael też to chyba wiedział, bo rzucił Shane'owi przeproszające spojrzenie. - Próbuję się zorientować, jak głęboko wdepnęliśmy w to łajno. Wcale cię nie obwiniam, człowieku. - Zawahał się na sekundę, a potem ciągnął: - Skąd wiesz, czy masz szansę, czy nie?

- Kiedy spotykam wampira, wiem, na czym stoję. Kto jest silniejszy, kto słabszy i czy powiniennem stawać z nimi do otwartej walki, gdyby coś się kroilo. - Michael dolał wody do ekspresu i włączył zaparzanie. - Z tymi tam wiem, że nie miałbym najmniejszej szansy. Nawet przeciwko jednemu, a co dopiero całej trójce, choćby i mając wsparcie domu. Oni są twardzi, człowieku. Naprawdę twardzi. Trzeba będzie Amelie albo Olivera, żeby sobie z nimi poradzić.

- A więc - podsumował Shane - tkwimy w tym łajnie po uszy. Dobrze wiedzieć.

Eve odsunęła go na bok i zaczęła wyjmować z szafek rondle.

- Skoro się nie kłócimy, to może lepiej zacznijmy szykować im śniadanie - powiedziała. - Claire, zabieraj się do jajecznicy, skoro zaproponowałaś nas na kucharzy.

- Dobrze, że nie zaproponowałaś nas na śniadanie - stwierdził Shane, a Eve parsknęła.

- Ty - powiedziała i dźgnęła go palcem - ty, szanowny kolego, zrobisz sos.

- Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli, tak?

- Zamknij się. Ja przygotowuję herbatniki i bekon. Michael... - Obejrzała się i spojrzała na niego wielkimi, ciemnymi oczami, które mocno podkreśliła czarnym eyelinerem, wyglądała jak postać anime. - Kawa. Będziesz naszą wtyczką. Wybacz.

- Okay, pójdę i zobaczę, co tam robią.

Obarczenie Michaela funkcją kelnera i szpiega wydawało się rozsądne, ale w efekcie śniadanie dla wampirów musieli przygotować we trójkę, a nikt z nich nie miał zadatków na mistrza patelni. Claire smażyła jajecznicę, Eve szeptem wściekle klęła tłuszcz, który wytapiał się z bekonu, a cokolwiek robił Shane, sosu do herbatników na pewno to nie przypominało.

- Mogę w czymś pomóc?

Wszyscy podskoczyli, a Claire odwróciła się gwałtownie w stronę drzwi.

- Mama! - Wiedziała, że w jej głosie słychać panikę. Zupełnie zapomniała o swoich rodzicach - przyjechali razem z Bishopem, a przyjaciele Bishopa zaprowadzili ich do mało używanej bawialni od frontu domu. Bishop zajął wygodniejszy pokój. Teraz jej matka stała w drzwiach kuchni, uśmiechała się nerwowym, niepewnym uśmiechem i wydawała się... bezradna, zmęczona.

- Proszę pani! - Eve położyła rękę na ramieniu pani Danvers skierowała ją w stronę stołu. - Nie, nie, my tylko... szykujemy coś do jedzenia. Nic pani nie jadła, prawda? A pan Danvers?

Jej matka - wyglądająca na swoje czterdzieści dwa lata, do których nie lubiła się przyznawać - była znużona, półprzytomna, rozkojarzona. I denerwowała się. Wokół jej oczu i ust widać było nowe zmarszczki, które Claire widziała po raz pierwszy. Wystraszyło ją to.

On... - Mama Claire zmarszczyła brwi, a potem oparła czoło na dłoni. - Och, głowa mnie boli. Przepraszam, co mówiłaś? Pytałam, gdzie pani mąż.

- Ja go znajdę - zaferował się Michael. Wymknął się z kuchni z szybkością wampira, ale on przynajmniej był ich własnym wampirem. Eve usadziła mamę Claire przy stole, wymieniła z Claire bezradne spojrzenia i zaczęła nerwowo mówić długiej drodze samochodem do Morganville, o tym, jaka to miła niespodzianka, że się przeprowadzają do miasta i że Claire będzie się bardzo cieszyła, mając ich tak blisko. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Claire dalej bezmyślnie mieszała jajka na patelni. To się przecież nie mogło dziać naprawdę! Nie wierzę, że moi rodzice tu są. Nie teraz. Nie, gdy Bishop jest tutaj. Z którejkolwiek strony spojrzeć, to był koszmar.

- Może wam pomogę - zaproponowała mama bez większe go przekonania i zaczęła się podnosić. Eve zerknęła na Claire bezgłośnie rzuciła: „Powiedz coś!” Claire spróbowała mówić spokojnie.

- Nie, mamó. Nie trzeba. Zrobimy trochę więcej jedzenia, bo ty i tata też pewnie jesteście głodni? Poradzimy sobie, a ty odpoczywaj.

Mama, która zwykle w kuchni dostawała kota i próbowała dyrygować nawet gotowaniem wody, zrobiła taką minę, jakby jej ulżyło.

- Dobrze, kochanie. Jeśli będę mogła w czymś pomóc, to daj mi znać.

Drzwi do kuchni otworzyły się i stanął w nich Michael z ojcem Claire. O ile jej mama wyglądała na zmęczoną, to tata... był ogłupiały. Oszołomiony. Marszczył brwi i przyglądał się Michaelowi, jakby próbował zorientować się w sytuacji, ale nie mógł sobie tego wszystkiego poukładać.

- Co się tu dzieje? - warknął. - Ci ludzie tam...

- Rodzina - wyjaśnił Michael. - Z Europy. Przepraszam pana. Wiem, że chcieli państwo spędzić trochę czasu z Claire, ale może na razie powinniście wrócić do siebie i...

Przerwał, a potem obejrzał się, bo ktoś za nim stanął. Jakby za nim szedł.

- Nikt nigdzie nie idzie - powiedział drugi z towarzyszących Bishopowi wampirów. Facet. Uśmiechnął się. - Jedna wielka rodzina, prawda, Michael? Bo masz na imię Michael, prawda?

- A co, teraz już jesteśmy na ty? - Michael wprowadził tatę Claire do kuchni i zamknął

wampirowi drzwi przed nosem.

- Dobra. Zabierzmy was stąd - powiedział do rodziców Claire i otworzył tylne drzwi, te, które wychodziły na podwórko za domem. - Gdzie wasz samochód? Od ulicy?

Noc wydawała się czarna, nawet księżyc nie świecił. Tata Claire znów spojrzał na Michaela niechętnie, a potem usiadł przy stole obok żony.

- Zamknij drzwi, synu - powiedział. - Nigdzie się nie wybieramy.

- Proszę pana...

Claire też spróbowała:

- Tato...

- Nie, kochanie, tutaj dzieje się coś dziwnego i ja nigdzie się stąd nie ruszam. Nie, dopóki nie przekonam się, że nic wam nie grozi. - Ojciec znów przeniósł pochmurne spojrzenie na Michaela. - Kim są ci twoi... krewni?

- Takimi krewnymi, do których nikt nie lubi się przyznawać - odparł Michael. - W każdej rodzinie tacy są. Ale przyjechali na krótko. Niedługo wyjadą.

- No to zostaniemy do ich wyjazdu - zapowiedział tata. Claire próbowała skupić się na jajeczniczy. Ręce jej się trzęsły.

- Hej - szepnął Shane, nachylając się do niej blisko. - Wszystko w porządku. Nic nam nie będzie. - Był taki duży, silny. Stał obok niej i mieszał coś, co z całą pewnością nie przypominało sosu. Wiedziała to głównie dlatego, że Shane nie umiał ugotować nic oprócz chili. Ale przynajmniej próbował teraz czegoś nowego, co też chyba wskazywało, jak poważnie traktuje sytuację, w jakiej się znaleźli.

- Wiem - powiedziała Claire i z trudem przełknęła ślinę.

Shane przysunął się bliżej. Wiedziała, że gdyby nie miał zajętych rąk, objąłby ją. - Michael nie pozwoli im nas skrzywdzić.

- Nie słuchałeś? - Eve stanęła obok nich przy kuchence i szeptała gorączkowo. Spojrzała gniewnie na smażący się bekon. - On ich nie powstrzyma. W najlepszym razie, kiedy będzie próbował, narazi się na poważne niebezpieczeństwo. Może powinnaś jeszcze raz zadzwonić do Amelie i powiedzieć jej, żeby wreszcie ruszyła swój wszechpotężny tyłek i pofatygowała się tutaj.

- Tak, świetny pomysł, wkurzyć jedyne wampira, który może nam pomóc. Słuchaj, gdyby chcieli nas pozabijać, to wątpię, żeby najpierw zażyczyli sobie jajek - powiedział Shane. - Nie mówiąc już o herbatnikach. Jeśli ktoś prosi o herbatniki, to widać, że mimo wszystko uważa się za czyjś gościa. W sumie miał trochę racji. Ale Claire i tak drżały ręce.

- Claire, kochanie? - Znów głos jej mamy. Claire podskoczyła i o mały włos nie upuściła pełnej łyżki jajek na blat kuchenki. - Tamci ludzie. Co oni tu właściwie robią?

- Pan Bishop... Hm, on czeka na córkę, która ma tu po niego przyjechać. - To przecież nie było kłamstwo. Wcale a wcale.

Ojciec Claire wstał od stołu i podszedł do ekspresu do kawy. Nalał napar do dwóch kubków, jeden podał mamie Claire.

- Napij się, Kathy. Jesteś chyba zmęczona - powiedział.

W jego głosie pojawiła się łagodna nuta, która kazała Claire przyjrzeć mu się uważnie. Jej tata nie zaliczał się do przesadnie uczuciowych facetów, ale teraz minę miał zatroskaną, prawie tak samo jak jej mama. Tata wypił kawę jak wodę po skoszeniu trawnika. Mama nerwowo słodziła swoją i dolewała śmietanki, a potem zaczęła pić małymi łykami. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Michael zaniósł kawę wampirem. Kiedy wrócił, twarz miał prawie białą, znużoną, wyglądał gorzej niż w tych miesiącach, zanim został zamieniony w wampira. Claire próbowała sobie wyobrazić, co oni mogli mu takiego powiedzieć, że miał teraz taką minę, ale nic jej nie przychodziło do głowy. To musiało być coś złego. Nie, nie złego, straszego.

- Michael? - odezwała się zdenerwowana Eve. Skinęła głową w stronę rodziców Claire. - Kawa jeszcze potrzebna?

Pokiwał głową i zrobił krok w kierunku ekspresu, gdy drzwi znów się otworzyły i do kuchni wszedł Bishop ze swoją świtą. Wampiry z wyniosłymi minami rozejrzały się po kuchni. Kobieta i mężczyzna byli młodzi, piękni i przerażający, ale to Bishop tu dowodził, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Kiedy na nią spojrział, Claire drgnęła i zaczęła nerwowo mieszać jajka na patelni.

Wampirzyca podeszła bliżej i zanurzyła palec w sosie, który robił Shane. Potem oblizwała palec. Nie spuszczała Shane'a z oczu. A Shane, co Claire zauważyła z niemiłym, bezradnym zdziwieniem, wcale wzroku nie odwrócił.

- Usiądziemy teraz do śniadania - oznajmił Bishop. - Michael, będziesz miał przyjemność obsługiwania nas. A jeśli twoi mali przyjaciele zdecydują się spróbować mnie otruć, to wyrwę ci flaki, a wierz mi, że wampir może cierpieć bardzo, bardzo długo, jeśli tego zechce.

Michael skinął głową. Claire odruchowo zerknęła na swoich rodziców, którym ta uwaga nie mogła przecież umknąć.

- Słucham?! - spytał tata Claire i zaczął wstawać. - Czy pan tym dzieciom grozi?

Bishop spojrział na niego, a Claire z rozpaczą zaczęła się zastanawiać, czy rozgrzana żeliwna patelnia z jajecznicą mogłaby stanowić dobrą broń przeciwko wampirovi. Jej tata zamarł w pół gestu.

Poczuła, że przez kuchnię przebiega jakaś wibracja, a oczy jej rodziców znów zrobiły się mętne i półprzytomne. Tata ciężko osunął się na krzesło.

- Żadnych więcej pytań - oznajmił im Bishop. - Zmęczyła mnie ta paplanina.

Claire ogarnęła ślepa furia. Najchętniej rzuciłaby się na tego złego starca i wydrapała mu oczy. Jedyne, co ją powstrzymało, to świadomość, że gdyby spróbowała, wszyscy by zginęli.

Michael też.

- Kawy? - zapytała Eve sztucznie pogodnym tonem. Wyjęła Michaelowi z rąk dzbanek z kawą i zaczęła krążyć wokół mamy i taty Claire jak kofeinowy anioł zemsty. Claire zaczęła się zastanawiać, co jej rodzice myślą o Eve, z tym jej białym ryżowym pudrem, czarną szminką, czarnymi kreskami na powiekach i ufarbowanymi na czarno kosmykami mocno nastroszonych włosów.

No ale z drugiej strony w ręku miała dzbanek z kawą i była uśmiechnięta.

- Proszę - powiedziała mama Claire i niepewnie spróbowała się uśmiechnąć. - Dziękuję ci, kochanie. A więc... mówiłaś, że ten pan jest twoim krewnym? - Zerknęła na Bishopa, który wychodził z kuchni. Młody wampir pochwycił spojrzenie Claire i mrugnął do niej, a ona szybko znów przeniosła wzrok na Eve i rodziców.

- Nie. To daleki krewny Michaela. Z Europy, wie pani. Śmietanki?

- Jajecznica jest gotowa - stwierdziła Claire. - Eve...

- Mam nadzieję, że wystarczy nam talerzy - przerwała Eve, mocno podenerwowana. - Jezu, nigdy nie myślałam, że powiem coś takiego, ale gdzie jest nasza porządna porcelana? O ile mamy porządną porcelanę?

- Chodzi ci o niepoobijane talerze? Tutaj. - Shane wskazał szafkę z metr wyżej od Eve. Eve

popatrzyła na niego. - Nie patrz tak na mnie, ja po nią nie sięgnę. Wiesz, jeszcze mi się rana nie zagoiła. - Miał rację. Claire też o tym zapomniała. Shane czuł się już lepiej, ale dopiero niedawno wyszedł ze szpitala. Został zraniony nożem, prawie cudem przeżył.

To był kolejny poważny powód, żeby się nie stawiać wampirom, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Na Shane'a nie mogli liczyć.

Eve wdrapała się na kuchenny blat, znalazła w szafce talerze i podała je Claire. Kiedy to już miały z głowy, Claire zajęła się grudkowatą breją, która podobno była sosem. Wyglądało to jak wymiociny ufoludka.

- Ta dziewczyna... - odezwała się Claire do Shane'a.

- Jaka dziewczyna?

- Ta... No wiesz. Ta tam.

- Chodzi ci o tę pijawkę? Co z nią?

- Ona się na ciebie gapiła.

- Co mam powiedzieć? Nie sposób mi się oprzeć.

- Shane, to nie jest zabawne. Ja tylko... Powinieneś na nią uważać.

- Zawsze uważam. - To było bezczelne kłamstwo. Shane spojrzał jej w oczy, a ona poczuła falę ciepła, która zaczęła palić jej policzki. Uśmiechnął się do niej powoli. - Zazdrosna?

- Być może.

- Bez powodu. Wolę, kiedy moja kobieta ma puls. - Wziął ją za rękę. - O proszę, ty masz tętno.

- Shane, ja nie żartuję.

- Ja też nie. - Podszedł bliżej. - Żadna wampirzyca nie stanie między nami. Wierzysz mi?

Pokiwała głową. Za żadne skarby nie zdołałaby w tej chwili wydusić z siebie nawet jednego słowa. Tęczówki miał ciemne, w kolorze głębokiego brązowego aksamitu, z cieniutką złotawą obwódką. Ostatnio bardzo często patrzyła mu w oczy, ale jeszcze nigdy nie zauważyła, że są po prostu tak bardzo piękne.

Shane cofnął się, bo drzwi znów się otworzyły. Michael najpierw zerknął w stronę przyjaciół z milczącymi przeprosinami, a potem zwrócił się w stronę rodziców Claire.

- Proszę państwa, pan Bishop prosi, żebyście zjedli z nim - powiedział. - Ale jeśli wolą państwo wrócić do domu...

Jeśli Michael miał nadzieję, że zmienią zdanie, to Claire od razu mogła mu powiedzieć, że nie ma na ci liczyć. Póki jej tata był przekonany, że dzieje się coś dziwnego, na pewno nie zostawi ich samych.

- Chętnie coś zjem. Claire nigdy nie smażyła jajecznicy. Kathy? Idziesz?

Nieprzytomni, pomyślała Claire z rozpaczą, no ale z drugiej strony, kiedy ona przyjechała do Morganville zachowywała się tak samo. Nie przyjmowała do wiadomości ani jasnych wskazówek, ani nawet wyraźnych informacji. Może odziedziczyła to po rodzicach razem z jasną cerą i lekko kręjącymi się włosami. Na ich obronę mogła jednak dodać, że Bishop ewidentnie mieszał im w głowach.

I przecież oni bali się o nią.

Rodzice i Michael poszli do salonu, a Claire pomogła Eve nałożyć jedzenie na półmiski. Grudkowego sosu nic nie mogło uratować. Przelały go do sosjerki i mogły tylko liczyć na zmiłowanie boskie.

Claire znów zwróciła uwagę, co jej się zresztą zdarzało w najdziwniejszych chwilach, że nastrój

potrafił się w jednej chwili zupełnie zmienić. I to nie tylko nastrój ludzi mieszkających w Domu Glassów, ale i samego domu. W tej chwili sprawiał wrażenie mrocznego i groźnego. Niemal wrogiego. A jednak te złe emocje były skierowane do zakłócających im spokój wampirów.

Dom się martwił i był czujny. Claire wyczuwała coś, jakby czyjaś obecność, tak jak czasem umiała wyczuwać Michaela, gdy był duchem. Dostała gęsiej skórki.

Postawiła półmiski na stole i się wycofała. Bishop nie zaproponował jej, Eve, ani Shane'owi, żeby usiedli przy stole. Złapała więc Eve za rękę i wróciły do kuchni. Michael został w salonie, aby nakładać jedzenie na talerze. Jak służący. Twarz miał bladą i spiętą, a w oczach lęk i, o Boże, jeśli Michael zaczynał się bać, to zdecydowanie mieli powód do paniki.

Kiedy zamknął drzwi, Shane szepnął:

To już robi się za bardzo dziwaczne. Czuliście to?

- Tak - odszepnęła Eve. - Wow. Wydaje mi się, że gdyby ten dom miał zęby, to już by nimi teraz coś gryzł. Musicie przyznać, że to całkiem fajne.

- Że fajne, to nam nic nie daje. Claire?

- Co? - Przez kilka sekund wpatrywała się w niego, a wreszcie powiedziała: - Racja. Tak. Zadzwoń do Amelie jeszcze raz. - Wyciągnęła z kieszeni komórkę. Była nowa i Claire dostała ją z kilkoma numerami już wpisanymi do pamięci. Jeden z nich był numerem telefonu Amelie, założycielki Morganville. Najważniejszej wampirzycy. W pewnym sensie szefowej Claire. W Morganville używało się zwykle terminu: Patron, ale Claire od początku wiedziała, że to tylko takie ładniejsze określenie właściciela. Znów włączyła się poczta. Claire zostawiła kolejną rozpaczliwą wiadomość, żeby „Przyjechała do nich do domu, jeśli można prosić, bo potrzebują pomocy”, a potem się rozłączyła. Popatrzyła w milczeniu na Eve, która westchnęła i sięgnęła po telefon i wybrała jakiś inny numer.

- Cześć - przywitała się, kiedy ktoś z drugiej strony odebrał. - Chcę pogadać z szefem. - Długa pauza, w czasie której Eve miała taką minę, jakby szykowała się na coś naprawdę niemiłego. - Oliver. Mówi Eve. Daruj sobie opowiadanie mi, jak ci miło, że dzwonię, bo nie jest ci miło, a ja dzwonię, bo mam sprawę, więc odpuśćmy sobie te bzdury. Zaczekaj. Eve przekazała telefon Claire, która bezgłośnie powiedziała „Jesteś pewna?” Eve pokazała jej gestem, że ma słuchawkę przyłożyć do ucha.

Claire zrobiła to niechętnie.

- Oliver? - Usłyszała cichy chichot.

- No proszę - powiedział. Właściciel kawiarni Common Grounds głos miał ciepły, taki, że kiedy go po raz pierwszy spotkała, myślała, że to zwyczajny, miły facet. - Nasza mała Claire.

Eve nie chciała tego słuchać, więc powiem to tobie - miło, że zwracasz się do mnie, gdy masz kłopoty. Bo rozumiem, że masz kłopoty. Nie zapraszasz, żebym wpadł z wizytą?

- Ktoś tu jest - powiedziała bardzo cicho. - U nas, w Domu Glassów.

Oliver przestał udawać przyjaciela i warknął:

- Jeśli macie włamywacza, dzwoń na policję. Nie jestem waszą firmą ochroniarską. To dom Michaela, Michael może...

- Michael nic nie może i uważam, że nie mamy po co wzywać policji. Ten facet mówi, że nazywa się Bishop. Chce rozmawiać z Amelie, ale nie mogę się do niej...

Oliver jej przerwał.

- Trzymajcie się od niego z daleka - ostrzegł i tym razem w jego głosie pojawił się niepokój. -

Nic nie róbcie. Nic nie mówcie. Przyjaciołom powtórz to samo, a zwłaszcza Michaelowi, jasne? To dla was o wiele za poważna sprawa. Sam znajdę Amelie. Róbcie, co każe, cokolwiek wam każe, dopóki nie przyjedziemy.

I Oliver się rozłączył.

- Mówi, że mamy robić to, co teraz - powiedziała Claire. - Wykonywać polecenia i czekać na pomoc.

- Fantastyczna rada - prychnął Shane. - Przypomnij mi, żeby na takie właśnie okazje schował pod zlewem w kuchni podręczny zestaw do zabijania wampirów.

- Nic nam nie będzie - pocieszała ich Eve. - Claire ma przecież bransoletkę. - Złapała Claire za nadgarstek i uniosła jej rękę, żeby widać było delikatnie pobłyskującą identyfikacyjną bransoletkę, bransoletkę, która zamiast imienia Claire miała wygrawerowany symbol Amelie. Identyfikował ją jako jej własność, jako kogoś, kto zobowiązał się ciałem i duszą służyć jakiemuś wampirovi w zamian za pewną formę ochrony i przywilejów. Nie chciała tego zrobić, ale kiedy się decydowała, czuła, że nie ma innego wyjścia, jeśli chce zapewnić bezpieczeństwo swoim przyjaciołom. A już zwłaszcza Shane'owi, który zdążył dość mocno nadepnąć wampirom na odcisk.

Wiedziała, że ta bransoletka sama w sobie też może stanowić pewne ryzyko, ale przynajmniej zobowiązywała Amelie (i być może nawet Olivera) do przyjścia jej na pomoc w razie zagrożenia ze strony innych wampirów.

Teoretycznie.

Claire wsunęła telefon do kieszeni. Shane wziął jej rękę z czułością, dzięki czemu poczuła się nieco bezpieczniej, przynajmniej w tej chwili.

- Jakoś to przetrwamy - powiedział. Ale kiedy próbował ją pocałować, skrzywił się. Dotknęła ręką jego brzucha.

- Boli cię - domyśliła się.

- Tylko kiedy się pochylam. A poza tym od kiedy zrobiłaś się taka niziutka?

- Od pięciu minut. - Przewróciła oczami, dostosowując się do jego tonu, ale się martwiła. Zgodnie z regułami obowiązującymi w Morganville podczas rekonwalescencji Shane był poza zasięgiem wampirów; biała plastikowa bransoletka, którą dostał w szpitalu, stanowiła dla ich informację, że nie wolno im tknąć Shane'a.

Czy ich goście grali zgodnie z tymi regułami? Niekoniecznie. Bishop nie był wampirem z Morganville. Był kimś innym. Kimś znacznie gorszym.

- Shane, powiedz prawdę, bardzo cię boli? - spytała szeptem. Zmierzył jej krótkie włosy, a potem pocałował w czubek głowy.

- Nic mi nie jest - zapewnił. - Potrzeba czegoś więcej niż punka z nożem sprężynowym, żeby pokonać Collinsa. Możesz być spokojna.

Nie musiał mówić, że teraz byli w znacznie większym niebezpieczeństwie.

- Nie rób niczego głupiego - poprosiła Claire. - Albo sama cię zabiję.

- Auć, dziewczyno. A gdzie się podziała nasza miłość?

- Zmęczyły ją ciągłe wizyty u ciebie w szpitalu. - Przez kilka długich sekund patrzyła mu w oczy. - Cokolwiek chodzi ci po głowie, nie rób tego. Musimy poczekać. Musimy.

- Tak, wszystkie wampiry tak mówią. To musi być prawda. - Z przykrością słyszała nienawiść w jego słowach. Ile razy tak mówił, myślała zawsze o Michaelu, o tym, jak cierpiał, kiedy nienawiść Shane'a wybuchła. Michael przecież nie chciał być wampirem i teraz próbował z tym żyć najlepiej,

jak potrafił. Shane wcale mu tego nie ułatwiał.

- Posłuchaj. - Shane ujął jej twarz w dłonie i spojrzał jej w oczy z przejęciem. - A może zabrałabyś Eve i wyniosłybyście się stąd? Nie obserwują cię, a ja was osłonię.

- Nie. Nie zostawię rodziców. Nie zostawię ciebie.

Nie mieli czasu dłużej dyskutować, bo z salonu dobiegł ich głośny brzęk. Drzwi do kuchni otworzyły się i stanął w nich Michael trzymany za gardło przez przystojnego młodego wampira, który przyjechał z Bishopem. Pchnął Michaela na ścianę.

Ten drugi wampir warknął i otworzył usta, pokazując wielkie, ostre kły, które zabłyśły jak ostrza noży. Kły Michaela zabłyśły tak samo, a Claire odruchowo się cofnęła.

- Puść go! - krzyknął Shane.

Michael wykrztusił:

- Zostaw!

Shane jednak, oczywiście, nie słuchał i chwyt, jakim Claire złapała go za ramię, też nie wystarczył, żeby go powstrzymać.

Powstrzymała go Eve, która złapała wielki nóż. Rzuciła Shane'owi wściekle ostrzegawcze spojrzenie, a potem obróciła się i wymierzyła nóż w wampira, który trzymał Michaela.

- Ty! Puszczaj go!

- Gdy przeprosi - warknął wampir i znów pchnął Michaela na ścianę. Naczynia w szatkach kuchennych zadzwoniły. Nie, to nie był efekt uderzenia, tę niską w tonacji wibrację wytwarzała kuchnia. Ściany, podłoga... Cały dom. Zupełnie jak jakiś ostrzegawczy pomruk.

- Lepiej go puść - odezwała się Claire. - Nie czujesz tego?

Wampir spojrzał na nią ze złością, zmrużył oczy, a jego źrenice zaczęły się rozszerzać.

- Co wy robicie?

- My nic. - Eve nadal ścisnęła nóż w rękę. - To ty to robisz.

Ten dom nie lubi, kiedy ktoś źle traktuje Michaela. Lepiej odsuń się od niego, zanim stanie się coś złego.

Wampir myślał, że Eve blefuje - Claire widziała to w jego oczach - ale nie widział też specjalnego powodu, żeby bez potrzeby ryzykować. Puścił Michaela, a wargi wykrzywił mu pełny pogardy uśmiech.

- Odłóż to, głupia dziewczyno - powiedział i zanim ktokolwiek z nich zdążył choćby mrugnąć, wytrącił Eve nóż, który przeleciał przez kuchnię i wbił się w ścianę.

- Przeprós - warknął. - Błagaj mnie o przebaczenie za to, że mi groziłaś.

- A ugryź mnie! - rzuciła.

Oczy wampira zapłonęły i rzucił się na Eve. Michael zareagował tak szybko, jak jeszcze nigdy przedtem, stał się po prostu rozmazaną plamą, a potem wampir potoczył się na kuchenkę. Podparł się, opierając o nią obie dłonie, i Claire usłyszała skwierczenie, kiedy palcami dotknął palników, a potem jego pełny bólu krzyk.

Zaczynało się robić naprawdę źle, a oni nic, ale to nic nie mogli na to poradzić.

Shane złapał Eve za ramię, Claire za rękę i szybko pociągnął pod ścianę. Ale w ten sposób Michael został sam, walcząc zupełnie nie w swojej kategorii wagowej z kimś, kto bardziej przypominał żbika niż człowieka.

Niedługo zaledwie po paru sekundach, Michael zaczął słabnąć. Obcy rzucił go na podłogę i usiadł na nim okrakiem, obnażając kły. Temperatura w kuchni gwałtownie opadła, powiało

lodowatym chłodem, zrobiło się tak zimno, że Claire widziała własny oddech. Te niskie w tonie drgania znów się zaczęły, talerze, szklanki i garnki znów brzęczały.

Eve wrzasnęła i próbowała wyrwać się z uścisku Shane'a, nie żeby mogła zrobić coś, chociaż cokolwiek...

Drzwi wejściowe zadrżały i otworzyły się gwałtownie. Po kuchni posypały się drzazgi, a Claire usłyszała, że zamki wyłamały się z odgłosem pękającego lodu.

Oliver, drugi najbardziej przerażający wampir z Morganville (a w niektóre dni pierwszy) stał w tych drzwiach i zaglądał do kuchni. Był wysokim mężczyzną, atletycznie zbudowanym. Dziś wieczorem darował sobie przebranie za zwykłego, sympatycznego faceta; był ubrany na czarno, a włosy miał ściągnięte w kucyk. Jego twarz w świetle księżyca wyglądała jak wyrzeźbiona w kości.

Wykonał ruch ręką i napotkał barierę.

- Głupcy! - krzyknął. - Wpuście mnie do środka!

Obcy wampir się zaśmiał.

- Zróbcie to, a zaraz go wypiję - ostrzegł, przyciągając Michaela. - Wiecie, co się stanie. On jest za młody.

Claire nie wiedziała, ale czuła, że to nie będzie nic dobrego. Być może Michael by tego nie przeżył.

- Zaproście mnie do środka - powtórzył Oliver śmiertelnie spokojnym głosem. - Claire, zrób to natychmiast. Otworzyła usta, ale nie zdążyła się odezwać.

- Nie ma potrzeby - rozległ się chłodny kobiecy głos. Kawaleria wreszcie nadjechała.

Amelie odsunęła Olivera na bok i przeszła przez niewidzialną barierę, jakby jej tam nie było - bo, prawdę mówiąc, nie było jej tam, skoro Amelie stworzyła ten dom. Dzisiaj nie towarzyszyli jej zwykli ochroniarze i pomocnicy, ale i tak po sposobie, w jaki przekroczyła próg, widać było wyraźnie, że to ona, a nie Oliver tutaj rządzi.

Jak zawsze Claire myślała o niej jak o królowej. Amelie miała na sobie idealnie skrojony kostium z żółtego jedwabiu, a jasne włosy upięte w błyszczącą koronę na czubku głowy, podtrzymywaną złotymi szpilkami z brylantami. Nie była wysoka, ale roztaczała wokół siebie aurę tak silną jak bomba, która ma lada chwila wybuchnąć. Oczy miała zimne i szeroko otwarte. Wzrok wbiła w wampira, który groził Michaelowi.

- Zostaw natychmiast chłopca w spokoju - rozkazała. Claire nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Amelie mówiła takim tonem, ani razu, a teraz aż zadrżała, chociaż te słowa nie były skierowane do niej. - Rzadko zabijam swoich braci, ale wystaw mnie na próbę, François, a zniszczę cię. I pamiętaj, udzielam tylko jednego ostrzeżenia.

Wampir zawahał się tylko na chwilę, a potem puścił Michaela, który osunął się bezwładnie na posadzkę. François wstał jednym płynnym ruchem i stanął naprzeciwko Amelie.

A potem się uklonił. Claire nie miała wielkiego doświadczenia, jeśli chodziło o męskie ukłony, ale pomyślała, że ten nie wyglądał na przesadnie ugrzeczniony.

- Pani Amelie - powiedział i schował kły. - Czekaliśmy na panią.

- I zabawiacie się przy okazji moim kosztem - stwierdziła.

Claire pomyślała, że Amelie ani razu nie zamrugała. - Chodźmy. Chcę porozmawiać z panem Bishopem.

François uśmiechnął się złośliwie.

- Jestem pewien, że i on chce z panią porozmawiać - powiedział. - Tędy, proszę.

Wysunęła się przed niego.

- François , ja znam własny dom, nie potrzebuję przewodnika. - Szybko obejrzała się przez ramię, Oliver nadal w milczeniu stał przed drzwiami. - Wejdz do środka, Oliverze. Ochronę przeciwko tobie ustawię znów potem, ze względu na naszych młodych przyjaciół.

Oliver przekroczył próg. Michael właśnie usiłował wstać. Oliver wyciągnął do niego rękę, ale Michael ją zignorował. Wymienili spojrzenia, od których Claire zadrżała.

Oliver wzruszył ramionami, przestąpił nogi Michaela i poszedł za Amelie i Francis do salonu.

Kiedy drzwi kuchni zamknęły się, Claire odetchnęła z ulgą i usłyszała, że Shane i Eve robią to samo. Michael z trudem wstał i oparł się o ścianę. Shane położył mu dłoń na ramieniu.

- Stary, w porządku? - Michael tylko uniósł kciuk, zbyt zmęczony, żeby zrobić coś więcej, a Shane poklepał go po plecach i złapał Claire za kołnierz. - Hej, hej, pędziwiatrze, a dokąd ty się niby wybierasz?

- Moi rodzice tam są!

- Amelie nie pozwoli, żeby im się coś stało. Wstrzymaj się. To nie nasza kłótnia, wiesz o tym.

Shane zaczął być teraz tym rozsądnym? Wow. Czy to jakieś święto?

- Ale...

- Twoim rodzicom nic nie jest, a ja nie chcę, żebyś się wtrącała. Jasne?

Roztrzęsiona pokiwała głową.

- Ale...

- Michael. Pomóż mi. Powiedz jej.

Michael usiłował złapać oddech, ale tylko pokiwał głową nadal oszołomiony i półprzytomny.

- Nic im nie jest - powiedział słabo. - Właśnie dlatego François wpadł tu za mną, bo próbowałem stanąć między nim a twoją mamą.

- On zaatakował moją mamę?! - Claire rzuciła się w stronę salonu i tym razem Shane powstrzymał ją z najwyższym trudem.

- Stary, ja nie takiej pomocy potrzebowałem - mruknął Shane i obiema rękoma objął Claire, żeby ją przytrzymać. - No już. Już. Amelie tam jest, a wiesz, że ona zadba o porządek...

Claire to wiedziała. Ale po chwili zastanowienia zaczęła wyrywać się bardziej energicznie, bo Amelie była zdolna spisać jej rodziców na straty, gdyby uznała, że to dobre wyjście. Claire też przecież od czasu do czasu spisywała na straty. Ale Shane nie puszczał jej, dopóki nie dziabnęła go łokciem pod żebra i nie poczuła, że zachwiał się i rozluźnił chwyt. Nie rozumiała, co właściwie robiła... dopóki nie zobaczyła plamy krwi na jego T - shircie, kiedy ciężko usiadł na krześle.

Uderzyła go w to miejsce, gdzie został ranny.

- Cholera! - syknęła Eve i szybko uniosła podkoszulek Shane'a. W bandażu zaczynała wsiąkać krew. Claire poczuła nawet jej zapach...

...i zupełnie jak we śnie czy może jakimś sennym koszmarze odwróciła się i spojrzała na Michaela.

Miał oczy szeroko otwarte, uważne i bardzo, bardzo groźne. Twarz spiętą i pobielającą, i zupełnie przestał oddychać.

- Zatrzymaj to krwawienie - szepnął. - Szybko. Michael miał rację. Shane był jak przynęta w basenie dla rekinów, a Michael do tych rekinów się zaliczał.

Shane nie spuszczał z niego wzroku, kiedy Eve poprawiała opatrunek.

- Moim zdaniem nic się nie stało, ale musisz uważać - powiedziała. - A ten bandaż trzeba

zmienić. Mógł ci pęknąć któryś szew.

Pomogła Shane'owi wstać. On nadal obserwował Michaela. Wydawało się, że Michael nie jest w stanie odwrócić wzroku od czerwonej plamy na bandażu.

- Chcesz trochę? - spytał Shane. - To chodź i sobie weź. - Był niemal tak samo blady jak Michael, a minę miał spiętą i złą.

Michael jakimś cudem zdołał się uśmiechnąć.

- Bracie, nie lubię twojej grupy krwi.

- No i znów zostałem odrzucony. - Ale to ponure spojrzenie odrobinę złagodniało. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy. - Michael na moment zerknął w stronę salonu. - Rozmawiają. Posłuchajcie, pójdę tam i przyprowadzę twoich rodziców, Claire. Chciałbym zebrać razem wszystkich, którzy...

- ...oddychają - dokończył Shane.

- Są w niebezpieczeństwie. Wracam za sekundę. - Zawahał się na moment, a potem dodał: - Może uda wam się opatrzyć go, zanim wrócę.

I zniknął za drzwiami, poruszając się nienaturalnie szybko, zupełnie jakby z ulgą wychodził z miejsca, gdzie czuł zapach krwi Shane'a. Claire z trudem przełknęła ślinę i wymieniła spojrzenia z Eve. Sądząc po minie, Eve była tak samo wstrząśnięta jak Claire, ale szybko zajęła się konkretami.

- Dobra. Gdzie zestaw pierwszej pomocy?

- Na górze - powiedziała Claire. - W łazience.

- Nie, jest tu, na dole - sprostował Shane. - Przeniosłem go.

- Tak? Kiedy?

- Kilka dni temu. Stwierdziłem, że lepiej niech leży tam, gdzie łatwo się do niego dostanę, bo zwykle to ja potrzebuję opatrunku. Zajrzyjcie pod zlew.

Eve tak zrobiła i wyjęła duże białe metalowe pudełko oznaczone czerwonym krzyżem. Otworzyła je i powyjmowała opatrunki.

- Zdejmuj podkoszulek.

Shane zerknął na Claire i zdjął T - shirt przez głowę, a potem rzucił na stół. Claire zabrała podkoszulek do zlewu, wypłukała go w zimnej wodzie, patrząc, jak krew Shane'a zabarwia ją na lekko różowy odcień. Nie chciała patrzeć na to, co robiła Eve; na widok rany, jaką odniósł Shane, zawsze robiło jej się trochę słabo i niedobrze, bo on walczył, jak zawsze, żeby chronić innych. Ją i Eve.

- Zrobione - oświadczyła Eve. - Lepiej nie próbuj zakrwawić tego ślicznego świeżego opatrunku, bo inaczej dokleję ci metkę z ceną i wystawię na rogu dla następnego chętnego na kąsanie w szyjkę.

- Wredna z ciebie małpa - odparował Shane. - Dzięki. Przesłała mu pocałunek w powietrzu i puściła oczko.

- Jakby większość dziewczyn nie była gotowa się bić o to, która pierwsza będzie cię mogła opatrywać. Jasne.

Claire poczuła niemiły, kompletnie ją zaskakujący przyływ zazdrości. Eve?! Nie, Eve po prostu przekomarzała się jak zwykle. To nic innego, prawda? Ona nie... nie mogłaby. Na pewno nie.

Claire wyjęła koszulkę tak mocno, że aż dłonie ją rozbolały, a potem ścisnęła ją między dwoma rękami, żeby ją wysuszyć. Podała T - shirt Shane'owi, kiedy Eve zajęła się odkładaniem niepotrzebnych opatrunków do pudełka, i pomogła mu go włożyć. Musnęła przy tym palcami jego skórę, ale, szczerze mówiąc, niespecjalnie starała się powstrzymać. A może nawet zrobiła to nieco wolniej, niż powinna.

- Bardzo przyjemnie - powiedział jej Shane bardzo cicho na ucho. - Wszystko dobrze?

Claire pokiwała głową. Ujął ją delikatnie pod brodę i przyjrzał jej się uważnie.

- Tak. Wszystko dobrze. - Ustami musnął jej wargi i spojrzał w stronę drzwi do salonu.

Rodzice mieli twarze... puste. Marszczyli brwi, jakby pozapominali o czymś ważnym. Kiedy matka spojrzała na nią, Claire zmusiła się do uśmiechu.

- Czy my czasem nie mieliśmy czegoś zjeść? - zapytała jej matka. - Robi się już bardzo późno, prawda? Ty chyba zamierzałaś gotować czy...

- Nie - powiedział Michael. - Zjemy na mieście. - Złapał kluczyki do samochodu z haczyka wiszącego koło drzwi. - Wszyscy razem..

ROZDZIAŁ 2

W Morganville nie było dużego wyboru, jeśli chciało się późno wieczorem zjeść coś na mieście, o ile nie miało się kłóć, ale było parę takich miejsc w pobliżu kampusu, a przede wszystkim jedna całodobowa jadalnia. Skończyło się na tym, że usiedli tam przy jednym stoliku, ich czworo plus rodzice Claire.

Hamburgery były niezłe, ale Claire prawie nie czuła ich smaku. Za bardzo zajęta była obserwowaniem ludzi na ulicy przed restauracją. Było tam trochę studentów z uniwersytetu, stali w grupkach na parkingu i ignorowali przechodzących w pobliżu bladych nieznajomych. Claire przypomniały się filmy o lwach, które spacerują obok pasących się antylop i czekają, aż jedna czy dwie sztuki zostaną z tyłu.

Chętnie ostrzegłaby te dzieciaki, ale nie mogła. Złota bransoletka na jej nadgarstku wystarczająco już o to dbała.

Michael, co było do przewidzenia, musiał wziąć na siebie większość ciężaru rozmowy z rodzicami Claire. Całkiem niezłe sobie radził, jego spokój sprawił, że wszystko zdawało się... normalne. Rodzice Claire nie do końca pamiętali, co działo się w domu, Claire była pewna, że to efekt manipulacji Bishopa. Wkurzało ją, że w taki sposób mieszał im w głowach, ale trochę też jej ulżyło. Jedno zmartwienie mniej.

Już wystarczyło nastawienie jej taty do Shane'a.

- A więc... - zagaił tata, udając, że koncentruje się na swojej duszonej pieczeni - ile masz lat, synu?

- Osiemnaście, proszę pana - powiedział Shane swoim najbardziej grzecznym tonem. Już to przecież przerabiali. Wielokrotnie.

- Wiesz, że moja córka ma tylko...

- Siedemnaście lat. Tak, proszę pana, wiem.

Tata nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Szesnaście. I była chowana pod kloszem. Nie podoba mi się, że mieszka w tym domu z nastolatkami, w których buzują hormony... Bez obrazy, jestem pewien, że masz dobre intencje, ale też kiedyś byłem młody. Teraz, kiedy zamieszkaliśmy tutaj i kupiliśmy dom, najlepiej byłoby, żeby Claire przeprowadziła się do nas.

Tego Claire się nie spodziewała. Wcale a wcale.

- Tato! Nie ufasz mi?

- Kotku, nie chodzi o zaufanie do ciebie. Chodzi o zaufanie do dwóch dorosłych chłopaków, z którymi mieszkasz. A zwłaszcza jednego, bo widzę, jak się do niego zaczynasz zbliżać, chociaż wiesz, że to nie jest zbyt rozsądne.

Ogarnęła ją furia i przez tę czerwoną mgłę widziała wyłącznie Shane'a, kiedy zasłaniał własnym ciałem ją i Eve i bronił je, narażając życie.

Shane, który raz po raz ją odtrącał, bo potrafił się, o wiele lepiej niż ona, kontrolować.

Claire zaczerpnęła tchu i już miała wybuchnąć, ale Shane nakrył jej dłoń swoją i uściśnił uspokajająco.

- Ma pan rację - przyznał. - Nie zna mnie pan, a to, co pan wie, pewnie się panu niespecjalnie podoba. W sumie nie nadaję się na ulubieńca rodziców. Nie tak jak Michael. - Shane wskazał ruchem podbródka Michaela, który próbował kręceniem głową tłumaczyć mu: „Nie, nie rób tego”. - Być może faktycznie ma pan rację. Może byłoby lepiej, gdyby Claire przeprowadziła się do państwa na jakiś czas. Żebyście mieli szansę poznać nas lepiej, a zwłaszcza mnie.

- Co ty wyprawiasz, do cholery? - gorączkowo wyszeptała Claire. Było jej wszystko jedno, że tata prawdopodobnie ją usłyszał, a Michael to już na pewno. - Ja nie chcę nigdzie się wyprowadzać!

- Claire, on ma rację. Tam będziesz bezpieczniejsza. Nasz dom to raczej nie forteca, w razie gdyby jeszcze do ciebie nie dotarło, co tam się dzisiaj dzieje - odparł Shane. - Do diabła, obcy wchodzi sobie i wychodzą jak chcą, a tata groził, że tu wróci i dokończy, co zaczął...

Claire cisnęła widelec na stół.

- Zaczekaj momentik. Chcesz mi powiedzieć, że to dla mojego dobra, tak?

- Tak.

- Michael! Może zechciałbyś się wypowiedzieć.

Michael uniósł ręce bezradnym gestem. Miał już chyba dość i Claire trudno go było za to winić. Eve jednak odchrząknęła i dzielnie zaczęła brnąć przez to konwersacyjne bagienko.

- Proszę pani, naprawdę Claire jest z nami bardzo dobrze.

Wszyscy się ni ą opiekujemy, a Shane to nie jest facet, który wykorzystałby okazję...

- Tego bym nie powiedział - zaprotestował Shane o wiele za spokojnym tonem. - Jestem dokładnie takim facetem.

Eve rzuciła mu złe spojrzenie.

- A poza tym dobrze wie, że oboje zabilibyśmy go, gdyby próbował. Ale on tego nie zrobi. Claire u nas nic nie grozi. I jest z nami szczęśliwa.

Tak - potwierdziła Claire. - Ja jestem tu bardzo szczęśliwa, tato.

Michael nadal nie zabrał głosu. Zamiast tego przyglądał się ojcu Claire bardzo uważnie. Claire najpierw pomyślała, że zamierza rzucić na jej ojca jakieś wampirze zaklęcie, ale potem zmieniła zdanie. Wyglądało to tak, jakby Michael szczerze się nad czymś zastanawiał i usiłował zdecydować, co ma powiedzieć.

Ojciec Claire chyba nie usłyszał ani słowa z tego, co powiedziano.

- Chcę, żebyś przeprowadziła się do nas, Claire, i to wszystko. Nie życzę sobie, żebyś dłużej mieszkała w tym domu. Koniec dyskusji.

Jej mama nie odzywała się, co też było niezwykle, mieszała tylko powoli kawę i usiłowała zainteresować się jedzeniem leżącym przed nią na talerzu.

Claire już otwierała usta, żeby odparować coś zjadliwego, ale Michael pokręcił głową i nakrył jej dłoń swoją.

- Nie warto zdzierać gardła. To nie ich pomysł. Bishop im to zasugerował.

- Co? Ale po co miałyby to robić?

- Nie mam pojęcia. Może chce nas rozdzielić. Może po prostu lubi mieszać ludziom w głowach. Może chce zdenerwować Amelie. Ale najważniejsze jest chyba, żeby nie pozwolić mu pomieszać w głowie tobie...

- Nie pomieszać mi w głowie? Michael, mój ojciec mówi, że muszę się przeprowadzić!

- Nie musisz - powiedział Michael. - Chyba, że sama chcesz.

Twarz ojca Claire, który cały czas siedział z pochmurną miną, nabrała teraz odcienia ciemnej, niezdrowej czerwieni.

- Musisz, do cholery - rzucił. - Claire, jesteś moją córką i dopóki nie skończysz osiemnastu lat, będziesz robiła, co ci każę. A ty... - wycelował palcem w Michaela - jeśli będę musiał wytoczyć ci sprawę...

- Za co? - spytał Michael spokojnie.

- Za... Słuchaj, nie wyobrażaj sobie, że ja nie wiem, co tu się wyrabia. Jeśli się dowiem, że moja córka... Że mojej córce... - Tata jakoś nie mógł znaleźć właściwych słów. Michael patrzył na niego spokojnie, jakby nadal nie rozumiał.

Claire odchrząknęła.

- Tato... - zaczęła. Czowała, że policzki pałają rumieńcem i z trudem panowała nad głosem. - Jeśli pytasz, czy nadal jestem dziewicą, to owszem, jestem.

- Claire! - Głos jej mamy zabrzmiał ostro, wcinając się w to ostatnie zdanie. - Wystarczy tego!

Przy stole zapadła cisza. Nawet Michael chyba nie wiedział, co teraz powiedzieć. Eve miała taką minę, jakby nie mogła się zdecydować czy się roześmiać, czy skrzywić, i wreszcie zajęła się swoimi lodami czekoladowymi, uznając to za najlepsze wyjście.

Zadzwoiła komórka Michaela. Otworzył klapkę, powiedział coś cicho, posłuchał i zamknął bez słowa. Przywołała kelnerkę.

- Musimy iść - powiedział.

- Dokąd?

- Z powrotem do domu. Amelie chce się z nami widzieć.

- Jedziesz do domu z nami - zwrócił się ojciec do Claire, ale ona pokręciła głową. - Nie kłóć się ze mną...

- Przepraszam pana, ale teraz ona musi iść z nami - powiedział Michael. - Jeśli Amelie uzna, że tak trzeba, sam ją odwiozę do was. Ale na razie podrzucimy państwa po drodze, a potem dam państwu znać jak najwcześniej. - Powiedział to z szacunkiem, ale nie zostawiając miejsca na sprzeczkę. W tym momencie przez Michaela przemawiało coś, czemu trudno było stawiać opór.

Twarz taty Claire była zacięta i bardzo ponura.

- To jeszcze nie koniec, Michael.

- Oczywiście, proszę pana - odparł. - Tyle to ja wiem. To jeszcze nawet nie początek.

Droga do domu była jeszcze bardziej nieprzyjemna, i to nie tylko przez niewygodę; ojciec Claire był siny z wściekłości, jej mama zażenowana, a sama Claire tak rozzłoszczona, że ledwie mogła patrzeć na nich oboje. Jak mogli?! Nawet jeśli ten Bishop coś im zrobił, jeśli pomieszał im w głowach, to i tak kupili to w całości. Zawsze twierdzili, że jej ufają, zawsze powtarzali, że chcą, żeby sama dokonywała własnych wyborów, a kiedy przyszło co do czego, chcieli tylko, żeby nadal była ich bezradną małą córeczką.

No cóż, nie ma mowy. Na to za daleko już zabrnęła.

Michael zatrzymał samochód przed domem jej rodziców. Nad Domem Założycielki należącym do jej rodziców górował wielki dąb, którego liście szeleściły jak suchy papier na wietrze. Stolarka okienna była pomalowana w kolor, który po ciemku wydawał się prawie czarny.

Ojciec Claire nachylił się w jej stronę, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć.

- Czekam dziś wieczorem na twój telefon - oznajmił. - Spodziewam się, że poinformujesz mnie,

kiedy wracasz do domu. I mówiąc „dom”, mam na myśli ten dom, nasz.

Nie odpowiedziała. Ojciec o wiele za długo przeciągał spojrzenie, ale potem zatrzasnął drzwi samochodu, a Michael szybko ruszył - nie za prędko, ale wcale też nie wolno.

Wszyscy odetchnęli z wyraźną ulgą, kiedy dom rozpląnął się w mroku za samochodem.

- Wow. - Shane westchnął. - Facet naprawdę ma zły wzrok. Może jednak będzie pasował tu, do Morganville.

- Nie mów tak - powiedziała Claire. Walczyła z najrozmaitszymi uczuciami - gniewem na rodziców, frustracją z powodu tej sytuacji, zmartwieniem, zwyczajnym strachem. To nie było miejsce dla jej rodziców. Świetnie im się żyło tam, gdzie mieszkali, aż tu Amelie musiała wyrwać ich z korzeniami i sprowadzić tutaj. Bo mając rodziców Claire pod kontrolą, mogła z łatwością wywierać nacisk na Claire.

A teraz ten nacisk mógł wywierać także Bishop. Shane pokręcił głową.

- Wyluzuj - poprosił. - Jak powiedział Michael, nie musisz się przeprowadzać, jeśli nie chcesz. Nie żebym nie poczuł się o wiele lepiej, jeśli znajdziesz się w jakimś bezpieczniejszym miejscu.

- Nie wydaje mi się, żeby w domu Danversów było bezpieczniej - zaproponował Michael. - Oni nie rozumieją reguł ani ryzyka... Sanowi. Moim zdaniem Bishop próbuje robić na złość Amelie, a cokolwiek sobie o niej myślimy, on jest gorszy. To wam gwarantuję.

Claire zadygotała.

- Czy to Amelie dzwoniła do ciebie?

- Nie. - W głosie Michaela pojawiła się ponura nuta. - To był Oliver. Muszę przyznać, że niezbyt mi z tym fajnie. Oliver nigdy nie stał po jej stronie. Teraz może stanąć po stronie Bishopa. A w takim wypadku być może wracamy do domu prosto w pułapkę.

- Mamy jakiś wybór? - spytał Shane.

- Nie wydaje mi się.

- No to niech to szlag. Zmęczony jestem. - Shane ziewnął. - Chodźmy, niech nas zjedzą. Przynajmniej wtedy będę mógł się wyspać.

Nikogo nie rozbawił, a już najmniej bawił się tym wszystkim sam Shane, jak podejrzewała Claire, ale nie mieli żadnych lepszych pomysłów. Kiedy Michael jechał do domu, Morganville za przyciemnionymi szybami samochodu było ciche; Claire ledwie dostrzegała błysk świateł, które mogły być rozsianymi z rzadka latarniami ulicznymi albo odbłaskiem świateł palących się na werandach domów. Czuła się tak, jakby siedziała w kosmicznej kapsule, tyle że z wygodną tapicerką.

Michael zaparkował i wyłączył silnik. Kiedy Eve sięgnęła do klamki, powiedział:

- Słuchajcie... - Eve cofnęła rękę. Wszyscy czekali. - Ja wcale nie posiadam jakiejś specjalnej wiedzy, kiedy przeszedłem przemianę, ale jestem pewien jednej rzeczy. Ten Bishop to prawdziwe zagrożenie. Takie, jakiego być może nigdy nie widzieliśmy. I niepokoję się. Więc uważajcie na siebie nawzajem. Sam będę próbował...

Chyba nie bardzo wiedział, jak dokończyć. Eve dotknęła jego twarzy, a on obrócił się w jej stronę z rozchylonymi wargami. Spojrzenia, jakie wymienili, tak obnażały ich uczucia, że człowiek nie powinien na coś podobnego patrzeć. Shane odchrząknął.

- Wszyscy to wiemy, stary - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

Michael nie zareagował, ale z drugiej strony, pomyślała Claire, chyba niewiele dałoby się tu powiedzieć. Wysiadł z samochodu, reszta poszła jego śladem. Wieczór zaczynał się robić dosyć

chłodny, wiatr rozwiewał włosy Claire i szarpał ją za ubranie, szukając skóry, którą mógłby ochłodzić. I znalazł ją. Owinęła się ściślej kurtką i szybko poszła za Michaeliem do tylnego wejścia.

Kuchnia wyglądała dokładnie tak samo, jak ją zostawili - panował w niej bałagan. Garnki i patelnie nadal stały na kuchence, chociaż na szczęście pamiętali, żeby przed wyjściem wyłączyć gaz. Zaduch zastygłego tłuszczu z bekonu i gumowatego sosu do herbatników wisiał w powietrzu, tylko nieco stłumiony zapachem skwaśniałej, za długo stojącej kawy.

Nie zatrzymywali się. Michael poprowadził ich prosto do salonu.

Bishopa nie było. Zniknęła też jego obstawa. W salonie przy wielkim dębowym stole siedzieli tylko Amelie i Oliver. Niedbale ułożyli w stos talerze, kubki i szklanki, a między sobą ustawili szachownicę. Claire nie przypominała sobie, żeby w domu taką mieli; wydawała się stara i dość zniszczona. Ale była piękna.

Amelie grała białymi. Zignorowała ich skoncentrowana na planszy. Naprzeciw niej Oliver rozparł się na krześle, skrzyżował ramiona na piersi i rzucił całej czwórce nieprzeniknione spojrzenie. Czuł się jak u siebie, co rozzłościło Claire. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak poczuł się Michael. Oliver go przecież zabił, odebrał mu ludzką egzystencję. Przez niego Michael żył w zawieszeniu, nie był ani człowiekiem ani wampirem, nie mógł opuszczać domu. Stało się to niemal dokładnie w tym samym miejscu. To musiało być brutalne, zbrodnicze i Michael nigdy ani na sekundę nie zapomniał, kim i czym Oliver jest, niezależnie od tego, na kogo wyglądał.

Amelie zaferowała Michaelowi szansę ucieczki z tej pułapki, a on skorzystał z niej, chociaż wiódł teraz życie wampira. Jak na razie wydawało się, że tego nie żałuje. Nie za bardzo.

- Nie jesteś tu mile widziany - zwrócił się Michael do Olivera, a ten unióśł brwi i się uśmiechnął.

- Czekasz, aż dom mnie wyrzuci? No to sobie czekaj.

Amelie, naprawdę powinnaś nauczyć te swoje szczenięta manier. Zanim się zorientujesz, poszarpią pazurami dywan i obsikają zasłony.

Nie podniosła wzroku.

- Spróbuj zdobyć się na uprzejmość - odparła. - Jesteś gościem w ich domu. W moim domu. - Przesunęła figurę po szachownicy. - Siadajcie wszyscy. Nie lubię, kiedy ludzie stoją.

Te słowa miały moc królewskiego rozkazu i zanim zdążyła pomyśleć. Claire usiadła przy stole, a Shane koło niej. Eve zawahała się i zajęła krzesło jak najdalej od Olivera.

Zostało tylko jedno wolne krzesło, tuż koło niego. Michael pokręcił głową i oparł się o ścianę.

Amelie spojrzała na niego, ale się nie upierała.

- A więc poznaliście pana Bishopa - stwierdziła. - A on, jak widać, poznał was. Szkoda, że tak się stało, ale skoro już do tego doszło, to musimy znaleźć sposób, żeby ochronić was przed nim i jego poplecznikami. - Oliver zbił jednego z jej gońców i odłożył na obok. Nie zareagowała w żaden widoczny sposób. - W przeciwnym razie obawiam się, że dom niedługo znów trafi na rynek, zamieszkaj ą w nim nowi lokatorzy.

Oliver się roześmiał. Przestał, kiedy Amelie wykonała kolejny ruch, i znów skoncentrował się na szachownicy z zaciętą miną.

- Kim jest ten Bishop? - spytał Michael.

- Dokładnie tym, kim powiedział. Nie ma powodu kłamać.

- Więc jest pani ojcem? - zapytała Claire. Zapadła długa cisza, której nawet Oliver nie przerwał. Amelie uniosła szare oczy i wpatrywała się w twarz Claire tak długo, aż Claire poczuła ochotę, żeby

nawet nie tyle odwrócić wzrok, co uciec.

Wreszcie Amelie powiedziała:

- W pewnym sensie, przynajmniej o tyle, o ile możecie takie sprawy zrozumieć, zarówno mój ludzki, jak i nieśmiertelny rodowód jest z nim związany. Oliver, pospiesz się, proszę. Chciałabym wrócić do domu przed wschodem słońca.

Na wschód słońca jeszcze zupełnie się nie zanosilo, więc to musiał być żart Amelie. Oliver przesunął pionek. Amelie zbiła go bez trudu.

Michael wtrącił się do rozmowy.

- Może właściwszym pytaniem jest: gdzie jest Bishop?

- Wyniósł się - powiedział Oliver. - Zapakowałem go do eleganckiej limuzyny z kierowcą. Zatrzyma się w jednym z Domów Założycielki.

- W którym? - Claire nagle zrobiło się niedobrze, tym bardziej że żaden z wampirów długo nie odpowiadał. - Ale nie w domu moich rodziców, prawda? Prawda?

- Wolałabym, żebyście nie znali miejsca jego pobytu - powiedziała Amelie, co właściwie nie stanowiło odpowiedzi, nie tej odpowiedzi, której Claire oczekiwała. Przesunęła białą królową, z premedytacją drapiąc paznokciem po szachownicy. - Szach - mat.

Oliver przyjrzał się szachownicy, a potem ze złością spój rżał na Amelie, przewracając swojego czarnego króla.

- Musimy sprawę przedyskutować - oznajmił. - Jak widać. Twój rozpaczliwy brak strategicznych umiejętności? - Amelie powoli uniosła jasne brwi. - Zastanawiam się, co zrobić z naszymi gośćmi. Na razie wracaj do domu, Oliverze. I dziękuję ci za przybycie.

Powiedziała to bez śladu ironii; mogła odprawić go jak służącego, ale przynajmniej mu podziękowała. Oczy Olivera jeszcze bardziej pociemniały, ale wstał bez komentarza i wyszedł do kuchni. Claire usłyszała, jak zatrząskują się za nim drzwi.

Amelie zaczerpnęła tchu, a potem wypuściła powietrze. Wstała i skinęła głową Michaelowi.

- Moim zdaniem dziś w nocy będzie tu bezpiecznie. Nikogo, pod żadnym pozorem, nie wpuszczajcie do środka. - Szybki, niemal niezauważalny cień uśmiechu. - Poza mną oczywiście. Mnie nie możecie powstrzymać.

- A Olivera? - spytał Shane.

- Jego zaproszenie do tego domu zostało cofnięte. Nie zdoła się tu wedrzeć, chyba że zrobicie coś głupiego. - Sądząc ze spojrzenia, jakie mu rzuciła, Amelie uważała, że to bardzo mało prawdopodobne. - Bishop to moja sprawa, nie wasza. Zajmijcie się swoimi problemami, a do moich się nie wtrącajcie. To dotyczy was wszystkich.

- Proszę poczekać, moi rodzice...

Amelie nie czekała. Płynnym ruchem wstała od stołu i weszła na schody, a kiedy zniknęła na górze, Shane krzyknął:

- Dokąd ona idzie, do diabła?! Przecież tam nie ma drzwi.

Claire wiedziała. Wiedziała aż za dobrze.

- Nieważne, jak to robi, ale poszła sobie. - Wszyscy na nią spojrzeli, nawet Michael. - Musi być jakieś wyjście. No co, przyniosła sobie piżamę i będzie waletować na kanapie?

- A myślisz, że ma jakąś? - spytała Eve. - Bo ja się założę, że ona śpi nago.

- Eve!

- No co? Daj spokój. Możesz ją sobie wyobrazić we flanelowej piżamie? W kapciuszkach

króliczkach?

Michael opadł na krzesło, które zwolniła Amelie, i wpatrzył się w szachownicę. Powoli zaczął ustawiać figury, ale Claire widziała, że wcale nie myślał o grze.

- Shane, sprawdź, czy wszystko jest porządnie pozamykane, dobrze?

Shane pokiwał głową i poszedł, kierując się najpierw do kuchni. Claire usiadła naprzeciwko Michaela na krześle, które przedtem zajmował Oliver.

- Niepokoisz się - powiedziała.

- Nie. - Michael zaczął obracać w palcach wieżę. - Jestem przerażony. Jeśli ten gość wystraszył Amelie i Olivera, to sprawa zdecydowanie wykracza poza naszą ligę. Wykracza poza ligę całego Morganville.

Podniósł wzrok na Eve, która za całą odpowiedź tylko jeszcze mocniej zacisnęła usta. Claire słyszała kroki Shane'a, który ruszył do drzwi frontowych, sprawdził zamki, a potem poszedł sprawdzić okna.

- Powinniśmy trochę odpocząć - zasugerował Michael. - Jutro może być długi dzień.

Kiedy wstał, Eve musnęła go dłonią w bardzo delikatnej pieśszczocie i oboje przez jakieś pół sekundy patrzyli sobie głęboko w oczy.

- Tak - zgodziła się Eve. - Ja też powinnam odpocząć.

Claire rzuciła w nią czasopismem.

- Wynajmijcie sobie jakiś pokój.

- Za jeden już płacę - odparowała Eve. - I zamierzam dopilnować, żeby był wart tej kasy.

Pobiegła na górę, u szczytu schodów zatrzymując się, żeby zerknąć na Michaela, który miał twarz rozjaśnioną uśmiechem. Pokręcił głową, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co mu chodzi po głowie, a kiedy zobaczył, że Claire mu się przygląda, odchrząknął.

- Dyskrecja - powiedziała Claire. - Powinniście wieszac na gałce drzwi jakiś ręcznik czy coś.

- Cicho. - Ale Michael uśmiechał się, a kiedy się uśmiechał, jej serce biło szybciej. Uwielbiała widzieć, że jest szczęśliwy. Zwykle bywał tak bardzo... poważny. - Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Zdaje się, że wiem.

Pomachał jej ręką i poszedł za Eve na górę. Shane wrócił, sprawdziwszy cały parter, i padł na krzesło, z którego wstał Michael.

- Gdzie oni są?

Pokazała na górę.

- Aha. - Wiedział aż za dobrze. - No tak. Chcesz w coś pograć?

- Chcę zadzwonić do rodziców. Naprawdę wierzysz, że Amelie pozwoliła Bishopowi zatrzymać się w jednym ze swoich domów?

- Nie wiem. Zadzwoń, jeśli uważasz, że to coś pomoże.

Wyjęła komórkę z kieszeni i zadzwoniła do informacji rodzice mieli nowy numer, odkąd przeprowadzili się do Morganville. Kiedy czekała na połączenie, Shane sięgnął przez stół i wziął ją za drugą rękę, a jego dotyk sprawił, że przestała się denerwować. A przynajmniej do chwili, kiedy jej mama odebrała.

- Claire! Nie myślałam, że tak szybko zadzwonisz. Jesteś gotowa do powrotu do domu?

Claire na moment zamarła, a potem odpowiedziała, jak umiała najspokojniej:

- Nie, mam. Chcę się tylko upewnić, czy u was wszystko w porządku. Wszystko dobrze?

- Oczywiście, że wszystko dobrze. Dlaczego miałoby nie być?

Claire mocno zacisnęła powieki.

- Tak tylko pytam. Jak wam idzie urządzenie się? Jak dom?

- No cóż, wymaga remontu, wiesz. Trzeba tu położyć trochę kabli i czeka nas mnóstwo malowania, ale nie mogę się tego doczekać.

- To świetnie. Ale... nie macie gości?

- Gości? - Mama się roześmiała. - Claire, kochanie, my jeszcze w tej chwili nie mamy prześcieradeł na materacach. Nie jestem gotowa na gości!

To przynajmniej była jakaś ulga.

- Świetnie. No cóż, mamo, muszę już kończyć. Dobranoc.

- Dobranoc, skarbie. Nie mogę się doczekać, aż wrócisz do domu.

Claire się rozłączyła, a Shane objął jawn talii.

- U nich w porządku?

- Na razie tak. Ale on może się dobrać do rodziców, prawda? Kiedy tylko zechce.

- Możliwe. Ale do nas może się dobrać równie łatwo.

Posłuchaj, nie możesz im pomóc akurat w tej chwili, ale on nie ma żadnego powodu, żeby im teraz szkodzić. Wszystko będzie dobrze.

Shane stawał się optymistą. Po tym można było poznać, że dzieje się coś naprawdę złego. Claire zmusiła się do uśmiechu, otworzyła oczy i spróbowała udawać dzielną dziewczynkę.

- Tak - powiedziała. - Będzie dobrze. Nie ma sprawy.

Jego ciemne oczy poszukały jej spojrzenia i wiedziała, że on widzi, że ona kłamie. Ale nie komentował tego, pewnie aż za dobrze wiedząc, na czym polega mechanizm wyparcia.

- A więc? Chciałabyś rozegrać partyjkę szachów?

Z pierwszego piętra doszedł ich jakiś łomot, a potem wyraźny, chociaż stłumiony chichot. Mniej więcej stamtąd, gdzie był pokój Eve.

- Hej! - wrzasnął Shane. - Przyciszcie ścieżkę dźwiękową tego pornosa! My się tu próbujemy skoncentrować!

Kolejny śmiech, szybko zduszony. Shane znów popatrzył na Claire, a ona poczuła, że kącki jej ust unoszą się w nieco bardziej szczerym uśmiechu.

- Szachy - powiedziała. - Twój ruch, twardzielu.

Kolejny łomot. Shane pokręcił głową i przewrócił swojego króla.

- A co mi tam, poddaję się. Chodź, wrzucimy sobie gierkę na wideo i rozwalimy trochę zombi.

ROZDZIAŁ 3

A rano było... rano. Przez kilka cudownych sekund, kiedy Claire się obudziła, wszystko było w porządku, zupełnie w porządku. Ciało wibrowało jej energią, na dworze śpiewały ptaki, a słońce ciepłymi smugami padało w poprzek łóżka.

Zmrużyła oczy i zerknęła na budzik. Wpół do ósmej. Czas wstawać, jeśli zamierzała zdążyć na pierwsze zajęcia i mieć jeszcze czas na kawę.

Dopiero kiedy znalazła się pod prysznicem, a gorąca woda przywróciła jej jasność myślenia, dotarło do niej, że nie wszystko jest tak, jak trzeba. Rodzice pojawili się w mieście. Rodzice znaleźli się na ekranie radaru tych potworów. I chcieli, żeby się do nich przeprowadziła. W tym momencie dobry humor jej minął, a kiedy cicho zeszła po schodach, dźwigając wyładowany podręcznikami plecak niosąc w ręku buty, nachmurzyła się. W całym domu był bałagan. Nikt nie posprzątał, nie wykluczając jej samej. W kuchni nadal był bałagan. Mruknęła coś pod nosem, parząc kawę, powrzucała brudne talerze i garnki do zlewu, żeby się odmoczyły gorącej wodzie. Zostawiła współlokatorom zjadliwą karteczkę, przeznaczoną zwłaszcza dla Shane'a, który migał się od obowiązków domowych bardziej niż zwykle. Potem włożyła buty i ruszyła na uczelnię. W świetle dnia Morganville wyglądało jak każde inne przykurzone, senne miasteczko: ludzie jechali samochodami do pracy, biegali dla zdrowia, pchali wózki z dziećmi, wyprowadzali psy na spacer. W miarę jak zbliżała się do kampusu, rosła liczba studentów z plecakami. Przygodny przejezdny nigdy by się nie zorientował, przynajmniej w ciągu dnia, że to miasto było tak niesamowicie pokrecone.

Claire podejrzewała, że właśnie o to chodziło.

Zauważyła kilka ciężarówek z dostawami dla miejscowych firm. Czy ci kierowcy wiedzieli? Czy po prostu przyjeżdżali i wyjeżdżali, i nic się nie działo? Czy wśród wampirów obowiązywały jakieś zakazy, mówiące na kogo wolno im polować, a na kogo nie? Na pewno takie zasady są. Gdyby policja stanowa pojawiła się w Morganville, nie byłoby to z korzyścią dla miasta...

- Hej.

Claire zamrugnęła. Obok niej jechał samochód, bardzo wolno, żeby jej nie wyprzedzić. Czerwony kabriolet, w słońcu błyszczący i jaskrawy jak świeża krew. Siedziały w nim trzy dziewczyny o identycznych fałszywych uśmiechach. Za kierownicą siedziała Monica Morrell, córka burmistrza. Największy wśród ludzi wróg Claire od pierwszego dnia jej pobytu w Morganville. Monica już doszła do siebie po przedawkowaniu narkotyku, a przynajmniej tak się na pierwszy rzut oka wydawało, bo błyszczała tak samo jak jej samochód i tak samo rzucała się w oczy. Jasne włosy miała lśniące i uczesane w swobodną fryzurę, makijaż idealny, a jeśli była nawet odrobinę bledsza niż zwykle, to nie rzucało się to w oczy.

- Hej - przywitała się Claire i ostrożnie odsunęła od krawędzi chodnika, poza zasięg wyciągniętej ręki. - Jak się czujesz, Monica?

- Ja? Świetnie. Nigdy nie czułam się lepiej - powiedziała zaczepnym tonem Monica. W jej oczach kryło się coś o wiele mroczniejszego niż w tonie głosu. - - Próbowałam mnie zabić, dziwaku.

Claire stanęła jak wryta.

- Nie - zaprzeczyła. - Nic podobnego.

- Dałaś mi to słońce. O mało mnie nie zabiło.

- Wyrwałaś mi je! - Czerwone kryształki, te, które podkradła Myminowi. Te, które wydawały się świetnym rozwiązaniem, chociaż tylko przez chwilę. Nieco mniej świetne wydały się kiedy zobaczyła, jak zadziały na Monice, i własną twarz w lustrze, gdy je zażyła. Nie zaszkodziły jej, ale ich działanie na Monice wstrząsnęło nią.

- Nie wciskaj mi kitu. O mało mnie nie zabiłaś - powtórzyła Monica. - Wytoczyłabym ci sprawę, ale skoro jesteś ulubienicą założycielki i tak dalej, nic mi to nie da. Więc po prostu będziemy musiały znaleźć inny sposób i zadbać, żebyś za to beknęła. Chciałam cię tylko uprzedzić, suko, że to nie jest skończona sprawa. Nawet się jeszcze nie zaczęła. Więc uważaj.

Uśmiechnęła się do Claire zimnym, szyderczym uśmiechem, a potem przyspieszyła i odjechała z piskiem opon.

Claire nerwowym ruchem poprawiła plecak i rozejrzała się wkoło. Nikt, oczywiście, nie zwrócił uwagi na ten incydent. W Morganville nie opłacało się wtrącać w cudze sprawy.

Była zdana sama na siebie. Eve pracowała w kampusie, ale Claire nie chciała mieszać do tego swoich przyjaciół. Już i tak mieli dość problemów, a Monica stanowiła wyłącznie jej kłopot. Czy Claire się to podobało, czy nie.

Ale kiedy mijiała cofnięte od ulicy wejście do zamkniętego sklepu, poczuła, że ktoś ją obserwuje. Próbowwała zwalić to na nadmiar wyobraźni, ale faktycznie ktoś jej się przyglądał. Przez parę chwil nie mogła go rozpoznać, ale potem udało jej się. Chudy jak uzależniony od heroiny ćpun, blade, włosy w strąkach. Ubrany na czarno. Brat Eve.

- Jason - jęknęła i odruchowo rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy. Nikogo nie było, do nikogo nie mogła się zwrócić. Żadnego nawet przejeżdżającego wozu policyjnego, a policja zdecydowanie chciała pogadać sobie z Jasonem po jego bójkę z Shane'em.

Znów to do niej dotarło: on przecież dźgnął nożem jej chłopaka. Próbował go zabić. Policja stwierdziła, że to była samoobrona, ale ona wiedziała swoje.

Jason wyjął ręce z kieszeni kurtki i uniósł je w górę.

- Nie wrzeszcz - powiedział. - Chyba że naprawdę masz na to ochotę. Nic ci nie zrobię. W każdym razie nie w biały dzień na ulicy pełnej ludzi.

Brzmiał... inaczej. Jeszcze dziwniej niż zwykle, a to oznaczało naprawdę wysoki poziom dziwactwa.

- Czego chcesz? - Ścisnęła pasek plecaka aż kostki jej pobieleły. W razie nagłej potrzeby mogłyby stanowić odpowiednio ciężką broń. Mogłaby zwalić nim Jasona z nóg, a przynajmniej odepchnąć. Byli tylko o jedną przecznicę od Common Grounds. - Oliver był jej winien Ochronę, kiedy już znajdzie się wewnątrz kawiarni, także przed ludzkimi wrogami.

- Przestań świrować. Nie jestem tu po to, żeby cię skrzywdzić. - Znów schował ręce do kieszeni. - Co u Shane'a?

- A co cię to obchodzi?

- No bo... - Zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. - Posłuchaj, to była samoobrona.

- Sprowokowałeś go. Groziłeś mnie i Eve. Chciałeś, żeby się na ciebie rzucił.

- No cóż, przyznaję, podpuszczałem go. Ale facet zamachnął się kijem, gdybyś nie pamiętała.

Niestety, taka była prawda.

- A co z tymi innymi, które zabiłeś? To też było w samoobronie?

- A kto powiedział, że ja kogoś zabiłem?

- Ty sam. Zapomniałeś? Zostawiłeś w naszej piwnicy martwą dziewczynę, żeby Shane ją znalazł.

Chciałeś, żeby trafił do więzienia.

Jason nie zareagował na to ani słowem. Gapił się tylko na nią, a w półcieniu jego ciemne oczy wyglądały jak dziury w nieruchomej, bladej twarzy. Wyglądał jak martwy. Bardziej niż większość wampirów.

- Muszę pogadać z siostrą.

- Eve nie chce z tobą gadać, psycholu. Zostaw nas w spokoju!

- Chodzi o naszego tatę - powiedział i chociaż Claire już odchodziła, zostawiając za sobą jego i te jego wszystkie psychopatyczne problemy, zwolniła i obejrzała się za siebie. - Muszę pogadać z Eve. Powiedz jej, że zadzwonię. Powiedz, żeby nie rzucała słuchawką.

Claire skinęła głową. Nienawidziła go cały czas tak samo, ule coś się w nim teraz zmieniło; to coś prosiło o zawieszenie broni, ale nie miało też zamiaru błagać o to na kolanach.

- Nic nie obiecuję.

Jason też skinął głową.

- Nie spodziewałem się obietnic.

Nie podziękował jej. Ruszyła przed siebie.

Kiedy się obejrzała, brama z wejściem do sklepu była pusta. Dostrzegła skrawek kurtki znikającej za rogiem następnej przecznicy. Cholera, szybko się rusza, pomyślała i znów zrobiło jej się chłodno. Co, jeśli ktoś spełnił życzenie Jasona? Co, jeśli ktoś go zamienił w wampira, chociaż wydawało się to nieprawdopodobne?

Postanowiła, że zapyta Amelie przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Poranne zajęcia mijały jedne po drugich. To nie tak, że któreś z nich były specjalnie trudne, nawet fizyka dla zaawansowanych. Niektóre z jej durnych przedmiotów podstawowych zostały zastąpione kursem mitologii, czy raczej Amelie jej ten kurs narzuciła; mitologia była całkiem fajna i Claire ze zdziwieniem stwierdziła, że wyczekuje tych zajęć. Niestety, akurat teraz nie dyskutowali wcale o wampirach. Omawiali zombi, wudu i to, co popularne media pokazują na ten temat. W przyszłym tygodniu mieli obejrzeć Noc żywych trupów. Claire wiedziała o wiele mniej o zombi niż większość pozostałych studentów, bo pomijając ulubione gry Shane'a, nie przypominała sobie, żeby zastanawiała się kiedykolwiek nad zombi.

Oczywiście od przeprowadzki do Morganville nie wykluczała już niczego jako rzeczy nieprawdopodobnej.

Po mitologii, która okazała się kopalnią informacji o wudu, w razie gdyby ich kiedyś potrzebowała, Claire miała przerwę, a po niej zajęcia w laboratoriach. Poszła do Centrum Uniwersyteckiego. Budynek był duży i mieściła się w nim sala do nauki z długimi stołami i krzesłami, była też księgarnia, bar, który serwował fantastyczne grillowane kanapki z serem i sałatki, i niezła kawiarnia.

Dzisiaj nie było kolejki. Claire zapłaciła za swoją mocha i podeszła do kontuaru, za którym pracowała Eve. Świetnie dziś wyglądała i nie tylko dlatego, że starannie się ubrała i umalowała; po prostu promieniowała radością.

Ach. Jasne.

Eve uśmiechnęła się do niej absolutnie powalającym uśmiechem i podała jej kawę.

- Cześć, molu książkowy. Wszystko dobrze?

- Jasne. A u ciebie?

- Nie najgorzej. Dzisiaj jest dość spokojnie po porannej godzinie szczytu. - W tym uśmiechu krył się sekret.

- No i? Jak wasza noc? - zaczęła badać sytuację Claire. Ten sekret aż się prosił, żeby go z kimś podzielić, a poza tym była chyba trochę... ciekawa.

- Fantastyczna - westchnęła Eve. - Ja po prostu... Odkąd skończyłam czternaście lat, kocham się w Michaelu, wiesz? A on nigdy mnie nie zauważał. Byłam na każdym jego koncercie, odkąd tylko zaczął grać, aż do tego ostatniego, który dał w Common Grounds. Nigdy się nie spodziewałam... Nie spodziewałam się, że z tego coś będzie.

- A jak z...? - Claire uniosła brwi i nie dokończyła pytania.

Eve mogła je zrozumieć, jak chciała.

Eve uśmiechnęła się szelmowsko.

- Fantastycznie.

Zaczęły chichotać. Eve wykonała taniec triumfalny za barem, wlała kolejne porcje naparu do kubków i okręciła się na pięcie. Claire jeszcze nigdy nie widziała jej tak niesamowicie szczęśliwej.

Jednak Claire przypomniała sobie, po co tu przyszła. Miała poważne podejrzenia, że całe to szczęście jej przyjaciółki zaraz szlag trafi.

Uśmiech Eve zbladł, jakby ktoś przekręcił regulator oświetlenia w pomieszczeniu.

- Claire, masz tę swoją zmartwioną minę. Co się stało?

- Ja... - Claire zawahała się, a potem powiedziała: - Widziałam Jasona. Dziś rano.

Ciemne oczy Eve rozszerzyły się, ale nie powiedziała ani słowa. Czekala.

- Chciał, żebym ci powtórzyła, że zadzwoni. Mówi, że chodzi o waszego ojca. Mówi, żebyś nie rzucała słuchawką.

- Mój ojciec - powtórzyła Eve. - Jesteś pewna?

- To jego słowa. Powiedziałam mu, że nic nie obiecuję. - Claire obserwowała minę Eve. Niełatwa była w tej chwili do odczytania. - Nie próbował zrobić mi nic złego.

- W biały dzień na ulicy pełnej ludzi? Tak, no cóż, jest kompletnym świrem, ale nie jest idiotą. - Eve wydała się nagle bardzo odległa. Już nie promieniowała radością. - Nie rozmawiałam z żadnym z moich rodziców od moich osiemnastych urodzin.

- Dlaczego nie?

- Próbowali sprzedać mnie Brandonowi - wyjaśniła beznamiętnym tonem. - Jak sztukę rzeźnego bydła. Nie wiem, dlaczego Jason nagle zrobił się taki rodzinnie sentymentalny; przecież nie mamy dobrych wspomnień z domu.

- Ale to nadal twoi rodzice.

- Niestety. Słuchaj, oto historia rodziny Rosserów w pigułce: jesteśmy prawdziwą nuklearną rodziną. Tak jak nuklearna może być bomba. Toksyczna, nawet jeśli nie wybuchnie. - Eve pokręciła głową. - Cokolwiek tacie się stało, nic mnie to nie obchodzi, i naprawdę nie wiem, dlaczego miałoby obchodzić Jasona.

Kolejny student zapłacił za kawę i Eve obdarzyła go nieobecny spojrzeniem i zaczęła szykować espresso.

- To nic ważnego - powiedziała. - I rozłączę się, kiedy zadzwoni. O ile zadzwoni. Nawet jeśli coś się stało, i tak nic mnie to, cholera, nie obchodzi.

Claire tylko pokiwała głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Eve straciła humor. Claire pomachała jej ręką na pożegnanie i usiadła przy stoliku do nauki. Zaczęła przedzierać się przez książkę wypożyczoną z biblioteki. Czyjaś praca doktorska, która czytała się tak, jakby facet nigdy nie zaliczył żadnych zajęć z pisania.

Ale równania były niezłe. Pogrążyła się w nich całkowicie, nagle usłyszała dzwonek własnego telefonu.

- Halo? - Nie poznawała tego numeru, ale był miejscowy i nie należał do jej rodziców.

- Claire Danvers?

- Tak, kto mówi?

- Doktor Robert Mills. To ja zajmowałem się w szpitalu twoim przyjacielem Shane'em.

Przeszył ją lęk.

- Ale nic złego się...

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - przerwał jej szybko. - Posłuchaj, to ty miałaś te czerwone kryształy, prawda? Skąd je wzięłaś?

- Ja je... znalazłam. - Teoretycznie prawda.

- Gdzie?

- W takim jednym laboratorium.

- Chcę, żebyś mi pokazała to laboratorium, Claire.

- Chyba nie będę mogła tego zrobić, przepraszam.

- Posłuchaj, rozumiem, że prawdopodobnie kogoś osłaniasz. Kogoś ważnego. Ale jeśli to coś pomoże, mam już zgodę Rady na pracę nad tymi kryształami i naprawdę potrzeba mi więcej informacji na ich temat: kto je stworzył, w jaki sposób, z jakich składników. Chyba mogę pomóc.

Amelie była członkinią Rady Starszych. Ale nic nie wspominała o współpracy z żadnym lekarzem.

- Dowiem się, co mogę panu powiedzieć - odezwała się Claire. - Przepraszam. Oddzwonię do pana.

- Jak najszybciej - powiedział. - Słyszałem, że celem jest zwiększenie efektywności leku o przynajmniej pięćdziesiąt procent w ciągu najbliższych dwóch miesięcy.

Claire zamrugła zaskoczona.

- Czy pan wie, jak to działa?

Doktor Mills, którego głos brzmiał normalnie i przyjaźnie, się roześmiał.

- Czy wiem tak naprawdę? Chyba nie. To przecież Morganville, jesteśmy tu zaznajomieni z pojęciem tajemnicy. Ale całkiem niezłe orientuję się, że czymkolwiek jest ten lek, nie został przeznaczony do leczenia ludzi.

Bardziej szczegółowo Claire na ten temat przez telefon rozmawiać nie chciała, nieważne jak sympatyczny wydawał się ten gość. Szybko się wymówiła i skończyła rozmowę, a potem zadzwoniła do Amelie. Miała zamiar zostawić jej wiadomość i myślała, że na tym cała sprawa się skończy.

Amelie odebrała telefon. Claire zająknęła się, wzięła głęboki oddech i opowiedziała jej o doktorze Millsie i jego prośbie.

- Powinnam była uprzedzić cię wczoraj wieczorem. Zdecydowałam się wyrazić zgodę na twoją prośbę o dodatkowe wsparcie w pracy nad tym projektem - powiedziała Amelie. - Doktor Mills to znany ekspert, mieszka w Morganville od wielu lat i nie będzie dokonywał żadnych wartościujących ocen, o które mogliby się pokusić inni. Potrafi także zachować nasze sekrety, a to jest sprawa

podstawowa. Sama rozumiesz dlaczego.

Claire wiedziała to aż za dobrze. Kryształki stanowiły lek na chorobę, która dokuczała wszystkim wampirom i która nie pozwalała im stwarzać nowych wampirów. Amelie była z nich najsilniejsza, ale ona też chorowała, a niektóre wampiry oszalały i zostały zamknięte w celach w podziemiach pod Morganville.

Na razie niewiele wampirów wiedziało o chorobie. Gdyby się dowiedziały, nie by ich nie powstrzymało przed brutalnymi atakami i obwinianiem innych. Prawdopodobnie niewinnych ludzi.

Również ludzie nie powinni wiedzieć o chorobie. Kiedy się dowiedzą, że wampiry nie są niezwyciężone, ilu zechce z nimi współpracować? Amelie już dawno rozumiała, że to by zniszczyło Morganville, a Claire była pewna, że wampirzyca ma rację.

- Ale... Ale on chce obejrzeć laboratorium Myrnina - wyjaśniła Claire. Myrnin, jej nauczyciel, a czasami także przyjaciel, oszalał i przebywał w celi. Czasami miał przebłyski świadomości, ale większość czasu... nie, i to bywało niebezpieczne. - Mam go tam zabrać?

- Nie. Powiedz mu, że wszystko, co potrzebne, przyniesiesz do szpitala. Claire, nie chcę w tym laboratorium żadnych ludzi poza tobą. Są tam sekrety, których nie wolno ujawnić, i liczę, że o to zadbasz. Jego badania ogranicz wyłącznie do dopracowania i wzmocnienia receptury, którą już stworzyłaś. - Swoim królewsko chłodnym tonem Amelie dawała do zrozumienia, że jeśli Claire puści farbę, to pożegna się z życiem. Albo i gorzej.

- Tak - przytaknęła słabym głosem Claire. - Rozumiem. A jeśli chodzi o moich rodziców...

- Są wystarczająco bezpieczni - zapewniła ją Amelie. Co nie było tym samym, co stwierdzenie, że są po prostu bezpieczni. - Przez jakiś czas nie zobaczycie pana Bishopa. A jeśli gdzieś traficie na jego obstawę, bądźcie uprzejmi, ale nie obawiajcie się; wiedzą, jak się zachować.

Być może wobec Amelie. Claire miała obawy.

- Dobrze - powiedziała niepewnie. - O ile coś się zdarzy...

- Rozmawiaj o tym z Oliverem. Co ciekawe, przekonuję się, że różnice między nami dramatycznie zmalały, odkąd mój ojciec przybył z wizytą. Nic tak nie jednoczy skłóconych sąsiadów jak wspólny wróg. - Przerwała na moment, a potem dodała niemal z zakłopotaniem: - A ty i twoi przyjaciele? Macie się dobrze?

To my teraz wdajemy się w przyjacielskie rozmówki? Claire aż zadygotała.

- Wszystko u nas w porządku, dziękuję.

- Dobrze. - Amelie rozłączyła się, a Claire cicho westchnęła: „Oooo... kej” i schowała telefon do kieszeni.

Kiedy wychodziła, spojrzała na Eve, wpatrującą się bezmyślnie w ekspres do kawy. Rozradowana mina nie wróciła. Eve była ponura. I wystraszona.

Cholera. Dlaczego zepsułam jej dzień? Powinnam była po prostu spławić tego psychola.

Claire sprawdziła godzinę, chwyciła plecak i pobiegła na zajęcia.

Później, tego samego popołudnia, spotkała się z doktorem Millsem w szpitalu, w jego gabinecie. Był takim facetem, w którym wszystko jest przeciętne - przeciętny wzrost, średni wiek, nijaka kolorystyka. Miał miły uśmiech, który jakby obiecywał, że wszystko będzie dobrze. Mimo że Claire doskonale wiedziała, że tak nie będzie, też się uśmiechnęła.

- Siadaj, Claire. - Wskazał jeden z niebieskich klubowych foteli stojących przed jego biurkiem. Za nim stały od podłogi do sufitu regały na książki - podręczniki medyczne w takich samych oprawach i trochę nowszych tomów dorzuconych dla urozmaicenia. Na jednym krańcu biurka doktora

Millsa piętrzył się stos czasopism i skserowanych artykułów, a na drugim - chwiały się stosy kart pacjentów. Oprawiona w ramkę fotografia stała tyłem do Claire, więc nie mogła się przekonać, czy ma jakąś rodzinę. Ale nosił obrączkę.

Doktor Mills nie odezwał się od razu; rozparł się w fotelu, splótł palce dłoni i przez chwilę się jej przyglądał. Oparła się wielkiej ochocie, żeby się zacząć wiercić, ale nie zdołała się powstrzymać przed nerwowym oskubywaniem palcami materiału swoich dżinsów.

- Wiedziałem, że jesteś młoda - powiedział wreszcie - ale przyznaję, teraz jestem jeszcze bardziej zdziwiony. Masz szesnaście lat?

- Za kilka tygodni siedemnaście. - Zaczynała się już przyzwyczajać, że niemal z każdym dorosłym z Morganville odbywa tę rozmowę. Powinna po prostu to sobie nagrać i odtwarzać za każdym razem, kiedy spotyka kogoś nowego.

- No cóż, z notatek, które dostarczyła mi Amelie, wynika, że masz pojęcie o tym, czym się zajmujesz. Wydaje mi się, że będę nie tyle kierował twoimi badaniami, co pomagał ci przeprowadzać eksperymenty. Kiedy dostrzegę jakąś okazję, żeby wspomóc cię wiedzą, zrobię to. Oczywiście, tutejsze szpitalne laboratoria mają bardziej nowoczesny sprzęt niż to, czym do tej pory, jak sądzę, dysponowałaś - gdziekolwiek opracowałaś te swoje kryształy. - Przejrzał na spory segregator, który leżał otwarty na biurku, i Claire zauważyła tam fotokopie swoich notatek napisanych ładnym charakterem pisma, które przekazała Amelie. - Pozwoliłem sobie zrobić porcję kryształów na podstawie twojej receptury, korzystając z wyposażenia naszego laboratorium. Przekonałem się, że jeśli przyspieszyć proces suszenia za pomocą ciepła, można zwiększyć siłę dawki o mniej więcej dwadzieścia procent.

Stworzyłem też lek w postaci płynnej, o mocniejszym działaniu, który może być wprowadzony do organizmu poprzez zastrzyk.

Zamrugła.

- Zastrzyk. - Próbowała sobie wyobrazić, jak podchodzi do Myrnina na tyle blisko, żeby wbić mu igłę w ramię, zwłaszcza kiedy będzie w złym humorze.

- Można go zaaplikować za pomocą strzałki - wyjaśnił doktor Mills. - Jak środek uspokajający dla zwierząt, chociaż w rozmowie z kimś innym nie posługiwałbym się tą analogią. To byłby brak szacunku.

Udało się jej uśmiechnąć.

- To by było... bardzo pomocne. Nie próbowałam podgrzewać kryształów. To ciekawe.

- Nie miałaś powodu próbować. Ja to robiłem, bo nie miałem czasu na ich wysuszenie; w naszym laboratorium panuje duży ruch, a nie chciałem, żeby mnie wypytywano, co tam robię. Prosiłem Amelie, żeby załatwiła nam bezpieczne laboratorium na uniwersytecie. Dla ciebie tak byłoby wygodniej, a dla mnie bezpieczniej. Mogę tam przenieść wyposażenie w miarę potrzeby albo zamówić je przez Radę. - Doktor Mills znów jej się przyjrzał. Jego brązowe oczy spoglądały bystro, spojrzeniem podobnym do spojrzenia Myrnina, tylko nawet w połowie nie tak szalonym. - A co do mojej prośby o zwiedzenie laboratorium, gdzie zrobiłaś kryształy...

- Przykro mi, to niemożliwe.

- Może gdybyś zapytała Amelie...

- Pytałam.

Westchnął.

- To kiedy będę mógł zbadać twojego pacjenta?

- Nie będzie pan go badał.

- Claire, to się nie uda, jeśli nie będę mógł zrobić pacjentowi podstawowych badań i określić wymiernej poprawy jego stanu, w miarę jak będziemy zmieniać recepturę!

Rozumiała go, ale zadrżała na samą myśl, że ten sympatyczny doktor Mills miałby się znaleźć w zasięgu kłów Myrnina.

- Dowiem się - obiecała i wstała. - Przepraszam, robi się późno. Muszę już...

Doktor Mills zerknął za okno. Za żaluzjami niebo zmieniało kolor z wyblakłego błękitu na granat.

- Oczywiście. Rozumiem. Tu masz próbkę nowych kryształów. Ale zanim mu ją dasz, zdobądź podstawowe dane, najważniejsza byłaby próbka krwi.

- Próbkę krwi - powtórzyła. Otworzył szufladę i podał jej mały, zamknięty pojemnik. Była w nim strzykawka, gaziki, chusteczki nasączone alkoholem i parę próżniowych pojemniczków. - Chyba pan żartuje.

- Nie twierdzę, że to nie będzie trudne, ale skoro nie chcesz mi pozwolić, żebym poszedł z tobą i to zrobił...

Naprawdę mogła zrobić wiele rzeczy, ale była przekonana, że nie uda jej się przytrzymać Myrnina i wbić mu igły w żyłę. Na pewno nie wtedy, kiedy będzie... w odmiennym stanie świadomości.

Wzięła zestaw i włożyła go do plecaka.

- Coś jeszcze?

Doktor Mills podał jej pistolet na strzałki. Pokazał zakończoną piórkami tubkę.

- Załadowany jest jedną dozą - powiedział. - Zrobiłem tylko kilka, destylacja trochę trwa. Tu masz dwie zapasowe. - Kiedy chowała pistolet w plecaku, dodał: - Lek jest nie testowany, więc uważaj. Moim zdaniem będzie mocniejszy i o dłuższym działaniu, ale nie jestem pewien skutków ubocznych.

- A kryształy?

Kryształy też jej podał. Były mniejsze niż te, które sama zrobiła, przypominały kryształki cukru. Je również schowała do plecaka.

- Claire - odezwał się lekarz, kiedy zakładała ciężki plecak na ramię - słyszałaś plotki o nowym wampirze w mieście?

Zamarła. Złota bransoletka, ta z wygrawerowanym symbolem Amelie, pochwyciła promień światła i zabłysła, nie żeby Claire potrzebowała napomnienia.

- Tylko o Michaelu - powiedziała. - Ale to nic nowego.

- Słyszałem, że pojawili się jacyś obcy.

Claire wzruszyła ramionami.

- Chyba się pan przesłyszał.

Wyszła, żeby nie musieć dalej kłamać. Nie powstrzymała się, żeby nie obejrzeć się na niego. Skinął jej głową i uśmiechnął się na pożegnanie.

Czuła się z tym źle, ale mogła wyjawic tylko część prawdy, nawet komuś poleconemu przez Amelie.

- Przyniosłaś mięso na hamburgery?

Claire nie zdążyła nawet położyć plecaka na podłogę, kiedy Eve zaczęła kręcić się koło niej jak nabuzowana kofeiną wróżka, wymachująca drewnianą łyżką.

- Hm... Słucham?

- Mięso. Wysłałam ci esemes.

Ups. Claire wyłowiła komórkę i zobaczyła, że owszem, ikonka wiadomości migiała.

- Nie odczytałam go. Przepraszam.

- Cholera. - Eve zawróciła i pomaszzerowała holem, przytupując martensami z wyraźnym lekceważeniem stanu drewnianych posadzek. - Michael! Wiesz co? Polecisz po zakupy!

Michael grał na gitarze coś szybkiego i trudnego. Chwilami przerywał, co było dla niego niezwykle, i ignorował Eve, co też wcale nie było normalne. Kiedy Claire weszła do salonu, zobaczyła, że stoi przy stole i zapisuje nuty na liniowanym papierze.

Okazało się, że nie tyle ignorował Eve, co nie miał zamiaru jej słuchać.

- Zajęty jestem - mruknął, wpatrując się w papier, i zagrał tę samą frazę jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Pokręcił głową z rozczarowaniem i wymazał nuty z papieru. - Idź ty z Shane'em.

- Ja gotuję! - Eve przewróciła oczami. - Artyści. Im się wydaje, że cały świat się zatrzymuje, kiedy oni zaczynają myśleć.

- Ja pójdę - zaproponowała Claire. Szansa na sam na sam z Shane'em, nawet przy czymś tak nudnym jak wycieczka do całodobowych delikatesów, była zbyt kusząca, żeby z niej zrezygnować. - I tak lepiej, żebym to sama załatwiła. Mam przepustkę. - Uniosła dłoń z bransoletką.

Michael oderwał się od zaprzętajacej mu głowę muzyki tylko na moment i rzucił okiem na Claire. Wystukał ołówkiem jakiś szybki, skomplikowany rytm na blacie stołu.

- Pół godziny - powiedział. - Tam i z powrotem. Żadnych wymówek. Jeśli się spóźnicie, pojedę was szukać i będę cholernie zły.

- Dzięki, tato. - Pożałowała, że to powiedziała nie tyle ze względu na sposób, w jaki Michael się skrzywił, ale dlatego, że to jej przypomniało o jej prawdziwym ojcu. I że licznik tykał, odmierzając czas do momentu, kiedy nie pozwoli jej dalej mieszkać tu, w Domu Glassów.

Shane wyszedł z kuchni, oblizując palec.

- Co się dzieje?

- Chyba nie wsadzałeś tych brudnych paluchów do mojego sosu? - spytała Eve, mierząc w niego drewnianą łyżką.

Szybko wyjął palec z ust.

- Po pierwsze, nie są brudne. Najpierw je oblizałem. A po drugie... Słyszałem coś o jakimś sklepie? Claire?

- Jestem gotowa.

Złapał kluczyki Eve ze stolika w holu.

- No to jedziemy.

Shane był dobrym kierowcą, a Morganville znał jak własną kieszeń; oczywiście Morganville było mniej więcej rozmiaru takiej kieszeni i były tam tylko jedno całodobowe delikatesy, Food King, lokalny interes z lokalnym właścicielem. Parking był oświetlony niczym boisko futbolowe. Stało tam już mniej więcej piętnaście samochodów, po równo ludzkich i wampirzych. Shane zaparkował prosto pod oślepiającą lampą i wyłączył silnik.

- Zaczekaj - powiedział, kiedy Claire sięgnęła do klamki. - Droga do sklepu to pięć minut, w pięć minut zrobimy zakupy, pięć minut z powrotem. Zostaje nam piętnaście minut.

Serce zabiło jej szybciej. Shane przyglądał jej się z wielkim napięciem.

- To co chcesz zrobić? - spytała, próbując mówić lekkim tonem.

- Chcę pogadać - odparł, czego zupełnie się nie spodziewała. Zupełnie nie tego. - Nie mogę

rozmawiać o tym w domu. Nigdy nie wiadomo, kto usłyszy.

- Znaczy, Michael?

Shane wzruszył ramionami.

- Po prostu nigdy nie mamy prywatności.

Nie mylił się, ale nadal czuła się strasznie rozczarowana.

- Jasne - powiedziała, wiedząc, że jej głos brzmi sztywno i z urazą. - Dawaj. Mów.

Odchrząknął.

- Poszukałem trochę informacji na temat tego Bishopa.

Sam pomysł połączenia Shane'a i szukania informacji w jednym zdaniu wydawał się niewłaściwy.

- Gdzie?

- W miejskiej bibliotece. - Wzruszył ramionami. - W dziale zbiorów specjalnych. Znam Janice, bibliotekarkę. Była przyjaciółką mojej matki. Wpuściła mnie na zaplecze, mogłem pooglądać sobie stare zbiory, rzeczy, których nie wykładają w publicznej czytelni.

- Zbiory wampirów.

Pokiwał głową.

W każdym razie udało mi się znaleźć tylko jedno odniesienie do Bishopa, może wcale nie tego samego, który miał na koncie mnóstwo morderstw jakieś pięćset lat temu.

- Wcale to nie brzmi zbyt nieprawdopodobnie.

- Tyle że nie zabijał ludzi - dodał Shane. - Ze sposobu, w jaki to było napisane, wynika, że Bishop pozabijał swoich wrogów wampirów, stając się władcą świata. A potem coś się stało i zniknął.

- Wow. Nic dziwnego, że Amelie i Oliver dostali świra.

- Jeśli przez cały ten czas ukrywał się, przy czym jest znany z tego, że usuwa każdego, kto mu stanie na drodze, człowieka czy wampira, to tak. Sam też bym świrował. W każdym razie pomyślałem, że powinnaś to wiedzieć. To może być ważne.

- Dzięki.

Pokiwał głową, nie spuszczając z niej wzroku.

- Coś jeszcze?

- Tak.

Pochylił się i pocałował ją. Przysunął się bliżej, a ona straciła oddech, jej ciało zaczęło wibrować. Och. Wargi Shane'a były ciepłe i wilgotne, miękkie, ale natarczywe, jęknęła. Jego ręce dokładnie wiedziały, jak ją przytulać. Przyłgnęli do siebie.

Było jej tak dobrze, jakby pływała skąpana w świetle słońca. Zanurzyła palce w jego miękkich włosach, a potem pogładziła go po karku i przez jedną szaloną chwilę wyobrażała sobie, jakby to było tutaj, teraz, w wielkim samochodzie Eve. Wydawało jej się, że to trwa bez końca, ta rozmarzona wieczność i ciepło.

Zsunął dłonie wzdłuż jej ramion, obrysował kontur obojczyków,, przesunął dłonie niżej. Usłyszała, że wrywa jej się z gardła odgłos bardziej przypominający kwilenie niż cokolwiek innego, naga prośba, kiedy jego ciepły dotyk sięgnął górnej krawędzi stanika, a potem przesunął się za jego krawędź i niżej...

Shane przerwał pocałunek, szybko oddychając, opierając policzek o jej policzek. Czując jego oddech przy uchu, znów zadrżała. Tak blisko, Boże, byliśmy tak blisko...

- Lepiej... lepiej już idźmy do środka - powiedział. Zabrzmiało to tak, jakby usilnie ze sobą walczył, żeby mówić normalnym tonem, ale nijak mu się nie udało, a kiedy się odsunął widziała skupienie w jego oczach i jego wilgotne, poczerwieniałe, totalnie dopraszające się pocałunków usta. Zastanowiła się, co on widzi, patrząc na nią, i wstrząśnięta doszła do wniosku, że pewnie to samo.

Głód.

- Tak - wychrypiała. Nie była pewna, czy zdoła iść, czuła się tak, jakby jej ciało się roztopiło, kolana miała miękkie.

Wzięła kilka głębokich wdechów, a potem przestała, kiedy zobaczyła, jakim wzrokiem Shane patrzy na jej podnoszący się i opadający biust. - Powinniśmy... iść po zakupy.

Shane zerknął na zegarek.

- Nie. Powinniśmy złapać mięcho, rzucić kasę kasjerowi i złamać wszystkie ograniczenia prędkości po drodze do domu, jeśli nie chcemy, żeby Michael zaczął wzywać oddziały specjalne.

To ich otrzeźwiło na tyle, że wysiedli z samochodu i poszli do sklepu, ale przez cały czas trzymali się za ręce.

W środku sklep był o wiele za jasny, a jednak wydawał się za zimny. Rzędy regałów pełnych kolorowych produktów. Kilku klientów pchało wózki, a niektórzy, Claire była pewna, musieli być wampirami, ale na pierwszy rzut oka nie mogła ich rozpoznać. Wielu doprowadziło do perfekcji udawanie ludzi. Czy to ta dziewczyna po dwudziestce, ruda, z długą listą zakupów w ręku? A może ta starsza pani z małym pieskiem, którego włożyła do wózka na zakupy? Ale nie ten tata z dwójką małych dzieci i udęconą miną - tego jednego była pewna.

Claire nie bardzo miała czas się gapić. Shane puścił jej rękę i wskazał jedną z alejek, więc poszła w stronę działu mięsnego. Decyzja w sprawie mięsa na hamburgery dotyczyła głównie wagi opakowania, a Eve nie powiedziała im, ile mają wziąć.

Claire zdecydowała się na dwie paczki i skierowała się do alejki, w której znikł Shane. Alejki z chipsami, wielka niespodzianka.

Muzyka w sklepowych głośnikach zmieniła się na denerwująca i trochę dziwną piosenkę z lat siedemdziesiątych, coś o porach roku w słońcu, i Claire zastanawiała się nad kryjącą się w tych słowach ironią, kiedy doszła do rogu alejki i zobaczyła Shane'a opartego o półki. Przyciskała się do niego jakaś kobieta.

To była wampirzyca, którą Bishop sprowadził do miasta. Miała na sobie obcisłe džinsy, dopasowaną brązową dżersejową koszulkę i czarną skórzaną kurtkę. Czarne skórzane buty za kostkę, ze sprzączkami. Kobieco, ale z pazurem. Ciemne włosy miała rozpuszczone na ramiona gęstymi, błyszczącymi falami, i skórę - koloru delikatnej porcelany, z ledwie widocznym delikatnym rumieńcem na policzkach.

Nie spuszczała oczu z Shane'a. Ścisnął w jednym ręku torbę z chipsami, ale najwyraźniej zupełnie o niej zapomniał.

Wampirzyca pochyliła się i głęboko odetchnęła, wachając szyję Shane'a. Shane przymknął oczy i się nie ruszał.

- Mmm - powiedziała leniwym, słodkim głosem. - Pachniesz pożądaniem. Czuję, jaki ci nim skóra paruje. Biedactwo, sfrustrowane i takie spragnione. Mogłabym ci pomóc.

Shane nie otwierał oczu.

- Zostaw mnie w spokoju.

Wampirzyca oparła dłoń o półkę obok głowy Shane'a. Regał zachwiał się, ale mimo wszystko nie

przewrócił.

- Grzeczniej proszę, Shanie Collinsie. Tak, wiem, kim jesteś. Sprawdziłaś nas, więc i ja też sobie trochę poczytałam. Masz problemy z tatusiem, prawda? Rozumiem. Sama też je mam. Mogłabym ci o tym wszystko opowiedzieć, gdybyś poszedł ze mną. Miło by było wyzalić się silnemu mężczyźnie.

Jej gniew znikł tak samo szybko, jak się pojawił, i znów stała się tym seksownym kociakiem wampirem, jakim była w Domu Gilassów. Przeciągnęła bladymi palcami po obojczyku Shane'a i niżej...

- Powiedziałem, zostaw mnie. - Shane otworzył oczy i spojrzał jej w twarz. - Nie jestem zainteresowany, pijawo.

- Kotku, na imię mam Ysandre. Nie żadna pijawa, suka ani krwiopijca. A jeśli chcesz przeżyć moją wizytę w tym szambiasnym mieście, nauczysz się zwracać do mnie po imieniu, Shane. - Jej blade usta wygięły się w uśmiechu. - Czy jeśli chcesz, żeby inni ludzie ją przetrwali. No, zostaliśmy przyjaciółmi.

Nachyliła się i lekko musnęła wargami usta Shane'a, a Claire zobaczyła, że zadrżał, a potem zastygł w kompletnym bezruchu. Ysandre roześmiała się, sięgnęła obok niego i wzięła z półki paczkę chipsów.

- Mniem - powiedziała. - Słonawe. Powiedz swojej dziewczynie, że podoba mi się smak jej błyszczczyku.

Odeszła. Shane i Claire tkwili bez ruchu, każde tam, gdzie stało, póki nie zniknęła im z oczu, a potem Claire podbiegła do niego. Kiedy dotknęła go, drgnął.

- Nie dotykaj mnie - powiedział. Głos miał ochryply, a jedna żyłka na jego szyi bardzo szybko pulsowała. - Nie chcę...

- Shane... To ja, Claire...

Wtedy złapał ją jak tonący chwytą koło ratunkowe, a ją zaskoczyła gwałtowność, z jaką przyciągnął ją do siebie. Głowę oparł na jej ramieniu.

Poczuła, że przeszedł go dreszcz, pojedynczy, ale to wystarczyło, żeby mogła zrozumieć, jak okropnie się czuł.

- Boże - szepnęła i łagodnie pogłaskała go po włosach. Od spodu były mokre, zlepione od potu. - Co ona ci zrobiła?

Pokręcił głową, wciąż opierając ją na ramieniu Claire. Nie mógł albo nie chciał jej odpowiedzieć. Klatka piersiowa unosiła mu się w oddechu, który przypominał westchnienie, ale był na to zbyt głęboki. Wreszcie Shane'a zaczął się odprężać.

Kiedy się odsunął, chciała spojrzeć na jego minę, ale odwrócił się tak szybko, że jego twarz tylko jej mignęła - ciemne, zranione oczy. Spojrzał na chipsy, które trzymał w ręku, i rzucił je na posadzkę, a potem odszedł.

Claire odłożyła chipsy na półkę i poszła za nim. Minał kasy, nie zatrzymując się przy nich. Odliczyła gotówkę za mięso, podała kasjerowi, złapała plastikową torbę i pognęła na rozświetlony lampami parking za swoim chłopakiem.

Już otwierał drzwi samochodu i wsiadał do środka. Dzieliło ją od niego ładnych parę metrów, kiedy włączył silnik i zobaczyła odbłask świateł hamowania, kiedy wrzucał bieg.

Przez ułamek sekundy Claire myślała, że on odjedzie i zostawi ją tam, po nocy, ale zaczekał. Otworzyła drzwi pasażera i wsiadła do środka. Shane się nie poruszył.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

Nawet na nią nie spojrział.

Wrzucił bieg i wyjechał z parkingu z piskiem opon.

ROZDZIAŁ 4

Shane poszedł prosto do swojego pokoju i nie zszedł na obiad przygotowany przez Eve - spaghetti z mięsnym sosem, z bardzo niedużą ilością czosnku ze względu na obecność wampira przy stole. Było pewnie pyszne, ale Claire nic nie mogła w siebie wmusić. Nie mogła przestać myśleć o białej twarzy Shane'a zastygłej w maskę ani o panice i odrazie w jego oczach. Nie rozumiała, co się tam stało, i wiedziała, że on nie chce być o to pytany. Nie teraz.

- No i? - Eve nawijała spaghetti na widelec, zerkając na Claire. - Jak wyszło?

- Och... fantastycznie - powiedziała Claire z taką dawką entuzjazmu, że wiedziała, że nikogo nie nabierze. Westchnęła. - Przepraszam. Po prostu...

Eve wskazała ręką sufit.

- Kierownik departamentu sztuki dramatycznej?

Michael spojrzał na nią i Claire przez moment widziała błysk w niego błękitnych oczach.

- Ma swoje powody - mruknął. - Daj spokój, Eve.

- Wybacz, ale ten chłopak potrafi zadrapanie papierem zmienić w śmiertelną ranę...

- Powiedziałem, daj spokój - rzucił Michael, tym razem ostrzej, a w jego głosie pojawiło się wyraźne polecenie. Eve przestała nawijać spaghetti na widelec. Przestała w ogóle się poruszać, tylko wpatrywała się w niego zmrużonymi oczami.

- Podsumujmy to sobie. - Delikatnie odłożyła widelec na serwetkę. - Najpierw ty zacząłeś wydziwiać i uznałeś, że jesteś zbyt zajęty, żeby jechać po zakupy. Potem Shane zrobił scenę i pomaszerował do swojego pokoju zafundować sobie sesję uzalanek na osobności. A teraz ty zaczynasz dyrygować mną, jakbym stanowiła twoją własność. Czy były jakieś ostrzeżenia przed testosteronową burzą?

- Eve.

- Jeszcze nie skończyłam. Może tobie się wydaje, że jak ci urosła para kłów, to zostałeś tutaj szefem, ale lepiej zrewiduj jeszcze swoją play listę. Bo odtwarzasz zupełnie niewłaściwy kawałek.

- Eve... - Michael nachylił się, a Claire wstrzymała oddech. Jego oczy były dziwne i poruszał się o wiele za szybko.

Mignęły jej jego zęby, które były wiele za białe, o wiele za ostre.

Eve odsunęła krzesło od stołu, wzięła swój talerz i wyniosła się do kuchni, ani razu nie oglądając się za siebie. Michael schował twarz w dłoniach.

- Chryste, co się tu stało?

Claire z trudem przełknęła. Nie czuła w ustach nic poza metalicznym posmakiem, zupełnie jakby próbowała zjeść widelec zamiast jedzenia. Zrobiło jej się zimno, czuła wielką potrzebę, żeby zrobić coś... cokolwiek.

Wzięła talerz Michaela i ustawiła go na swoim.

- Posprzątam - powiedziała.

Michael złapał ją za nadgarstek. Nie śmiała na niego spojrzeć. Nie chciała z bliska obserwować

tej zmiany w jego oczach, zmiany, którą Eve tak wyraźnie dostrzegła.

- Nie skrzywdziłbym nikogo z was. Wierzysz mi, prawda?

Usłyszała w jego głosie wątpliwość.

- Jasne - powiedziała. - Tylko że... Michael, mnie się wydaje, że ty sam jeszcze nie do końca wiesz, kim się stałeś, co się w tobie zmienia. Eve uważa, że okazywanie ci naszej słabości to kiepski pomysł. Mnie się wydaje, że ma rację.

Michael patrzył na nią tak, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. Jakby zmieniła się na jego oczach, z dziecka stając się kimś mu równym.

Z trudem przełknęła ślinę. To było mocne spojrzenie i wcale niezwiązane z jego wampirzą naturą - to był cały Michael. Ten Michael, którego podziwiała i uwielbiała.

- Tak - powiedział bardzo cicho. - Mnie się też wydaje, że ma rację. - Delikatnie dotknął policzka Claire. - Co się stało Shane'owi?

- Czy nie uważasz, tak jak Eve, że on znów się nad sobą użala?

Pomyślała, że Michael jeszcze nigdy nie miał aż tak poważnej miny.

- Nie. I wydaje mi się, że może potrzebować pomocy. Ale chyba ode mnie w tej chwili by jej nie przyjął.

- Nie jestem pewna, czy ode mnie ją przyjmie. - Claire westchnęła.

Michael wyjął jej naczynia z ręki.

- Nie doceniasz siebie.

Pokój Shane'a oświetlał tylko odblask odległych ulicznych latarni. Claire uchyliła drzwi i w smudze jasnego światła padającego z korytarza dostrzegła jego stopę. Leżał na łóżku. Zamknęła drzwi, wzięła długi, spokojny oddech i podeszła, żeby usiąść obok niego.

Nie poruszył się. Kiedy wzrok jej się przyzwyczaił do mroku, zobaczyła, że oczy ma otwarte. Wpatrywał się w sufit.

- Chcesz o tym pogadać? - spytała. Żadnej odpowiedzi. Zamrugał, to wszystko. - Dobrała się do ciebie, prawda? W jakiś sposób się do ciebie dobrała.

Przez parę długich sekund wydawało jej się, że będzie tam tylko tak leżał i ją ignorował, ale wtedy powiedział:

- Dobierają ci się do głowy, te naprawdę silne z nich. Mogą cię zmusić, żebyś... Czują różne rzeczy. Żebyś zapragnęła czegoś, czego wcale nie chcesz. Robiła rzeczy, których nigdy byś nie zrobiła. Większość nie zawraca sobie tym głowy, ale te, którym się chce... One są najgorsze.

Claire w mroku wyciągnęła rękę i napotkała jego dłoń, w pierwszej chwili chłodną, ale potem coraz cieplejszą.

- Ja jej nie chcę, Claire - powiedział. - Ale zmusiła mnie, żebym chciał. Rozumiesz?

- To nie ma znaczenia.

- Ma. Bo teraz, kiedy już raz to zrobiła, łatwo jej będzie zrobić to znowu. - Zacisnął palce na dłoni Claire na tyle mocno, że się skrzywiła. - Nie próbuj jej powstrzymywać. Ani mnie, kiedy przyjdzie co do czego. Muszę sam sobie z tym poradzić.

- Jak poradzić?

- Jak tylko się da - powiedział Shane. - Trzęsiesz się.

Naprawdę? Zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy, ale pokój wydawał się zimny. Zimny i przesiąknięty rozpaczą. Shane był tu jedynym jaśniejszym elementem.

Wyciągnęła się na łóżku twarzą do niego. Za blisko, pomyślała, jak na wymagania taty, gdyby

miał ich zobaczyć, chociaż tylko trzymali się za ręce.

Shane sięgnął na drugą stronę łóżka, znalazł koc i przykrył nim ich oboje. Koc pachniał... no cóż, pachniał Shane'em, jego skórą i jego włosami, i Claire poczuła nagły przypływ ciepła, kiedy wdychała ten zapach. Przysunęła się do niego nieco bliżej pod tym okryciem, częściowo dlatego, że chciała się rozgrzać, a częściowo - częściowo dlatego, że potrzebowała jego dotyku.

On też się do niej przysunął i przytulili się do siebie. Chociaż byli tak blisko, nie pocałowali się - Claire nie była przyzwyczajona do tego rodzaju intymności, że są tak blisko siebie... i to wszystko. Shane wysunął dłoń z jej uścisku i odgarnął parę kosmyków włosów spadających jej na oczy. Palcem obrysował jej usta.

- Jesteś piękna. Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem, pomyślałem sobie... Pomyślałem, że jesteś za młoda, żeby sama sobie dawać radę w tym mieście.

- A teraz już nie?

- Radzisz sobie lepiej niż większość z nas. Ale gdybym mógł cię przekonać, żebyś stąd wyjechała, to bym to zrobił. - W półmroku uśmiech Shane'a był nieco smutny. - Chcę, żebyś żyła, Claire. Ty musisz żyć.

Palcami dotknęła jego grzywki.

- O siebie się nie martwię.

- Nigdy się nie martwisz o siebie. Właśnie o to mi chodzi.

Bo ja się martwię o ciebie. Nie tylko ze względu na wampiry, ze względu na Jasona. On gdzieś tam się czai. A poza tym... - Shane urwał na moment, jakby nie mógł wykrztusić tego, co chciał powiedzieć. - Poza tym jestem jeszcze ja. Twój rodzice mogą mieć rację, może nie jestem najlepszy...

Przesunęła lekko palce, żeby zakryć mu usta, te jego miękkie wargi.

- Shane, ja nigdy nie przestanę ci ufać. Nie zmusisz mnie do tego.

W mroku zabrzmiał jego niepewny śmiech.

- Dokładnie o tym mówię.

- Dlatego właśnie tu zostanę - powiedziała Claire. - Z tobą. Dzisiaj w nocy.

Shane wziął głęboki oddech.

- Ubrania zostają.

- W większości - zgodziła się.

- Wiesz, twoi rodzice naprawdę mają rację co do mnie.

Claire westchnęła.

- Nie, nieprawda. Moim zdaniem nikt cię nie zna. Ani twój tata, ani nawet Michael. Shane, jesteś wielką mroczną zagadką.

Pocałował ją po raz pierwszy.

- Jestem jak otwarta książka.

Uśmiechnęła się.

- Lubię książki.

- Hej, mamy ze sobą coś wspólnego.

- Zdejmuję buty.

- Dobra, buty ściągamy.

- I spodnie.

- Nie przeginaj, Claire.

Claire ocknęła się półprzytomna i zupełnie spokojna i dopiero po długiej sekundzie dotarło do niej, że to cudowne ciepło od strony pleców promieniuje z innego ciała.

Z Shane'a.

Wstrzymała oddech. Czy on spał? Tak, chyba tak, czuła, jak powoli, spokojnie oddychał. Była w tym rozkoszna, zakazana radość, chwila, którą - wiedziała - będzie wspominać, kiedy już minie. Claire zamknęła oczy i próbowała wszystko zapamiętać - w jaki sposób naga klatka piersiowa Shane'a przylega do jej pleców, ciepła i gładka w miejscu, gdzie stykała się ich skóra. Udało jej się wynegocjować zdjęcie T - shirtów, bo pod swoim miała obcisłą bluzeczkę na ramiączkach, a Shane zmiękł na tyle, że się zgodził. Ale uparł się, że zostaną w spodniach.

Nie wspominała o tym, że pozbyła się stanika, chociaż wiedziała, że to z miejsca zauważył.

To niebezpieczne, mówił rozum. Doprowadzisz do tego, że to zajdzie za daleko. Nie jesteś jeszcze gotowa. Dlaczego nie? Dlaczego miała nie być gotowa? Bo nie skończyła jeszcze siedemnastu lat? A co niby tak magicznego kryje się w tej liczbie? Kto inny, poza nią samą, ma decydować, kiedy poczuje się gotowa?

Shane'owi wyrwał się przez sen jakiś odgłos - głębokie, pełne satysfakcji westchnienie, od którego całe jego ciało zawibrowało. Założę się, że gdybym się obróciła i go pocałowała, udałoby mi się go przekonać...

Dłoń Shane'a spoczywała w zagłębieniu tuż nad jej biodrem, ciepłym bezwładnym ciężarem, i to stąd wiedziała, kiedy się obudził.

Starła się nie ruszać, oddychać powoli i spokojnie. Shane powoli, delikatnie przesunął dłoń w górę, ledwie dostrzegalnym ruchem, a potem odsunął się od niej i usiadł, zwrócony w stronę okna. Claire odwróciła się w jego stronę, trzymając koc naciągnięty aż po szyję.

- Dzień dobry - powiedziała. Głos miała senny i leniwy, i dostrzegła fragment jego twarzy, kiedy lekko obrócił się w jej stronę. Słońce ciepło oświetlało jego skórę, zupełnie jakby został oproszony złotem.

- Dzień dobry - odparł i pokręcił głową. - Ludzie. To nie było mądre.

Zupełnie inaczej sama o tym myślała. Shane wstał, a ona aż wstrzymała oddech na widok dzinsów nisko opuszczonych na biodrach, i tego, jak jego kości i mięśnie układały się w różne krzywizny, która aż prosiły, żeby ich dotknąć...

- Łazienka. - Wypadł z pokoju tak szybko, jakby był wampirem. Claire usiadła i czekała, ale kiedy nie wracał, zaczęła powoli znów się ubierać. Stanik zapięty jak należy. Bluzeczka na ramiączkach schludna i skromna, jeśli nawet pomięta. Dzinsy i tak miała na sobie. Jej włosy wyglądały tak, jakby usiłowała czesać się blenderem. Wciąż z nimi walczyła, kiedy usłyszała znajomy tupot ciężkich butów Eve na korytarzu za drzwiami, kierujących się na sam koniec korytarza.

Do pokoju Claire.

O cholera.

Eve załomotała do drzwi.

- Claire?

Claire cicho wyslizgnęła się z pokoju Shane'a i dopiero kiedy zrobiła parę kroków w stronę neutralnego terytorium, odezwała się:

- O co chodzi?

Eve, która otworzyła drzwi pokoju Claire i zaglądała do środka, okręciła się na pięcie tak szybko, że omal się nie przewróciła. Dzisiaj była ultragotycka - ciemnofioletowa sukienka we wzór

ludzkich czaszek, białe - czarne rajstopy w paski, naszyjnik obroża z czaszką. Włosy miała zaczesane w przeraźliwie postrzępiony kucyk, a makijaż utrzymany w zwyczajowej bieli papieru ryżowego i smolistej czerni, z dodatkiem ciemnowiśniowej szminki.

- A skąd się tu wzięłaś? - spytała. Claire wskazała na schody. - Właśnie stamtąd przyszedłam.

- Łazienka - wyjaśniła Claire. Eve zmarszczyła brwi, ale nie przypierała jej do muru.

- Chodzi o Michaela - powiedziała. - Znikł.

- Pojechał do pracy?

- Nie, znikł. Znaczący, wyniósł się gdzieś po nocy, nie powiedział mi, dokąd idzie, i nie wrócił.

Sprawdzałam - nie ma go w tym sklepie muzycznym. Martwię się, zwłaszcza że... - Do Eve jakby nagle coś dotarło i szeroko otworzyła oczy. - O mój Boże, ty masz na sobie to samo co wczoraj? Nie zesłałaś chyba na złą drogę, prawda? Bo jeśli tak, to ja totalnie nie będę mogła spojrzeć w twarz twoim rodzicom.

- Nie, nie, to nie tak... - Claire poczuła, że rumieniec zalewa jej szyję i zaczyna się wspinać ku policzkom. - Ja po prostu... Rozmawialiśmy i zasnęliśmy. Przysięgam, my nie, hm...

- Lepiej, żebyście nie hm, bo jeśli tak, to... - Eve usiłowała zdusić uśmiech. - To byłoby fatalnie.

- Ja wiem, ja wiem. Ale my nie tego. I nie będziemy, dopóki... - Dopóki go nie przekonam, że możemy. - Nieważne. A co do Michaela... Co chcesz zrobić?

- Iść gdzieś i zacząć pytać. Zaczynając od Common Grounds, chociaż zupełnie nie mam na to ochoty; Sam pewnie tam jest, albo możemy mu zostawić wiadomość. Słyszałam, że znów pokazuje się publicznie. - Sam był dziadkiem Michaela i wampirem. O mało nie zginął, pchnięty kołkiem w serce, i dopiero Amelie zdołała go uratować. Ale to go osłabiło. Claire ucieszyła się, że już mu lepiej. Czowała, że Sam to jeden z najlepszych wampirów. Taki, któremu mogła zaufać. - No i co? Idziemy?

Shane nadal nie wychodził z łazienki.

- Pięć minut - powiedziała Claire z rezygnacją. Zero szansy na gorący prysznic ani choćby na czyste ubrania. Najlepsze, jakie miała pod ręką, były już noszone, tyle że w nich nie spała. Może uda jej się znaleźć w kącie szuflady czyste majtki...

Ktoś zastukał do frontowych drzwi. Zdecydowanie, niecierpliwie. Było jeszcze wcześniej, a liczba osób wpadających z wizytą bez zapowiedzi i była zwykle w Morganville raczej niska;

Claire włożyła mniej pognieciony z dwóch T - shirtów, świeżą bieliznę i stare dzinsy, a potem wybiegła na korytarz, wciąż jeszcze dopinając spodnie. Eve ją wyprzedziła i już schodziła po schodach, a kiedy Claire mijała łazienkę, Shane otworzył jej drzwi i wystawił głowę na zewnątrz.

- Co się dzieje?

- Nie wiem! - odkrzyknęła i pobiegła za Eve.

A działo się to, że kurier przyniósł kopertę, której odbiór Eve musiała pokwitować. Kiedy obracała ją w dłoniach, Claire zauważyła nazwisko wypisane niezwykle pięknym charakterem pisma: „Pan Shane Collins”. Pod nazwiskiem był nawet ozdobny zawijas. Koperta była z grubego, kremowego papieru, z tyłu opatrzona złotą pieczęcią i jakimś herbem.

Eve uniosła kopertę do nosa, powąchała i uniosła brwi.

- Wow! - krzyknęła Eve. - Drogie perfumy.

Pomachała kopertą w stronę Claire, a ta wyczuła ciężki, piżmowy zapach - pełny obietnicy i niebezpieczeństwa.

Shane przydreptał na dół na bosaka, ubrany wyłącznie w dzinsy, pomijając ręcznik owinięty

wokół szyi. Zwolnił, kiedy obie obróciły się w jego stronę.

- Co jest?

Eve uniosła kopertę.

- Pan Shane Collins.

Wziął kopertę i otworzył. W środku była złożona na pół kartka tego samego drogiego kremowego papieru, z wypukłym drukiem. Shane długą chwilę wpatrywał się w nią, a potem schował ją powrotem do koperty i oddał Eve.

- Spal to - powiedział.

I wrócił na górę.

Eve natychmiast znów wyjęła kartkę z koperty, a skoro już to zrobiła, Claire bez poczucia winy przeczytała tekst, zerkając jej przez ramię.

„Zapraszamy Pana na bal maskowy i ucztę na cześć przyjazdu Starszego Bishopa, w sobotę dwudziestego października, w siedzibie Rady Starszych o północy.

Na balu będzie Pan towarzyszył lady Ysandre i oczekuje się, że będzie Pan do jej dyspozycji”.

- Kto to jest Ysandre? - spytała Eve.

Claire za bardzo zmartwiła się sformułowaniem „do jej dyspozycji”, żeby odpowiedzieć.

Znalazły Sama Glassa w Common Grounds, gdzie siedział i rozmawiał i dwiema osobami, których Claire nie rozpoznawała, ale Eve najwyraźniej owszem, sądząc po skinieniach głowy, jakie wymienili. Ludzie, bo nosili bransoletki. Pożegnali się i wstali z krzeseł, robiąc miejsca dla Claire i Eve.

Sam bardzo przypominał Michaela - może nieco starszego, z nieco szerszą szczęką. Michael miał złote włosy, a Sam rude, ale byli podobnej budowy.

Nie tak dawno temu o mały włos przez to nie zginął, kiedy raniono go kołkiem przeznaczonym dla Michaela. Claire pomyślała, że nadal wydaje się wymizerowany i chyba zmęczony. Ale uśmiech miał szczery, kiedy skinął im głową na powitanie.

- Moje panie - powiedział. - Dobrze was widzieć. Eve, nie sądziłem, że kiedyś tu jeszcze przyjdiesz, w każdym razie nie z własnej woli.

- Wierz mi, gdyby nie ty, nie przyszedłbym - powiedziała i nerwowo postukała ciemnofioletowymi paznokciami o blat stolika. - Wiesz może, gdzie jest Michael?

Sam uniósł rudawe brwi.

- Nie ma go w pracy?

- Wyszedł wczoraj wieczorem, nie powiedział, dokąd idzie. Od tego czasu go nie widziałyśmy, a w pracy go nie ma. I co? Jakies pomysły?

- Nic dobrego - powiedział Sam i oparł plecy o oparcie krzesła. - Wziął samochód?

- O ile wiem, tak. A co?

- GPS. Wszystkie nasze samochody da się namierzyć.

- Wow, dobrze wiedzieć, w razie gdybym kiedyś zamierzała zająć się tu kradzieżami samochodów - powiedziała Eve. - Kto ma ten supertajny sprzęt do namierzania i jak mam go dostać w swoje łapy?

- Ty nie - powiedział Sam. - Ja się tym zajmę.

- Zaraz?

- Jak tylko się da.

- Ale ja muszę go znaleźć! Bo co, jeśli... - Eve nachyliła się jeszcze bliżej i zniżyła głos do

szeptu. - Co, jeśli ktoś go porwał?

- Kto?

- Bishop!

Oczy Sama rozszerzyły się, a w całej kawiarni zaczęły się unosić głowy. Głównie wampirów, pomyślała Claire, które знаły faceta, a przynajmniej jego nazwisko. I które potrafiły z drugiego krańca pomieszczenia usłyszeć szept.

- Cicho - powiedział Sam. - Eve, nie wtrącaj się do tego. Żadne z was nie powinno się w to mieszać. To nasze sprawy.

- To także nasze sprawy. Facet był w naszym domu. Groził nam wszystkim - wycedziła Eve. - Nie możesz sprawdzić od razu? Bo jak nie, to ja dzwonię do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i powiem im, że tu się po ciemku czai cała banda terrorystów.

- Nie odważysz się.

- Och, jasne, że się odważę. Z dziką radością. I powiem im, żeby przywieźli łóżka do opalania i przeprowadzali rozmowy z podejrzanymi w samo południe na parkingu.

Sam pokręcił głową.

- Eve...

Eve walnęła pięścią w stół. Zabrzmiało to jak wystrzał z rewolweru i wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

- Ja nie żartuję, Sam!

- Owszem, żartujesz. Bo gdybyś mówiła poważnie, to groziłabyś osobom, które kontrolują los każdego twojego następnego uderzenia serca, a to byłoby bardzo, bardzo głupie. A teraz powiedz, że pozwolisz mi to samemu załatwić.

Eve nawet nie mrugnęła.

- Czy tu chodzi o Bishopa? Dlaczego on tu jest? Co tu robi? Dlaczego tak się go boicie?

Sam wstał i stał się niedostępny i chłodny.

- Wracajcie do domu - polecił. - Ja znajdę Michaela. Wątpię, żeby miał kłopoty, i wątpię, czy to ma jakikolwiek związek z Bishopem.

Eve też wstała i Claire po raz pierwszy dostrzegła w niej osobę dorosłą - kobietę, która rozmawiała z Samem jak równy z równym.

- Lepiej, żebyś miał rację - powiedziała spokojnie. - Bo jeśli Michaelowi cokolwiek się stanie, to sprawa dopiero się zacznie. Przysięgam.

Sam patrzył za nimi. Tak samo jak wszyscy inni. Niektórzy mieli zaniepokojone miny, inni rozradowane. Jeszcze inni rozżłoszczone.

Ale nikt ich nie zignorował, kiedy wychodziły. Nikt. I to było... niepokojące.

Wsiadły do samochodu, a Eve zapaliła silnik bez słowa. Claire wreszcie odważyła się zadać pytanie.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu - powiedziała Eve. - Dam Samowi szansę dotrzymać słowa.

Claire pomyślała, że to oznacza, że Eve będzie gryzła ściany i wydrepcze w parkiecie dziury. A Claire nie miała zielonego pojęcia, co zrobić, żeby jej jakoś ulżyć.

Ale w sumie od tego są przyjaciele... Żeby być przy człowieku po to, żeby nie zrobił czegoś szalonego.

Były w domu dokładnie godzinę, kiedy telefon zadzwonił. Shane siedział obok aparatu - zaklepał

sobie to miejsce, bo martwił się, że Eve będzie bez przerwy podnosiła słuchawkę, żeby sprawdzać, czy linia działa - i odebrał po pierwszym dzwonku.

- Dom Glassów - powiedział. Claire zobaczyła, że zastygł w bezruchu. - Wal się na ryj.

I cisnął słuchawką.

Claire i Eve spojrzwały na niego z otwartymi ustami.

- Co u diabła...? - wypaliła Eve i rzuciła się do telefonu. Wyłączyła i włączyła aparat ponownie.

- Gwiazdka sześćdziesiąt dziewięć - podpowiedziała jej Claire kod oddzwaniania pod numer, z którego się łączono. - Shane...Kto to był?

Nie odpowiedział. Zaplótł ramiona na piersi. Eve gorączkowo wybierała kod.

- Dzwoni - powiedziała. A potem jak Shane zamarła w bezruchu.

Osunęła się na krzesło.

- Nie trzeba było - powiedział Shane.

Eve przymknęła oczy i się zgarbiła.

- Tak, to ja - powiedziała. - O co chodzi, Jason?

Claire zerknęła na Shane'a i musiała przy tym zrobić minę winowajcy, bo przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Widziałaś się z nim? - zapytał.

Skłamać czy powiedzieć prawdę?

- Tak - przyznała, chociaż to zdecydowanie nie było polityczne. - Widziałam go wczoraj rano po drodze na zajęcia. Powiedział, że chce pogadać z Eve.

Och, to spojrzenie. Stal by stopniała.

- I zapomniałaś, że ucięłaś sobie pogawędkę z seryjnym zabójcą? Super, Claire. Bardzo inteligentnie.

- Nie zapomniałam... Nieważne. - Nie zdołałaby wytłumaczyć tego, co wyczuła w Jasonie, na pewno nie Shane'owi, którego najżywsze wspomnienie tego małego świra wiązało się z ciosem zadany mu przez Jasona nożem w brzuch. - Przepraszam. Powinnam była ci powiedzieć.

Eve uciszyła ich gestem i pochyliła się nad telefonem, uważnie słuchając.

- Powiedział co?! Żartujesz chyba. Nie możesz mówić poważnie.

Najwyraźniej jednak mówił poważnie. Eve jeszcze parę chwil słuchała, a potem powiedziała:

- No dobra. Nie, nie wiem. Może. Cześć.

Odłożyła słuchawkę na widełki i wpatrzyła się w nią. Minę miała zmrozoną.

- Eve? - spytała Claire. - Co się stało?

- Mój tata. On jest... jest chory. Jest w szpitalu. Oni... Oni myślą, że z tego nie wyjdzie. To wątroba.

- Och - szepnęła Claire i nachyliła się przez stół, żeby wziąć Eve za prawą rękę. - Bardzo mi przykro.

Palce Eve były chłodne.

- No cóż... Sam się o to prosił, wiesz? Tata dużo pił, a poza tym... Nie mieliśmy z Jasonem zbyt fajnego dzieciństwa. - Spojrzała w oczy Shane'owi. - Sam wiesz.

Pokiwał głową. Wziął ją za lewą rękę i wbił wzrok w stół.

- Nasi ojcowie czasem bywali kumplami od kieliszka - wyjaśnił. - Ale ojciec Eve był gorszy. O wiele gorszy.

Claire, która poznała ojca Shane'a, jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić.

- Jak długo...?

- Jason powiedział, że może ze dwa dni. Niedługo. - Oczy Eve wypełniły się łzami, które nie chciały popłynąć. - Skubaniec. I w ogóle, czego on ode mnie oczekuje? Że tam pobiegnę, żeby siedzieć i patrzeć, jak umiera?

Shane nie odpowiedział. Nie podnosił głowy. Po prostu tam... siedział. Claire nie miała pojęcia, co robić, jak się zachować, więc wzięła przykład z niego. Eve nagle mocno ścisnęła jej rękę.

- On mnie wyrzucił z domu. Powiedział mi, że jeśli nie pozwolę się ugryźć Brandonowi, to nie jestem już jego córką. No cóż, a teraz zdycha. Nic mnie to nie obchodzi.

Owszem, obchodzi cię, Claire chciała to powiedzieć, ale nie mogła. Eve próbowała przekonać samą siebie, to wszystko. Po mniej więcej trzydziestu sekundach pokręciła głową, a łzy zaczęły płynąć po jej bladej twarzy dwoma brudnymi strużkami.

- Zawiozę cię - powiedział Shane cicho. - Nie będziesz musiała tam zostawać, jeśli nie zechcesz.

Eve pokręciła głową. Wydawało się, że nie może złapać tchu.

- Szkoda, że Michael...

Claire przypomniała sobie, że przecież nadal czekają na telefon od Sama.

- Ja zostanę - oznajmiła. - Zadzwoń, kiedy Sam się odezwie. Powiem Michaelowi, żeby tam pojechał, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Eve słabo. - Ja... Chyba muszę wziąć torebkę.

Otarła oczy i wyszła do pokoju obok. Shane spojrział na Claire, a ona zastanawiała się, co to wszystko znaczy dla niego; czy budzi wspomnienia o ojcu, o zmarłej matce i siostrze, o rodzinie, której właściwie już nie miał.

Jesteś wielką mroczną zagadką, powiedziała mu wcześniej i teraz te słowa wydawały się jeszcze prawdziwsze.

- Uważaj na nią - poprosiła Claire. - Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Pocałował ją w usta, a po paru minutach usłyszała łomot frontowych drzwi. Zamki się zatrzasnęły. Claire usiadła przy telefonie i czekała.

Rzadko czuła się tak samotna jak w tej chwili.

Po dziesięciu minutach telefon zadzwonił.

- Wraca do domu - powiedział Sam i odłożył słuchawkę.

Żadnego wyjaśnienia.

Claire zazrzytała zębami i czekała dalej.

Mniej więcej po kolejnych dwudziestu minutach samochód Michaela zatrzymał się na podjeździe. Niewielką odległość dzielącą go od garażu do tylnych drzwi pokonał kilkoma szybkimi susami, głowę zasłaniając wielkim czarnym parasolem, który zostawił przy drzwiach. Mimo to, kiedy wszedł do kuchni, Claire poczuła bijący od niego lekki zaduch spalenizny. Michael drżał.

Spojrzenie miał puste i znużone.

- Michael? Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. Muszę odpocząć, to wszystko.

- Ja... Gdzie byłeś? Co się stało?

- Byłem u Amelie. - Potarł twarz dłońmi. - Posłuchaj, mnóstwo się dzieje. Powinienem być wam zostawić jakąś kartkę, przepraszam. Następnym razem postaram się dać wam znać.

- Eve jest w szpitalu - wypaliła Claire. - Jej tata umiera.

Michael się wyprostował.

- Co takiego?

- Coś w związku z wątrobą, pewnie przez to jego picie.

W każdym razie powiedzieli, że umiera. Pojechała tam do niego z Shane'em. - Claire przyglądała mu się przez kilka chwil. - Powiedziałam jej, że zadzwonię, jak wrócisz do domu. Jeśli nie chcesz tam jechać...

- Nie. Nie, pojedę. Ona potrzebuje... - Wzruszył ramionami. - Potrzebuje ludzi, którzy ją kochają. Trudno jej będzie stawić czoło rodzicom.

- Tak - zgodziła się Claire. - Była bardzo przybita. - No oczywiście, że była przybita. Co za idiotyczna uwaga. - Chyba ucieszyłaby się, gdybyś tam pojechał.

- Pojadę. - Michael uniósł brwi. - A ty? Chcesz zostać tutaj?

Claire spojrzała na zegar na ścianie.

- Mógłbyś mnie gdzieś podrzucić?

- Dokąd?

- Muszę zobaczyć się z Myrninem. Przepraszam, ale obiecałam.

Nie żeby odwiedziny u jej szalonego nauczyciela wampira miały się okazać przyjemniejsze niż wizyta w szpitalu.

ROZDZIAŁ 5

Ktoś odnowił celę Myrnina, i nie zrobiła tego Claire, chociaż przyszło jej to do głowy.

Kiedy więc zesłała przejściem z laboratorium do podziemi, gdzie umieszczono najciężej chore wampiry z Morganville, zdziwiła się, gdy zobaczyła, że Myrnin ma w celi elektryczne światło, a także telewizor i zestaw hi - fi, z którego leciała właśnie muzyka klasyczna.

W celi Myrnina, z początku urządzonej ascetycznie jak cela mnicha, teraz na podłodze leżał gruby, drogi na pierwszy rzut oka, turecki dywan. Wąską pryczę zastąpiło szerokie wygodne łóżko. W kątach celi stały wysokie do pasa stosy książek.

Myrnin leżał na łóżku z rękoma splecionymi na brzuchu. Wyglądał młodo - prawie tak młodo jak Michael. Było w nim też coś w nieokreślony sposób starego - długie, kręcone czarne włosy i styl zupełnie nie z tej epoki. Miał na sobie niebieski jedwabny szlafrok z deseniem w smoki.

Ktoś ją uprzedził i zadbał o niego. Poczula się winna.

Nie otworzył oczu, ale się przywitał:

- Cześć, Claire.

- Hej. - Nie podchodziła i obserwowała go. Wydawał się dość spokojny, ale z Myrninem nigdy nic nie było wiadomo. - Jak się masz?

- Nudzę się - powiedział i parsknął śmiechem. - Nudzę się, nudzę, nudzę. Nie miałem pojęcia, że cela może być takim więzieniem.

Otworzył oczy. Źrenice miał bardzo rozszerzone. Spojrzenie zupełnie nie z tego świata, aż przeszły jej ciarki po plecach.

- Przyniosłaś mi coś do jedzenia? - spytał. - Coś soczyste go?

Zdecydowanie nie czuł się dobrze. Nie cierpiała, kiedy sit; taki robił - okrutny i leniwy, gotów powiedzieć czy zrobić wszystko. To było tak, jakby Myrnin, którego lubiła, po prostu zniknął, pojawiała się jego mroczna, zła wersja.

Myrnin zsunął się z łóżka płynnym ruchem pozbawionego kości gada. Chwycił pręty i utkwiał w Claire puste pojrzenie.

- Słodka, słodka Claire - mruknął. - Taka dzielna, że tu przychodzi. Chodź, Claire. Podejdź tu bliżej. Będiesz musiała, jeśli będziesz chciała pomóc.

Uśmiechnął się i chociaż nie pokazywał kłów, poczuła na karku oddech drapieżnika.

- Mam nowe lekarstwo - powiedziała. Wyjęła z plecaka buteleczkę z kryształkami. Na szczęście była plastikowa, więc mogła ją rzucić bez obawy, że się rozbije. Przerzuciła ją pod prętami celi. Buteleczka zatrzymała się przy stopie Myrnina. - Musisz je zażyć, Myrnin.

Nawet się nie schylił.

- Chyba nie podoba mi się twój ton. Nie będziesz mi rozkazywała, niewolnico. To ja rozkazuję tobie.

- Nie jestem twoją niewolnicą.

- Jesteś moją własnością.

Claire otworzyła plecak, wyjęła pistolet, który dostała od doktora Milesa, i strzeliła do niego.

Myrnin zatoczył się w tył, wpatrując we własny brzuch, i dotknął palcami żółtych piórek strzałki ze strzykawką.

- Ty mała suko - wycedził i usiadł na łóżku. Przewrócił oczami, kiedy lek zaczął działać, i się położył.

- Może i jestem suką, ale nie twoją własnością - powiedziała Claire. Nie ruszyła się z miejsca, w którym stała, i załadowała na wszelki wypadek drugą strzałkę. Patrzyła, jak przez chwilę jego mięśnie drżały, a potem się rozluźniły. - Myrnin?

Zamrugał i zobaczyła, że źrenice zaczynają mu się kurczyć do normalnej wielkości.

- Auć. - Wyciągnął sobie strzałkę z brzucha. Przyjrzał się jej z zaciekawieniem, a potem ostrożnie odłożył na bok. - Claire, mam wrażenie, że byłem... nieprzyjemny.

- Nie wiem. Dopiero co przyszłam. Hej, kto ci przyniósł te wszystkie rzeczy?

Myrnin rozejrzał się wkoło i zmarszczył brwi.

- Ja... Szczerze mówiąc, nie jestem do końca pewien. Chyba jedno z tych stworzeń Amelie - powiedział bez przekonania. - Przed chwilą byłem dla ciebie wredny, prawda?

- Trochę - przyznała. - No ale z drugiej strony, ja do ciebie strzeliłam.

- A, tak. Powiedz, czy z jakiegoś szczególnego powodu strzeliłaś mi w brzuch, a nie w klatkę piersiową.

- Mniej kości - powiedziała. - A poza tym ręce mi się trzęsły. Jak się teraz czujesz?

Westchnął i usiadł.

- Lepiej - powiedział. - Ale nie ufaj mi. Nie wiemy, jak długo to potrwa, prawda?

- Tak. - Claire odłożyła pistolet i podeszła bliżej krat. Ale nie tak blisko, żeby mógł ją chwycić.

- To nowa formuła kryształków? W postaci płynu?

Pokiwała głową.

- Mają silniejsze działanie, ale nie jestem pewna, czy będą działały tak samo długo. Twój organizm może szybciej je rozłożyć, więc musimy być ostrożni.

- Nastaw zegar - polecił. Spojrzał na siebie i roześmiał się cicho. - Moja mroczna strona ubiera się lepiej niż ja sam. - Wstał, sięgnął po ubrania złożone schludnie na stoliku obok łóżka i poluzował pasek szlafroka. Zawahał się, uśmiechnął i uniósł brwi. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Claire...?

- Och. Przepraszam. - Claire się odwróciła. Nie lubiła mieć go za plecami, nawet przy zamkniętych drzwiach celi. Zachowywał się lepiej, kiedy wiedział, że ona patrzy. Skupiła się na niewyraźnym odbiciu jego sylwetki w ekranie telewizora, kiedy zdjął szlafrok i zaczął się ubierać. Niewiele widziała poza tym, że był bardzo blady. Kiedy już była pewna, że zapiął spodnie, obejrzała się za siebie. Stał plecami do niej i nie mogła się powstrzymać, żeby nie porównać go z jedynym mężczyzną, którego widziała rozebranego do pasa. Shane był szeroki w barach, umięśniony, silny. Myrnin wyglądał delikatnie, ale pod bladą skórą miał mięśnie wyrobione bardziej niż Shane, była tego pewna.

Myrnin odwrócił się, zapinając koszulę.

- Już od dawna żadna młoda dziewczyna nie przyglądała mi się z takim zainteresowaniem - powiedział. Odwróciła wzrok, czując, że rumieniec oblewa jej policzki i szyję. - Nic nie szkodzi, Claire. Nie czuję się urażony.

Odchrząknęła.

- Jakieś skutki uboczne ulepszanego leku?

- Ciepło mi - powiedział i się uśmiechnął. - To bardzo przyjemne.

- Za ciepło?

- Nie mam pojęcia. Od dawna nie czułem niczego takiego, więc nie jestem pewien, czy umiem zauważyć różnicę. - Chwycił kraty celi. - Jak długo zamierzasz czekać?

- Sprawdzimy, po jakim czasie lek przestanie działać, żeby wiedzieć dokładnie, na jak długo można cię bezpiecznie wypuścić.

- Ale przez cały czas pistolet ze strzałkami będziesz miała pod ręką, prawda? - Oparł się swobodnym gestem o kraty, elegancki i odprężony. W jego oczach nadal widziała nieco niepokojący błysk. - To o czym porozmawiamy? Jak ci idą studia, Claire?

Wzruszyła ramionami.

- No wiesz.

- Nadal są za łatwe, jak podejrzewam.

- Widzisz? Wiesz... - Claire się zawahała. - Mamy w mieście gości.

- Gości? - Myrnin nie wydawał się zainteresowany. - Czy koniec roku już blisko? Nie mam pojęcia dlaczego, u licha, Amelie toleruje te wszystkie ludzkie tradycje.

- Goście są wampirami.

Przez sekundę milczał, tylko na nią patrzył, a potem odezwał się ochryplym głosem:

- Na miłość boską, kto to? - Zacisnął palce na kratkach tak mocno, że się bała, że kości sobie połamie. - Kto?!

Nie spodziewała się takiej reakcji.

- Nazywa się Bishop - odparła. - Mówi, że jest ojcem Amelie...

Twarz Myrnina zbladła jak gipsowa maska.

- Bishop - powtórzył. - Bishop jest tutaj. Nie, to niemożliwe. - Odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze. Rozluźnił chwyt na kratkach. - Powiedziałaś: goście. W liczbie mnogiej.

- Przyjechały z nim dwa wampiry. Ysandre i François .

Myrnin zmełł pod nosem przekleństwo.

- Znam ich oboje. Co się wydarzyło od przyjazdu Bishopa? Co mówi Amelie?

- Powiedziała, że mamy się od niego trzymać z daleka. Sam i Oliver mówią tak samo.

- Wydał jakieś oświadczenie? Czy Amelie planuje jakieś uroczystości?

- Shane dostał zaproszenie - odparła. - Na jakiś bal. Mówi, że musi tam iść jako osoba towarzysząca Ysandre.

- Jezu - powiedział Myrnin. - Ona to robi. Uznaje jego status, wydając na jego cześć powitalną ucztę.

- A co to znaczy?

Myrnin załomotał nagle kratami.

- Wypuść mnie. Już!

- Ja... nie mogę, przykro mi. Wiesz, jak to działa. Za pierwszym razem, kiedy testujemy nową recepturę, musisz zostać...

- Już - warknął i w jego oczach pojawił się straszny błysk. - Claire, ty nie masz pojęcia, co tu się dzieje! Nie stać nas teraz na ostrożność.

- No to powiedz mi, o co chodzi! Proszę! Ja chcę pomóc!

Myrnin z wyraźnym trudem zapanował nad sobą, puścił kraty i usiadł na łóżku.

- Dobrze. Siadaj. Spróbuję ci wyjaśnić.

Claire pokiwała głową. Przysunęła sobie metalowe krzesło - pewnie pozostałość z czasów, kiedy to miejsce wykorzystywano jako więzienie - i też usiadła.

- Opowiedz mi o Bishopie.

- Poznałaś go? - Claire skinęła głową. - No to już wiesz wszystko, co powinnaś wiedzieć. On nie przypomina wampirów, które tutaj poznałaś, Claire, nawet tych najgorszych. Amelie i ja jesteśmy nowoczesnymi drapieżnikami, tygrysami w dżungli.

Bishop pochodzi z innych czasów. To Tymnosaurusrex.

- Ale on naprawdę jest ojcem Amelie?

Tym razem to Myrnin pokiwał głową.

- Był wielkim watażką. Mordercą na skalę, którą trudno byłoby ci sobie wyobrazić. Myślałem, że zginął wiele lat temu. Ale fakt, że tu teraz przyjechał... Claire, to bardzo źle wróży. Naprawdę bardzo źle.

- Dlaczego? Skoro jest ojcem Amelie, może po prostu chciał ją zobaczyć...

- On tu nie przyjechał odświeżać radosne wspomnienia - powiedział Myrnin. - Prawdopodobnie, przyjechał się zemścić.

- Na tobie?

Myrnin powoli pokręcił głową.

- To nie ja próbowałem go zabić - powiedział.

Claire wstrzymała oddech.

- Amelie? Nie... Nie mogłaby. Nie własnego ojca.

- Lepiej, żebyś nie zadawała już dalszych pytań, moja mała. Wystarczy, żebyś wiedziała, że on ma powód, żeby nienawidzić Amelie. Powód wystarczający, żeby tu przyjechać i próbować zniszczyć wszystko, nad czym pracowała i co osiągnęła.

- Przecież ona usiłuje ratować wampiry. Powstrzymać chorobę. On musi to rozumieć. Nie chciałby chyba...

- Nie masz pojęcia, czego on by chciał i co byłby zdolny zrobić. - Nachylił się, opierając łokcie na kolanach, i mówił z całą powagą: - Bishop pochodzi z czasów, zanim powstały wśród wampirów koncepcje współpracy i poświęcenia. Traktuje je z pogardą. Jak ty byś to powiedziała, to oldskulowe zło i liczy się dla niego wyłącznie władza. Nie uznaje władzy Amelie.

- No to co mamy robić?

- Po pierwsze, wypuść mnie stąd - powiedział. - Amelie będzie potrzebowała przyjaciół.

Claire powoli pokręciła głową. Minuty mijały, a Myrnin wydawał się spokojny, ale musiała przestrzegać reguł.

- Claire...

Podniosła wzrok. Twarz Myrnina była nieruchoma i poważna. Wydawał się w pełni nad sobą panować. To był Myrnin, jakiego rzadko widywała - nie tak czarujący, jak jego maniackalna wersja, nie tak przerażający, jak ta rozgniewana. To była prawdziwa, zrównoważona osoba.

- Nie daj się w to wszystko wciągnąć - ostrzegł. - Dla Bishopa ludzie nie istnieją, chyba że jako pionki w grze albo pożywienie.

- Wydawało mi się, że dla wielu z was tym właśnie jesteśmy - powiedziała. Myrnin szerzej otworzył oczy i się uśmiechnął.

- Masz trochę racji. Jako gatunek charakteryzujemy się niedoborem empatii - odparł. - Ale

przynajmniej się staramy. Bishop i jego przyjaciele nie zadają sobie tego trudu.

Receptura leku okazała się o wiele lepsza niż poprzednia. Myrnin zachowywał się normalnie przez niemal cztery godziny, wynik, który zachwycił go tak samo jak ją. Kiedy jednak zaczął się męczyć i z powrotem pogrążyć w oszołomieniu i gniewie, Claire zatrzymała timer, zrobiła notatki i sprawdziła wielką lodówkę na środku korytarza. Pomyślała, że pewnie zaplanowano ją jako wyposażenie kuchni, którą już dawno zlikwidowano, ale wyglądała jak wielka, stalowa lodówka z kostnicy.

Ktoś zapomniał uzupełnić zapasy krwi. Claire zapisała to, zabierając jedzenie dla Myrnina, i wrzuciła torebki z krwią do jego celi. Nie czekała, żeby patrzeć, jak je będzie rozdzierał.

Zawsze robiło jej się od tego niedobrze.

Z pozostałymi wampirami nie dałoby się już porozmawiać - milczały, kierowały nimi najprymitywniejsze instynkty. Claire załadowała wózek i rozwiozła ostatnie zapasy krwi. Niektórym wampirom zostało jeszcze choć tyle samokontroli, że dziękowały jej milczącym skinieniem głowy, inne wpatrywały się w nią szalonymi, pustymi oczami, widząc w niej tylko wielką chodzącą torebkę z krwią.

Zawsze ją to przejmowało dreszczem, ale nie mogła patrzeć, jak głodują. Żywienie ich i utrzymywanie cel w czystości należały do obowiązków kogoś innego - ale nie była pewna, czy ta osoba dobrze się z nich wywiązuje.

Zanim skończyła, zrobiło się późne popołudnie. Claire podeszła do ściany więzienia, skoncentrowała się i otworzyła portal prowadzący prosto do laboratorium Myrnina. Było puste. Czowała się zmęczona i przygnębiona tym, co Myrnin powiedział jej o Bishopie, i zastanawiała się, czy nie przestawić portalu tak, żeby ją zaprowadził prosto do Domu Glassów. Nie lubiła z niego korzystać, za wiele energii to pochłaniało. Nie chciała także wyjaśniać przyjaciołom, jakim cudem przeszła właśnie przez ścianę.

- To ja chyba już pójdę - powiedziała do pustego laboratorium. Weszła po schodach do walącej się szopy, która zakrywała wyjście, i ruszyła alejką wiodącą na tyłach Domu Założycielki należącego do babuni Day. To było kolejne lustrzane odbicie Domu Glassów - nieco inaczej wykończone, z innymi zasłonami w oknach. Babunia Day miała huśtawkę na frontowej werandzie i lubiła na niej siadywać ze szklanką lemoniady i obserwować ludzi, ale dzisiaj jej nie było. Pusta huśtawka skrzypiała w lekkim, chłodnym wiatku.

Słońce nadal mocno paliło, chociaż temperatura stale się obniżała, dzień po dniu. Claire spociała się, zanim dotarła na Lot Street.

Pot zrobił się lodowato zimny, kiedy zobaczyła samochód policji zaparkowany pod domem. Claire ruszyła biegiem, wpadła za biały drewniany płotek i wbiegła po schodach. Drzwi były zamknięte. Znalazła klucz i weszła do środka, a potem poszła korytarzem, kierując się odgłosem rozmowy.

Shane siedział na kanapie z miną, którą Eve nazywała miną dupka. Patrzył na Richarda Morrella, który stał przed nim. Kontrast był ogromny.

Shane wyglądał, jakby zapomniał, że na świecie istnieją grzebienie, ubranie miał pomięte, jakby leżało z tydzień w koszu z brudami, a mową ciała przekazywał komunikat: „niebieski ptak”. Zupełnie inny człowiek niż ten, który z troską zajmował się wcześniej Eve.

Richard Morrell natomiast, był symbolem sukcesu na miarę Morganville. Jego granatowy mundur był prosto z pralni, czysty i idealnie odprasowany.

I on, i Shane przenieśli wzrok na Claire. Była spocona i spanikowana.

- Co się stało?

- Posterunkowy Dick zajął do nas przypomnieć mi, że mam parę zaległych umówionych spotkań

- powiedział Shane.

W jego oczach widać było mroczny cień, który pojawiał się, kiedy był zdecydowany walczyć o swoje. - A ja mu właśnie mówiłem, że zajmę się tym w swoim czasie.

- Nie oddawałeś krwi od miesiący - stwierdził Richard. - Masz szczęście, że to ja tu stoję, a nie ktoś znacznie mniej wyrozumiały. Słuchaj, wiem, że tego nie lubisz i wcale lubić nie musisz. Musisz jednak wziąć tyłek w troki i pojechać do Centrum Krwiodawstwa.

Shane nawet nie drgnął.

- A jak mnie zmusisz, Dick?

- Nie rozumiem - odezwała się Claire. - O czym wy mówicie?

- Shane nie płaci podatków.

- Podatków... - Nagle wszystko zrozumiała. Ta krew, której paczki wrzucała do cel wygłodniałych, szalonych wampirów.

Och. - Krwiodawstwo.

Shane uniósł rękę. Na nadgarstku nadal miał szpitalną opaskę oznaczoną czerwonym krzyżem.

- Nikt nie może mnie tknąć jeszcze przez dwa tygodnie, przepraszam pana.

Richard nie ruszył się z miejsca. Nawet nie mrugnął.

- Nie, to ja przepraszam, ale to niczego nie zmienia.

Szpitalna opaska chroni cię przed atakiem, ale nie usprawiedliwia nie wywiązywania się z obywatelskiego obowiązku.

- Obywatelski obowiązek - przedrzeźniał Shane. - Jasne. Wie pan co? Już pan mi przekazał informację. Proszę sobie iść powykrywać jakieś przestępstwa. Może zaarrestować siostrę. Pewnie dzisiaj już na to zasłużyła, tak jak każdego innego dnia.

- Shane - odezwała się Claire. - Gdzie jest Eve?

- W szpitalu. Jest z nią Michael. Ciężko jej, ale się trzyma.

Wróciłem, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Tak - powiedziała. Nie, żeby któryś z nich jeszcze jej słuchał. Richard i Shane znów patrzyli sobie w oczy i wyraźnie była to sprawa między facetami. Taki pojedynek na siłę woli.

- Więc odmawiasz pojechania do Centrum Krwiodawstwa? - spytał Richard. - Zgadza się?

- Mniej więcej, Dick.

Richard sięgnął za plecy, odpiął od paska parę lśniących srebrnych kajdanek. Shane nawet nie drgnął.

- Wstawaj - polecił Richard. - Człowieku, sam wiesz, jak to będzie wyglądało. Albo spędzisz pięć minut z igłą w żyłę, albo trafisz do aresztu.

- Nie pozwolę, żeby jakiś wampir popijał moją krew, nawet przez pośredników.

- Nawet Michael? - spytał Richard. - Bo kiedy zapasów braknie, to im młodszy wampir, tym niżej ląduje na liście. Więc osiągniesz tylko to, że zaszkoździsz przyjacielowi.

Shane zacisnął drżące dłonie w pięści, potem je rozluźnił. Spojrzał na Claire, która dostrzegła w jego oczach mieszaninę wściekłości i wstydu. Nienawidził tego wszystkiego, wiedziała to. Nienawidził wampirów i chciał znieawidzić Michaela, ale nie mógł.

- Proszę - szepnęła. - Shane, po prostu zrób to. Ja też pojedę.

- Nie musisz - powiedział Richard. - Studenci uniwersytetu są zwolnieni.

- Ale na ochotnika mogę, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Claire obróciła się do Shane'a.

- No to pojedziemy oboje.

- Akurat! - Shane zaplótł ramiona na piersi. - No już, skuj mnie. Założę się, że umierasz z ochoty, żeby wypróbować nowy paralizator.

Claire podeszła do niego i spojrzała mu w twarz.

- Przestań - syknęła. - Nie mamy na to czasu, a ja nie potrzebuję, żebyś teraz trafił do aresztu, jasne?

Patrzył prosto w jej oczy tak długo, że już myślała, że jej powie, żeby pilnowała własnego nosa, ale wreszcie westchnął i skinął głową. Odsunęła się na bok, a on wstał i wyciągnął ręce w stronę Richarda Morrella.

- No to chyba ma mnie pan - powiedział. - Proszę się tylko nie zneść.

- Przymknij się, Shane. Nie utrudniaj mi tego.

Claire dreptała za nimi, niepewna, co powinna zrobić. Richard w ogóle się nią nie interesował. Przez radio przypięte do ramienia skontaktował się z kimś z ratusza, używając kodu. Nie była pewna, czy to dobry znak. Morganville było za małe, żeby potrzebować szyfrów, chyba że chodziło o coś wyjątkowo paskudnego.

Kiedy przystanęła, żeby zamknąć za nimi drzwi wyjściowe, zza rogu wyjechała wielka, lśniąca czarna furgonetka. Płynne linie nadawały jej niemal drapieżny wygląd. Na masce z przodu miała wymalowany czerwony krzyż, a z boku, pod przyciemnionymi szybami, czerwone litery tworzyły napis: „Krwiobus Morganville”. Pod spodem mniejszymi, pochyłymi literami było napisane: „Ochotnicy mile widziani”.

Shane stanął jak wryty.

- Nie - powiedział. - Nie zrobię tego.

Richard założył mu dźwignię i pchnął w dół po schodach.

- Albo to, albo Centrum Krwiodawstwa. Taki masz wybór i sam o tym wiesz. Chciałem ci to ułatwić.

Claire z trudem przełknęła i zbiegła po stopniach. Stała na ścieżce, zasłaniając sobą Shane'a, i spojrzała mu w oczy. Był wściekły i przestraszony, ale w jego oczach było też coś jeszcze, coś, czego nie umiała odczytać.

- O co chodzi?

- Ludzie wsiadają do tej cholernej furgonetki i już z niej nie wychodzą - powiedział cicho. - Ja tam nie wejść. Claire, oni cię przywiążą i nikt nie może zajrzeć do środka.

Zrobiło jej się trochę słabo na samo wyobrażenie. Richard Morrell miał obojętną minę.

- Proszę pana?

Widziała, że niespecjalnie się ucieszył, że go zaczepia.

- Nie mogę udzielić ci rady, ale tak czy siak, będzie musiał to zrobić.

- A może zamiast tego podwiózłby pan nas oboje do Centrum Krwiodawstwa?

Richard zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem pokiwał głową. Znowu zdjął radio z ramienia, powiedział kilka słów, i silnik krwiobusu zapalił.

Furgonetka odjechała jak rekin szukający ofiary.

- Cholera, jak ja tego nie cierpię - powiedział Shane. Głos mu trochę drżał.

- Ja też - powiedział Richard ku zdziwieniu Claire. - A teraz wsiadajcie do wozu.

ROZDZIAŁ 6

Centrum Krwiodawstwa było jeszcze otwarte, chociaż już się ściemniało. Kiedy Richard zatrzymał wóz przy krawężniku, wyszła stamtąd dwójka ludzi, których Claire знаła z widzenia. Pomachali sobie na pożegnanie i rozeszli się w przeciwnie strony.

- Wszyscy tu przychodzą? - spytała.

- Wszyscy, którzy nie korzystają z krwiobusu - odparł Richard. - Każdy człowiek, który ma Ochronę, musi oddać rocznie określoną liczbę jednostek krwi. Datki są przekazywane w pierwszej kolejności Patronowi. Resztę oddaje się potrzebującym wampirom, które nie mają nikogo, kto by dla nich oddawał krew.

- Jak Michael - stwierdziła Claire.

- Tak, to nasz najnowszy projekt charytatywny. - Richard wysiadł i otworzył tylne drzwi. Wysiadła z samochodu. Shane zawahał się na tyle długo, żeby zdążyła się zdenerwować, a potem poszedł za nią. Wsadził ręce w kieszenie i wpatrzył się w znak czerwonego krzyża jaśniejący nad wejściem. Centrum Krwiodawstwa raczej nie wyglądało zapraszająco, ale przerażało o wiele mniej niż krwiobus. Po pierwsze były tam wielkie okna, za którymi widać było wyraźnie czyste, duże pomieszczenie.

Na ścianach wisiły oprawione plakaty takie same jak w każdym innym mieście, pomyślała Claire, które podkreślały pozytywne cechy krwiodawstwa.

- Czy część tej krwi przeznacza się na potrzeby innych ludzi? - spytała, kiedy Richard przytrzymał przed Shane'em otwarte drzwi.

- Zapytaj swojego chłopaka. Po tym ataku nożem dostał ładnych parę litrów, jak pamiętam. Oczywiście, że ta krew jest też przeznaczona dla ludzi. To także nasze miasto.

- Ma pan zwidy, jeśli naprawdę pan w to wierzy - parsknął Shane i wszedł do środka.

W Centrum Krwiodawstwa panowała ledwo wyczuwalna atmosfera rozpacz. Przypomniało jej to szpitalne poczekalnie - smutne wnętrza, przesycone wielkimi i mniejszymi lękami. Było jednak przynajmniej czyste, dobrze oświetlone i z wygodnymi krzesłami.

Nic w tym miejscu nie przerażało. Nawet starsza pani o macierzyńskim wyglądem, siedząca za biurkiem recepcji, która przywitała ich serdecznym uśmiechem.

- Posterunkowy Morrell! Miło pana widzieć!

Skinął starszej pani głową.

- Rose. Przeprowadziłem wagarowicza.

- Widzę właśnie. Shane Collins, prawda? O Boże, tak mi było przykro, kiedy usłyszałam o twojej mamie. Tragedia zbyt często pukała do waszych drzwi. - Nadal się uśmiechała, ale uśmiechem zgaszonym, pełnym szacunku. - Mogę cię dziś zapisać na litr? Żeby nadrobić trochę zaległości?

Shane pokiwał głową. Zaciśnął zęby, oczy miał zmrużone. Claire pomyślała, że on stara się zapanować nad sobą. Dotknęła jego ręk w kajdankach.

- Pamiętasz mnie, prawda? - ciągnęła Rose. - Znałam twoją matkę. Kiedyś grywałyśmy razem w

brydża.

- Pamiętam - wykrztusił Shane. I nic więcej. Richard uniósł brwi, pochwycił podobne spojrzenie Rose, pociągnął Shane'a za łokieć i odprowadził do wolnego krzesła. Wszystkie zresztą były wolne, zauważyła Claire. Widziała dwójkę ludzi wychodzących z budynku, ale nikt nie wchodził do środka. Jedno trzeba było oddać Centrum Krwiodawstwa - było lepiej zaopatrzone w czasopisma niż większość placówek medycznych. Claire wzięła najnowszy numer „Seventeen” i zaczęła czytać. Shane siedział sztywno, w milczeniu i wpatrywał się w drzwi. Richard Morrell gawędził z siedzącą za biurkiem Rose, swobodny i rozluźniony. Claire zastanawiała się, czy przychodził tutaj, żeby oddawać krew, czy może korzystał z Krwiobusu. Podejrzewała, że cokolwiek wolał, wampiry nie byłyby na tyle szalone, żeby zrobić mu krzywdę - synowi burmistrza, funkcjonariuszowi policji. Nie, Richard Morrell był prawdopodobnie bezpieczniejszy niż inni mieszkańcy Morganville. Czy mieli Ochronę, czy nie.

Nic dziwnego, że jest taki wyluzowany.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i wyszła z nich pielęgniarka. Ubrana była w jasny strój ochronny, w komplecie z czapeczką, która zakrywała jej włosy, i jak Rose miło się uśmiechała.

- Shane Collins?

Shane wziął głęboki oddech i z trudem wstał z krzesła. Richard rozpiął mu kajdanki.

- Zachowuj się przyzwoicie, Shane - powiedział. - Wierz mi, tutaj nie chcesz wszczynać burd.

Shane skinął głową. Spojrzał na Claire, a potem skupił wzrok na czekającej pielęgniarce. Podszedł do niej powoli, z wystudiowanym spokojem.

- Mogę iść z nim? - spytała Claire, a Richard spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Claire, nikt go tam nie skrzywdzi. To zupełnie jak oddawanie krwi w każdym innym punkcie. Wtykają ci w ramię igłę i dają ci piłeczkę, którą musisz ścisnąć. A na koniec sok pomarańczowy i ciasteczka.

- Więc mogę oddać krew?

Wzrokiem poszukała pomocy u Rose.

- Ile masz lat, dziecko?

- Nie jestem dzieckiem. Mam prawie siedemnaście.

- Nie ma żadnego prawnego przepisu, który nakazywałby oddawanie krwi przed ukończeniem osiemnastego roku życia - powiedziała Rose.

- A jest jakiś, który tego zabrania?

Zamrugła, zaczęła coś mówić i przerwała. Odsunęła szufladę i wyjęła niewielką książeczkę zatytułowaną Krwiodawstwo w Morganville: Zasady i praktyka. Przerzuciła kilka stron, wzruszyła ramionami i popatrzyła na Richarda.

- Chyba nie ma takiego przepisu - powiedziała. - Tylko po prostu jeszcze nie miałam w naszym Centrum nikogo, kto oddawałby krew na ochotnika. Och, od czasu do czasu krwiobus odwiedza uniwersytet, ale...

- Super - przerwała Claire. - W takim razie chciałabym oddać pół litra.

Rose natychmiast stała się uosobieniem służbistości.

- Formularze - powiedziała i położyła na biurku podkładkę do pisania i długopis.

Niedomówieniem byłoby twierdzić, że Shane na jej widok się zdziwił.

Powiedzieć, że się ucieszył, byłoby kłamstwem. Kiedy zajęła sąsiednią leżankę, Shane syknął:

- Co ty sobie, do cholery wyobrażasz? Zwariowałaś?

- Oddaję krew. Nie muszę, ale nie mam nic przeciwko. - Przynajmniej tak jej się wydawało. Nie robiła tego wcześniej.

Jednak widok czerwonej rurki wystającej z ramienia Shane'a i prowadzącej do torebki zbiornika trochę ją przeraził. - To nie boli, prawda?

- Wbijają ci grubą igłę w rękę... Oczywiście, że to boli. - Był blady i stwierdziła, że to chyba nie tylko dlatego, że oddaje już drugie pół litra krwi. - Możesz jeszcze odmówić. Po prostu wstań i powiedz im, że zmieniłaś zdanie.

- On ma rację - powiedziała pielęgniarka. - Jeśli nie masz ochoty tego robić, nie musisz. Widziałam twoje papiery. Jesteś trochę za młoda. - Jej jasnobrązowe oczy skupiły się na Shanie, a potem znów na niej. - Robisz to dla moralnego wsparcia?

- W pewnym sensie - przyznała Claire. Palce miała lodowate i aż zadrżała, kiedy pielęgniarka wzięła ją za rękę. - Jeszcze nigdy tego nie robiłam.

- To masz szczęście. Bo ja tak. Teraz ukłuję cię w palec i zrobię szybki test, a potem zaczniemy. Dobrze?

Claire pokiwała głową. Leżenie na tej kozetce dość skutecznie pozbawiło ją ochoty do poruszania się. Ukłucie w palec odczuła jako ostry, jasny błysk, moment i po wszystkim. Kiedy Claire uniosła głowę znad poduszki, zobaczyła, że pielęgniarka maleńką szklaną pipetką zbiera krew z czubka jej palca. Trwało to kilka sekund, a potem przykleiła jej plaster. Pokiwała głową i uśmiechnęła się do Claire.

- Zero Rh minus - powiedziała. - Świetnie.

Claire słabym gestem pokazała jej uniesiony kciuk. Pielęgniarka ujęła jej ramię i ponad łokciem zamocowała opaskę uciskową.

- Porozmawiaj ze swoim chłopakiem - doradziła. - I nie patrz.

Claire odwróciła głowę. Shane wpatrywał się w nią ciemnymi, palącymi oczyma. Uśmiechnął się, tylko leciutko, a ona odwzajemniła uśmiech.

- I jak - zagaiła. - Często tu przychodzisz?

Roześmiał się cicho. Poczula, że coś gorącego wbija jej się w ramię, wstrząs zamienił się w lekki dyskomfort, a potem igłę przyklepiono plastrem. Wcisnięto jej do ręki piłeczkę, a mocny ucisk opaski zelżał.

- Ściskaj - powiedziała pielęgniarka. - Już można.

Zdziwiona, Claire zerknęła w dół. W ramieniu miała to coś. Było połączone z rurką, przez którą przepływało coś czerwonego...

Położyła głowę na poduszce. W głowie jej szumiało. Pomyślała, że ktoś ją chyba woła, ale przez chwil to się wcale nie wydawało ważne. Próbowwała oddychać powoli i miarowo. Po czasie, który wydawał się trwać parę godzin, świat odzyskał normalne kontury i jasne barwy. Na suficie nad głową widziała plakat kociaka siedzącego w filiżance, przeuroczego. Skupiła się na tym widoku i usiłowała nie myśleć o krwi, która z niej wyciekała. A więc tak to wygląda, pomyślała. Tak musiał się czuć Michael, kiedy Oliver pozbawiał go krwi. To tak się czują ludzie, kiedy wampiry ich zabijają.

To był tylko taki mały kawałek śmierci, zbyt mały, żeby coś znaczyć.

Pielęgniarka okryła ją ciepłym kocem i powiedziała:

- Wszystko w porządku. Nie ty pierwsza mdlejesz. Właśnie dlatego te siedzenia można opuszczać, kotku. Claire nie zemdliała, ale nie czuła się najlepiej.

- Skończone - oświadczyła pielęgniarka, gdy pobrała krew Shane'owi. Claire próbowała odwrócić głowę w tamtą stronę, ale nie chciała obserwować, jak pielęgniarka wyjmuje igłę z żyły. Jest wrażliwa. Nie lubi widoku igieł, czego nigdy wcześniej sobie nie uświadamiała. Zabawne.

Ciepła dłoń przykryła jej, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Shane stoi obok niej, blady, o pustym spojrzeniu.

- Shane - powiedziała pielęgniarka. - Napij się soku.

- Kiedy ona skończy - odparł.

Pielęgniarka musiała zrozumieć, że nie uda jej się go przekonać, bo ruchem nogi pchnęła swój stołek na kółkach w jego stronę.

- To przynajmniej usiądź. Naprawdę nie mam ochoty zbierać cię z podłogi.

Prawdopodobnie trwało to krócej, niż się wydawało, ale Claire była szczęśliwa, kiedy pielęgniarka wróciła, żeby wyjąć igłę i przykleić plaster. Nie spojrzała na torebkę z krwią. Pielęgniarka powiedziała coś miłego, a Claire próbowała odpowiedzieć jej tym samym, ale nie była do końca pewna, co powiedziała. Shane zaprowadził ją do pokoju obok, gdzie urządzono kącik wypoczynkowy z plazmowym telewizorem nastawionym na kanał informacyjny. Na stoliku stał sok, napoje chłodzące i tace z krakersami, ciasteczkami i owocami. Claire wzięła pomarańczę i butelkę wody. Shane zdecydował się na dopalanie cukrem - wybrał colę i ciastka.

Claire potarła palcami fioletową opaskę elastyczną na zgięciu łokcia.

- To zawsze tak wygląda?

- Jak? - Shane mówił z pełnymi ustami. - Przeróżająco?

Chyba tak. Próbują to jakoś uprzyjemnić, aleja nigdy nie mogę zapomnieć w czyich ustach skończy ta krew.

Dopadły ją mdłości i przestała obierać pomarańczę. Nagle ten mocny, mdlący zapach zaczął jej przeszkadzać. Zamiast tego napiła się trochę wody, chłodnej, ale cięższej jej w żołądku jak rtęć.

- Ale wykorzystują ją też w szpitalu - powiedziała. - Dla ofiar wypadków i tak dalej.

- Jasne. Utylizują resztki. - Shane wsadził sobie w usta kolejne ciastko. - Nie cierpię tego szajsu. Przysięgałem, że nigdy tego nie zrobię, a i tak tu trafiłem. Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego ja nie wyjeżdżam z tego miasta?

- Bo będą cię ścigać, jeśli wyjedziesz?

- Dobry powód. - Otrzeptał okruszki z palców. Claire dokończyła obieranie pomarańczy, oderwała cząstkę i włożyła ją do ust. Nie była głodna, ale świetnie wiedziała, że nadal czuje się trochę słabo. Zjadła jeszcze trzy cząstki, a potem resztę wręczyła Shane'owi.

- Czekaj - powiedziała. Już miał ugryźć owoc, ale zastygł bez ruchu. - Ty nigdy wcześniej tego nie robiłeś, prawda? Wyjechałeś, zanim skończyłeś osiemnaście lat, więc nie musiałeś. A od powrotu wymigiwałeś się od tego. Zgadza się?

- Jak najbardziej. - Dokończył pomarańczę i wypił resztę coli.

- Więc nigdy nie byłeś w środku w krwiobusie.

- Tego nie powiedziałem. - Shane znów spochmurniał. - Raz poszedłem z matką... Nie musiałem oddawać krwi, ale ona chciała, żebym się przyzwyczaił do tej myśli. Miałem szesnaście lat. Wciągnęli do środka jednego faceta. Wariował, zupełnie nie panował nad sobą. Nas wyprosili z furgonetki, ale on tam został. Patrzyłem na to. Odjechali z nim. Nikt go już nigdy nie zobaczył.

Claire napiła się jeszcze trochę wody. Była osłabiona, ale chciała się już stąd jak najszybciej wydostać. Ten wygodny pokój odczuwała jak pułapkę - pozbawione okna i powietrza pudło. Butelkę

z resztką wody i skórki pomarańczy wyrzuciła do kosza. Shane trafił butelką po coli do kosza ruchem za trzy punkty i wziął ją za rękę.

- Eve ma zamiar zostać w szpitalu? - spytała.

- Nie całą noc. Nie jest tam fajnie. Jej ojciec wytrzeźwiał i usiłuje się teraz ze wszystkimi godzić.

- Shane się skrzywił.

Najwyraźniej nie bardzo doceniał ten gest. - Jej mama siedzi tam i ciągle płacze. Zawsze była praktycznie taką paczką chusteczek higienicznych.

- Nie przepadasz za nimi.

- Też byś nie przepadała.

- Jason się pojawił?

Shane pokręcił głową.

- Jeśli przychodzi tam z poczucia obowiązku, to zakrada się w środku nocy. Co pewnie całkiem mu odpowiada. W każdym razie Michael powiedział, że odwiezie Eve do domu. Możliwe, że już tam są.

- Mam nadzieję. A Michael powiedział, gdzie był wcześniej?

- Kiedy znikł? Mówił coś o tym cholernym balu.

Powinam zapytać go o to zaproszenie. Prawie to zrobiła - już otwierała usta - ale wtedy przypomniała sobie, jaką minę miał Shane wczoraj wieczorem, jak głęboko wstrząsnęło nim spotkanie z Ysandre.

Nie chciała znów oglądać tej miny.

Może powinna odpuścić. Porozmawia z nią o tym, kiedy sam będzie miał ochotę.

Przed nimi były dwie pary drzwi - na jednych widniał napis „Wyjście”, na drugich nie było nic.

Shane minął te nieoznaczone drzwi, zawahał się i zawrócił.

- Co? - spytała Claire.

Shane ujął klamkę i otworzył drzwi.

- Zwykle przecucie - powiedział. - Ciii.

Po drugiej stronie znajdowała się kolejna poczekalnia i kilka osób stało w kolejce. Ta część Centrum Krwiodawstwa była słabiej oświetlona. Trzy osoby stały przy długim, białym kontuarze, zupełnie jak w aptece, a za nim stała wysoka kobieta w białym laboratoryjnym fartuchu. Było w niej mniej więcej tyle samo ciepła co w butelce z płynnym azotem.

- O cholera - sapnął Shane. Mniej więcej w tej samej chwili do Claire dotarło, że ten jasnowłosy facet z przodu kolejki to Michael. Nie było go w domu... Był tutaj.

Skończył podpisywać jakieś papiery i przekazał je kobiecie, a ona podała mu plastikową butelkę, mniej więcej tych samych rozmiarów co butelka z wodą wypitą przez Claire.

Ale w tej butelce nie było wody. Sok pomidorowy, wmawiała sobie Claire w pierwszej chwili, ale to zupełnie jak sok nie wyglądało. Za ciemne było i za gęste. Michael przechylił butelkę w jedną stronę, potem w drugą, a jego twarz... Malowała się na niej fascynacja.

Nie, to był głód.

Claire chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Michael odkręcił nakrętkę, wychodząc z kolejki, uniósł butelkę z krwią do ust i zaczął pić. Nie, żłopać. Do Claire mgliście dotarło, że Shane ściska ją za rękę tak, że aż bolało, ale żadne z nich się nie poruszyło. Michael miał zamknięte oczy. Przechylił butelkę i pił tak długo, aż ją opróżnił, a na plastiku została tylko cienka warstewka krwi.

Obliznął wargi, westchnął, otworzył oczy i popatrzył prosto na nich dwoje.

Oczy miał w odcieniu ostrej czerwieni. Zamrugał i ta czerwień zniknęła, zastąpiona dziwnym błyskiem. Kolejne mrugnięcie, a i ten błysk ustąpił i Michael znów stał się sobą.

Minę zrobił tak samo przerażoną, jak przerażona była Claire. Pełną zawodu i wstydu.

Shane zatrzasnął drzwi i pociągnął Claire w stronę wyjścia. Kiedy do niego dotarli, Michael wypadł pędem prosto na nich.

- Hej - rzucił. Skóra zabarwiła mu się lekkim różowawym rumieńcem, który Claire widywała u niego już wcześniej. - Co wy tu robicie?

- A jak sądzisz? Przywieźli mnie tu w kajdankach, stary. Uważasz, że byłbym tu, gdybym miał jakiś wybór?

Michael stanął jak wryty i zerknął na opaski na ich ramionach. W jego oczach zabłysło zrozumienie, a potem... smutek.

- Prze... przepraszam.

- Za co? Przecież już i tak wiemy, że uwielbiasz ten napój. - Claire słyszała jednak w głosie Shane'a rozczerowanie. Odrazę. - Tylko nie spodziewałem się, że zobaczę, jak opijasz się nim jak alkoholik w porze tańszych drinków, to wszystko.

- Nie chciałem, żebyście to zobaczyli - powiedział Michael cicho. - Piję ją tutaj. W domu trzymam tylko trochę na sytuacje awaryjne. Nigdy nie chciałem, żebyście zobaczyli...

- Ale zobaczyliśmy - stwierdził Shane. - I co z tego? Jesteś wampirem i pijesz krew. Michael, to raczej żadna nowina. Zresztą, nie ma o co robić sprawy, prawda?

- Tak - zgodził się Michael. - Nie ma sprawy. - Spojrzał na Claire, która nie mogła pogodzić ze sobą tych dwóch obrazów: Michaela z przerażającymi, czerwonymi oczami i tego, który stał przed nią, a w oczach miał smutną nadzieję. - Nic ci nie jest, Claire?

Pokręciła głową. Nie była w stanie odezwać się choćby jednym słowem.

- Zabieram ją do domu - powiedział Shane. - Chyba że to była tylko zakąska, a teraz rozglądasz się za głównym daniem.

Michael zrobił zniesmaczoną minę.

- Jasne że nie, Shane...

- No to w porządku. - Shane porzucił zaczepny ton. W jego głosie zabrzmiała rezygnacja. - Mnie nie przeszkadza.

- I nie umiesz się z tym uporać, prawda?

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem, a potem Shane znów pociągnął Claire za rękaw.

- Idziemy - powiedział. - Do zobaczenia w domu.

Michael skinął głową.

- Na razie.

Do Claire dotarło, że nadal trzymał w ręku butelkę. Na jej dnie została jeszcze odrobina krwi.

Kiedy drzwi się zamykały, zobaczyła, że Michael zorientował się, co trzyma w ręku, i gwałtownym ruchem cisnął butelkę do kosza.

- Och, Michael - szepnęła. - Boże. - Ten jeden jego gest pozwolił jej zrozumieć coś ważnego. On naprawdę w jakimś stopniu nienawidził tego, czym się stał, przez to, co zobaczył w ich oczach.

Jak podle musiał się czuć...

Reszta wieczoru upłynęła spokojnie. Następnego dnia rano obudził ich dzwonek telefonu. Tata Eve umarł.

- Pogrzeb będzie jutro - powiedziała Eve. Nie płakała.

W ogóle dziś rano nie przypominała samej siebie - żadnego makijażu, żadnej staranności w wyborze rzeczy, które na siebie wrzuciła. Białka oczu miała pocięte zaczerwienionymi żyłkami, a nos jej się świecił. Przez całą noc płakała. Claire słyszała ją, ale kiedy zapukała do drzwi, Eve nie chciała towarzystwa. Nawet Michaela.

- Pójdiesz? - spytał Michael. Claire pomyślała, że to dziwne pytanie, kto by nie poszedł? Ale Eve tylko skinęła głową.

- Muszę - powiedziała. - Chyba mają rację, kiedy mówią, że trzeba zamykać różne sprawy. Czy ty...?

- Oczywiście - powiedział. - Nie mogę iść na sam cmentarz, ale...

Eve zadygotała.

- Tam na pewno się nie wybieram. Wystarczy kościół.

- Kościół? - spytała Claire, nalewając dla całej trójki kawę. Shane jak zwykle przespał telefon. - Naprawdę?

- Nigdy nie poznałaś ojca Joego, prawda? - Eve udało się słabo uśmiechnąć. - Polubisz go. On jest... niesamowity.

- Eve kochała się w nim, kiedy miała dwanaście lat - wyjaśnił Michael i oberwało mu się paskudne spojrzenie. - No co?

Kochałaś się, sama o tym wiesz.

- Chodziło o sutannę? Już mi przeszło.

Claire uniosła brwi.

- Czy ojciec Joe jest...? - Udała, że zatapia zęby w czyjejsz szyi. Oboje się uśmiechnęli.

- Nie - powiedział Michael. - On jest tylko neutralny.

Eve przez cały dzień radziła sobie bez wielkiego trudu; zajmowała się tym, co zwykle - pomagała w praniu, wzięła na siebie połowę sprzątanania. Miała wolny dzień w pracy. Claire poszła tylko na jedno zajęcia, o decydującym znaczeniu. Michael też nie udzielał lekcji gry na gitarze.

Miło było. Zupełnie jak w rodzinie.

Pogrzeb zaplanowano na dwunastą następnego dnia i Claire zaczęła się zastanawiać, co ma na siebie włożyć. Ciuchy imprezowe wydawały się zbyt wesołe. Dzinsy zbyt nieformalne. Pożyczyła od Eve czarne rajstopy i włożyła je do również pożyczonej, czarnej spódnicy. W połączeniu z białą bluzką wyglądało to w miarę przyzwoicie.

Nie była pewna, jak zamierza się ubrać Eve, bo o jedenastej rano nadal siedziała przy toalecie i wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Ciągle w swoim czarnym szlafroku.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytała Claire.

- Jasne - powiedziała Eve. - Powinnam upiąć włosy?

- Tak byłoby ładnie. - Claire wzięła szczotkę. Rozczesała gęste, czarne włosy Eve, aż nabrały połysku, a potem zwinęła je w kok i upięła z tyłu głowy. - Proszę.

Eve sięgnęła po swój biały podkład, a potem się rozmyśliła. Spojrzała w lustrze na Claire.

- Może jednak nie tym razem - powiedziała.

Claire się nie odezwała. Eve nałożyła szminkę - ciemną, ale nie tak bardzo jak jej ulubiony odcień - i zaczęła grzebać w szafie.

Na koniec zdecydowała się na czarną sukienkę zapinaną pod szyję, tak długą, że sięgała jej po czubki butów. I czarny welon. Jak na Eve, całość była skromna.

Byli w kościele piętnaście minut wcześniej, a kiedy Michael wjechał na zadaszony parking,

Claire zobaczyła, że stoi tam już kilka samochodów o przyciemnianych szybach.

- To dziś jedyny pogrzeb? - spytała.

- Tak - odparł i wyłączył silnik. - Chyba pan Rosser miał więcej przyjaciół, niż sądziliśmy.

Nie aż tak wielu, jak się okazało; przedsionek kościoła był prawie pusty, a w księdze pamiątkowej nie było wielu nazwisk. Obok stała matka Eve gotowa natychmiast rzucić się na każdego, kto wchodził do środka.

Zgodnie z wcześniejszym opisem Michaela wydawało się, że pani Rosser ani na moment nie przestaje płakać. Jak Eve, była cała ubrana na czarno, ale to była o wiele bardziej teatralna czerń - dramatyczne fałdy czarnego atłasu, wielki odświętny kapelusz, rękawiczki.

A kiedy ktoś jest bardziej teatralny niż Eve, pomyślała Claire, to już faktycznie ma problemy.

Pani Rosser użyła też sporo tuszu do rzęs i teraz czarnymi strugami tusz spływał jej po policzkach. Włosy miała ufarbowane na blond; potargane, opadały jej po obu stronach twarzy. Gdyby ubiegała się o rolę Ofelii w przedstawieniu Hamleta, pomyślała Claire, miałaby ją jak w banku.

Matka Eve rzuciła się na Claire ze łzami i zaczęła szlochać na jej ramieniu, plamiąc tuszem białą bluzkę.

- Dziękuję, że przyszliście! - Załkała, a Claire niezręcznym ruchem poklepała ją po plecach. - Szkoda, że nie znałaś mojego męża. To był taki dobry człowiek i takie miał trudne życie...

Eve stała z boku z miną obojętną i nieco zniesmaczoną.

- Mamo. Daj jej spokój. Ona cię nawet nie zna.

Pani Rosser cofnęła się i zdusiła kolejny szloch.

- Nie bądź okrutna, Eve, tylko dlatego że nie kochałaś ojca.

Claire jeszcze nie słyszała, żeby ktoś powiedział coś równie nieczulego. Zamieniła wstrząśnięte spojrzenie z Shane'em. Michael stanął między matką a córką, co było z jego strony bardzo odważne. Może to te wampirze geny.

- Pani Rosser, współczuję śmierci męża.

- Michaelu, dziękuję, zawsze byłeś takim dobrym chłopcem. I dziękuję, że zająłeś się Eve, kiedy przeszła na własne utrzymanie.

Pani Rosser wydmuchwała nos i tylko dlatego nie usłyszała, jak Eve powiedziała sucho:

- Znaczy, kiedy wywaliliście mnie z domu na zbity pysk?

- Wpisz nas - zwrócił się Michael do Claire i wzięwszy Eve za ramię, zaprowadził ją do kościoła. Claire szybko wpisała ich nazwiska do księgi, skinęła głową pani Rosser. Kobieta patrzyła za córką z miną, od której Claire przewróciło się w żołądku.

Wzięła Shane'a pod ramię i poszli za Eve i Michaeliem.

Była już przedtem w tym kościele. Ładny był, nie za bardzo przystrojony, spokojny w swojej prostocie. Nigdzie nie było widać żadnych krzyży, ale w tej chwili wzrok wszystkich kierował się ku dużej, czarnej trumnie ustawionej w głębi sali. Claire zwróciła uwagę na gładki połysk drewna i na to, jak bardzo przypominała jej o krwiobusie.

Claire zadrżała i przytrzymała się mocniej Shane'a, kiedy wchodziłi do ławki, żeby usiąść obok Michaela i Eve.

W świątyni znajdowało się kilkanaście osób, a w miarę jak minuty mijały, pojawiło się jeszcze kilka. Dwóch mężczyzn w garniturach - pracowników domu pogrzebowego, jak przypuszczała Claire - ustawiło jeszcze więcej kwiatowych ozdób wokół trumny.

To się wszystko wydawało takie nierealne. A odgłos ciągłych szlochów i jęków pani Rosser w

reakcji na wejście każdego kolejnego żałobnika stwarzał jeszcze dziwniejszą atmosferę.

Eve podeszła do trumny. Wpatrywała się w nią przez kilka długich sekund, a potem pochyliła się, włożyła coś do środka i wróciła na swoje miejsce. Opuściła welon, ale za zmiękczającą rysy zasłoną jej twarz i tak wydawała się zastygła.

- Był bydlakiem - powiedziała, kiedy zauważyła, że Claire jej się przygląda. - Ale to jednak mój ojciec.

Oparła się o ramię Michaela, a on ją objął.

Pani Rosser weszła wreszcie do kościoła i zajęła miejsce przed nimi. Jeden z pracowników domu pogrzebowego podsunął jej pudełko chusteczek, wzięła je i lkała dalej.

A potem wysoki, przystojny mężczyzna w czarnej sutannie z fioletową stulą na szyi wyszedł zza kwiatowych ozdób i przyklęknął obok niej. Poklepał ją po dłoni. Słynny ojciec Joe, domyśliła się Claire. Wydawał się miły; i młodszy, niż się spodziewała. Miał brązowe włosy i złote oczy o bardzo bezpośrednim spojrzeniu za złotymi oprawkami okularów. Słuchał ody pani Rosser na cześć męża ze współczującym, ale nieobecny wyrazem twarzy, kiwając głową, kiedy na chwilę milkła. Raz czy drugi jego spojrzenie powędrowało w stronę zegara, a wreszcie pochylił się i szepnął coś do niej. Pokiwała głową.

W ostatniej chwili weszło jeszcze parę osób, tyle, że kościół wypełnił się w połowie. Kiedy Claire się obejrzała, dostrzegła znajome twarze posterunkowych Joego Hessa i Trávisa Lowe'a, którzy skinęli jej głową, zajmując miejsca z tyłu. Rozpoznała jeszcze kilka osób, włącznie z czwórką wampirów w ciemnych garniturach i słonecznych okularach.

Jednym z nich był Oliver, ewidentnie znudzony. Oczywiście, rodzina Eve była pod Ochroną Brandona, a kiedy Brandon zginął, przeszli pod władzę jego zwierzchnika. Obecność Olivera na tym pogrzebie miała mniej wspólnego ze szczerym współczuciem, a więcej z dbałością o publiczny wizerunek.

Ojciec Joe wszedł na ambonę i zaczął wychwalać pod niebiosa człowieka, którego Claire nigdy nie poznała. Eve z tego opisu na pewno nie rozpoznawała swojego ojca, pomijając związane z jego życiem daty i liczby. Jego charakter jawił się jako o wiele lepszy, niż kiedykolwiek skłonna była przyznać jego córka. Sądząc z tego, jak pani Rosser kiwała głową i popłakiwała, kupowała tę bajeczkę.

- Co za stek bzdur - szepnął Shane do Claire. - Tata Eve bił ją.

Clair spojrzała na niego zaskoczona.

- Po prostu pamiętaj o tym - dokończył. - I nie rób łez. Nie na tym pogrzebie.

Claire pomyślała, że Shane to jeden z najtwardszych znanych jej ludzi. Nie, żeby nie miał racji, po prostu był twardy.

Ale to pomogło. Emocje krążące w atmosferze i podgrzewane przez matkę Eve dopływały do niej i odpływały, co najwyżej sprawiając, że oczy ją nieco piekły. Kiedy ojciec Joe skończył mowę żałobną, odezwały się organy, a pani Rosser pierwsza znalazła się przy trumnie.

- O Boże. - Eve westchnęła pod nosem, kiedy jej matka dramatycznym ruchem rzuciła się na trumnę. Ścinające krew w żyłach, teatralne krzyki. - Chyba lepiej...

Michael i Eve podeszli do trumny. Michael wziął panią Rosser za łokieć i odprowadził do ławki, gdzie osunęła się bezwładnie, pochlipując.

Eve przez kilka sekund stała przy trumnie, z wyprostowanymi plecami i opuszczoną głową, a potem wróciła.

Pod welonem łączy kapały jej na czarną sukienkę, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku.

Claire podeszła do trumny, ale rzuciła ojcu Eve tylko krótkie spojrzenie. Wyglądał... nienaturalnie. Nie jakoś paskudnie, ale widać było, że nie żyje. Zadrżała i ujęła Shane'a pod ramię, i potem poszła za Eve, która bez słowa minęła matkę i skierowała się do wyjścia.

I o mało nie wpadła na własnego brata.

Jason wślizgnął się do przedsionka kościoła. O ile widziała Claire, młody wcale nie zmienił ubrania, odór niemytego ciała można było wyczuć na metr.

Wyglądał też, jakby był naćpany.

- Ładna maskarada, siostrze. - Uśmiechnął się krzywo. Eve przystanęła, popatrzyła na niego, a potem zerwała welon z twarzy.

- Co ty tu robisz?

- Przyszedłem na pogrzeb. - Zaśmiał się pod nosem. - Nieważne.

Eve rozmyślnie spojrzała w bok, tam gdzie siedzieli Hess i Lowe.

- Lepiej stąd idź. - Nie zauważyli go, ale na pewno mogli zauważyć. Wystarczyłby podniesiony głos albo gdyby Eve pstryknęła palcami.

- To też mój tata.

- No to okaż mu trochę szacunku - powiedziała. - Wyjdź.

Minęła go. Cała reszta poszła za nią, chociaż Shane zwolnił kroku i Claire musiała go pociągnąć za ramię, żeby nie przystawał. Jason pokazał gestem, że jest gotów do walki, ale Shane pokręcił głową.

- Naprawdę szkoda zachodu - wycedził.

A potem stali w przedsionku, gdzie nie czuć już było duszącego zapachu kwiatów i subtelnego zapachu śmierci, a Claire nie mogła powstrzymać się, żeby nie pomyśleć: I to ma się nazywać „zamknięcie”?

Ale Eve wyglądała lepiej i tylko to się liczyło.

- Chodźmy na burgera - powiedziała.

Pomysł okazał się dobry i Claire odzyskała humor, kiedy wyszli z kościoła i poszli na zacieniony parking, kierując się do samochodu Michaela.

Zostali zatrzymani.

Michael pierwszy to wyczuł - stanął jak wryty i zaczął się obracać wkoło, jakby usiłował zlokalizować dźwięk, którego reszta z nich nie mogła usłyszeć.

Jakiś cień zeskoczył z cementowego zadaszania, wylądował, przykucając, i uśmiechnął się szeroko. Ysandre. Wstała z gracją i podeszła do czwórki przyjaciół.

- Wsiadajcie do samochodu - powiedział Michael. - No, idźcie.

- Nie zostawimy cię - zaprotestował Shane. Nie spuszczał wzroku z Ysandre.

- Nie bądź idiotą. Nie o mnie jej chodzi.

Shane spojrzał na Michaela.

- Idźcie.

Claire pociągnęła Shane'a za ramię. Dał się zaprowadzić do samochodu. Michael rzucił im kluczyki.

Ysandre podskoczyła i w powietrzu je przechwyciła. Zaczęła je niedbałym gestem podrzucać w dłoni i ich chłodny, metaliczny brzęk był jedynym odgłosem słyszalnym na parkingu.

- Nie popadaj od razu w paranoję. Po prostu przyszedłam się przywitać. To wolny kraj.

- Jeśli nie oddasz kluczyków, to się będzie nazywało kradzież samochodu - powiedział Michael. Wyciągnął rękę, a ona wzruszyła ramionami i cisnęła mu kluczyki. - chcesz?

- Chciałam się tylko upewnić, czy pan Shane otrzymał moje zaproszenie. Dostałeś je, kotku?

Shane się nie ruszył. Nic nie powiedział. O ile Claire mogła to stwierdzić, chyba nawet nie oddychał.

- Sądząc po szybkim biciu tego serduszka, domyślam się, że dostałeś - powiedziała Ysandre z uśmiechem. - To do zobaczenia w sobotę. Wszystkim życzę miłej reszty tygodnia.

Odeszła, stukając głośno obcasami kozaków, a potem zniknęła w cieniu.

Shane powoli wypuścił powietrze.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Michael otworzył samochód, wsiedli i ruszyli; na przynajmniej pięć minut zapanowała cisza, aż zatrzymali się przed Denny's.

- To jak, jemy?

- Chyba tak - powiedział Shane. - Nie pozwolę, żeby mi zepsuła apetyt.

Z zadaszonego parkingu do frontowych drzwi prowadziło również zadaszone przejście, na co Claire nigdy przedtem nie zwróciła uwagi. Najwyraźniej miejscowe Denny's do swoich klientów zaliczało wampirów tak samo, jak ludzi, i to nawet za dnia. Na szklanych drzwiach wejściowych ponaklejano różne miejscowe ulotki i Claire zerknęła na nie, zanim weszła. I stanęła tak nagle, że Shane na nią wpadł.

- Hej! Tu się idzie!

- Popatrz. - Claire wskazała kartkę papieru.

Przeczytał: „Tylko jeden występ!” Obok była czarno - biała fotografia młodego, jasnowłosego człowieka z gitarą. A pod spodem było napisane: „Michael Glass wraca do i Common Grounds” i jeszcze data... Dzisiejsza.

Shane zerwał ulotkę z drzwi, złapał Michaela za ramię i podsunął mu ją pod nos.

- Mówi ci to coś? - zapytał. - Kiedy miałeś zamiar nam powiedzieć?

Michael zdziwił się, a potem zawstydzził.

- Ja... nie miałem zamiaru. Słuchajcie, to tylko takie przesłuchanie. Chciałem się przekonać, czy potrafię jeszcze... Nie chcę, żebyście przychodzili. To nic takiego.

Eve złapała ulotkę i wpatrzyła się w nią.

- Nic takiego? Michaelu! Ty występujesz! Publicznie!

- To coś nowego! - szepnęła Claire do Shane'a.

- Nie grał nigdzie poza naszym salonem od... - Gest zatapiania zębów w szyi. - No wiesz. Od Olivera.

- Och.

Michael zaczyna się rumienić.

- Powieś to z powrotem, dobrze? Nie ma o czym mówić!

Eve go pocałowała.

- Owszem, jest - powiedziała. - I nienawidzę cię za to, że mi nie powiedziałeś. Chciałeś tak po prostu się wymknąć, czy co?

- Jasne. - Michael westchnął. - Bo jeśli będę beznadziejny, to nie chcę, żebyście to słyszeli.

Claire przylepiła ulotkę do drzwi.

- Nie będziesz beznadziejny.

- A w każdym razie nie z gitarą w ręku - powiedział Shane z udawaną powagą. Claire szturchnęła

go w ramię. - Auć.

ROZDZIAŁ 7

Michael przez dwie godziny stroił gitarę, co było denerwujące, i wyszedł wcześniej. Eve poszła razem z nim, mimo jego protestów, że to naprawdę nic nieznaczący występ. Claire i Shane mogli więc sami zdecydować, co chcą robić.

Claire przygotowała hot dogi i właśnie posypywała je tartym serem, kiedy Shane, zabiwszy kilka zombi, wszedł do kuchni.

- Fajnie. Dzięki - powiedział i wsadził kawałek hot doga do ust.

- Mógłbyś przynajmniej usiąść - westchnęła Claire. - Mamy tu stoły. Są nawet przy nich krzesła.

- Chcesz iść? - wymamrotał niewyraźnie. - Na to coś?

Czy chciała? Claire ugryzła hot doga nieświadoma, że łamie swoją zasadę niejedzenia na stojąco, i się zastanowiła. Z jednej strony oznaczało to wyjście z domu po zmroku i wizytę w Common Grounds w celach rozrywkowych, czego w ostatnich dniach w tym domu raczej się nie robiło.

Ale... Michael. Publiczny występ. Jego gitara.

- Tak - powiedziała. - Chciałabym, jeśli nie masz nic przeciwko. Wiem, że nie lubisz tego miejsca, ale...

- Lubię je bardziej niż Eve, bądź spokojna. Poza tym nie chcę, żeby siedziała tam sama. Potrzebuje kogoś, kto jej dopilnuje, kiedy będzie w tłumie tych wszystkich fanek, i tak dalej.

Roześmiała się.

- Och, myślisz, że to coś zabawnego? Powinnaś była zobaczyć go w liceum. Facet nie mógł się opędzić od lasek, ile razy sięgnął po gitarę.

- I nadal nie będzie mógł, założę się.

- Właśnie o to mi chodzi. Dojadaj. Zwykle zaczynaj ą występy muzyczne koło siódmej.

Claire piorunem zjadła kolację i pobiegła na górę wziąć szybki prysznic i przebrać się. Po krótkim zastanowieniu zdecydowała się na krótką spódniczkę i rajstopy, które włożyła ostatnio, kiedy bez zaproszenia wdarli się na koszmarną imprezę w domu Moniki Morrell, i gładki czarny top, dość obcisły, żeby pasował do całości, ale na tyle luźny, żeby nie umarła, gdyby zobaczyli ją jej rodzice.

Shane zamrugał ze zdziwienia, kiedy zeszła na dół. On też włożył inne ciuchy, ale nadal w stylu wyluzowanego obiboka. Jedyнным znakiem świadczącym, że starał się zrobić dobre wrażenie, było to, że chyba próbował przeczesać włosy. Tak trochę.

- Świetnie wyglądasz. - Uśmiechnął się. Przystanąła na ostatnim stopniu, dzięki czemu byli teraz równego wzrostu, a on ją pocałował. Długo i niespiesznie. Smakował pastą do zębów w pierwszej chwili, ale potem już tylko Shane'em. To był tak bardzo pyszny smak, że złapała się na tym, że wspina się na palce, żeby przysunąć się jeszcze bliżej. - Wstrzymaj się, dziewczyno. Myślałem, że wychodzimy. Jak się będziemy tak całować, namówisz mnie na siedzenie w domu.

Claire musiała przyznać, że jej samej też to przyszło na myśl. Zwłaszcza że dom był pusty, byli sami.

Zobaczyła, że Shane też o tym myśli, bo na moment rozszerzyły mu się źrenice.

Och, te wszystkie możliwości.

- Lepiej idźmy, skoro mamy iść - powiedziała Claire z żalem. - Tylko... Jak my się tam dostaniemy?

Shane podał jej ramię.

- Zdaje się, że to ładny wieczór na spacer.

- Jesteś pewien?

Postukał w jej złotą bransoletkę i w swoją białą, szpitalną.

- Być może to jedyny wieczór, kiedy trafia nam się w tym mieście taka okazja - powiedział. - Żyjmy niebezpiecznie.

Miło było iść ramię w ramię z Shane'em i nie martwić się (no cóż, nie martwić się za bardzo), jakie niebezpieczeństwo czai się na nich w mroku.

Dzisiaj przynajmniej niebezpieczeństwa trzymały się na dystans. Do Common Grounds mieli blisko. Claire czuła się jakoś nierealnie, powoli mijając w mroku pozamykane domy o oświetlonych oknach. Ludzie raczej nie wychodzili z domu po zmroku, a jeśli już musieli, to nie byli sami albo poruszali się samochodem.

Dwie osoby, które w taki sposób spacerowały wieczorem... Wydawało się, że to coś nie w porządku. Byli mniej więcej w połowie drogi do kawiarni, kiedy Claire zobaczyła, że ktoś zatrzymuje samochód na podjeździe przed nimi i wyskakuje ze środka. Kobieta miała minę mocno spanikowaną i kiedy spojrzała w ich stronę, Claire zrozumiała, że ona myślała, że są... wampirami. Co było jednocześnie zabawne i smutne.

Kobieta złapała swoje zakupy i szybko poszła do domu, głośno zatraskując drzwi i z ostrym metalowym zgrzytem domykając zamki.

Claire nic nie powiedziała do Shane'a, a on też sytuacji nie skomentował, ale nie wątpiła, że też ogarnęło go to nieprzyjemne poczucie winy. Ale co mieli powiedzieć? „Niech się pani nie boi, nie zjemy pani?”

Claire ucieszyła się, kiedy zobaczyła złotawą poświatę z frontowych okien Common Grounds. Widać było, że w kawiarni jest spory ruch - na ulicy po obu stronach parkowały samochody, a kolejne podjeżdżały, w miarę jak z Shanem zbliżali się do wejścia.

- Tam będzie wariatkowo - powiedział Shane, ale bez rozczarowania. - Następnym razem zabiorę cię w jakieś ciche i spokojne miejsce.

Claire poszukała w pamięci. Tyle się wydarzyło, odkąd poznała Shane'a, ale była prawie pewna, że to była ich pierwsza prawdziwa randka bez żadnych osób towarzyszących. To było zaskakujące i słodkie, i cenne dla niej w sposób, jakiego Shane pewnie nigdy nie dozna. Cieszyła się ciepłem dłoni, która trzymała ją za rękę i uśmiechając się do niego, weszła do Common Grounds, kiedy otworzył przed nią drzwi i przytrzymał je dla niej.

Hałas aż ogłupiał. W kawiarni zwykle bywało spokojnie, chociaż nigdy nudno, ale kiedy słońce zachodziło, rozbawienie gości rosło. Dziś wieczorem niewiele brakowało, żeby kawiarnię roznieśli. Przy każdym stoliku już panował tłok - głównie ludzie, ale bliżej kątów Claire zobaczyła kilka znanych jej wampirzych twarzy, w tym również Sama. Jedyny mieszkający w mieście członek rodziny Michaela przyszedł, żeby mu kibicować. Sam posłał jej uśmiech i pomachał ręką, Claire odwzajemniła ten sympatyczny gest.

Michael stał za barem, gdzie było trochę wolnego miejsca. Minę miał spiętą i nieco nieobecną. Ubrał się w zwykły szary T - shirt i dżinsy, a gitarę akustyczną przewiesił przez plecy. Claire

pomyślała, że jego naszyjnik z muszelek puka wygląda na nowy. Może to prezent od Eve? Amulet na szczęście?

Eve stała obok niego i chociaż Claire nie widziała dokładnie, wydawało jej się, że trzymają się za ręce.

Claire i Shane przepchnęli się przez tłum, w stronę baru. Shane skinął głową Michaelowi, a ten odpowiedział skinieniem - bardzo po męsku. Potem Shane poszedł złożyć zamówienie na coś do picia, zostawiając Claire, która nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Poradzisz sobie świetnie - powiedziała na koniec. Michael zamrugał i się skoncentrował.

- Kurczę, nie wiem - powiedział. - To miał być niezobowiązujący występ. Wychodzę i śpiewam parę piosenek. Po prostu, żeby się znów przyzwyczaić. Ale to...

Ktoś w kącie sali zaczął klaskać i nagle wszyscy rytmicznie klaskali.

Michael nie mógłby już bardziej zblednąć, a Claire zobaczyła w jego oczach zwątpienie. Eve też to zobaczyła i dała mu szybkiego buziaka.

- Dasz radę, Michael - powiedziała. - No dalej. Idź tam. Tak trzeba.

Claire pokiwała głową i uśmiechnęła się krzepiąco. Michael uniósł klapę kontuaru i wyszedł przy akompaniamencie ogłuszających oklasków. W przeciwległym rogu sali stało niewielkie podwyższenie, obok zamkniętych drzwi z napisem „Biuro”. Kiedy Michael tam wszedł, światła zabłyśły w jego złotych włosach i nieziemsko błękitnych oczach.

Wow, pomyślała Claire. To już nie był Michael. To był... ktoś inny.

Eve dała nura pod kontuarem i stanęła obok Claire. Ręce zaplotła na piersi. Miała tęskny uśmiech na ustach o czerwieni ust Złej Królowej.

- Piękny jest - powiedziała. - Prawda? Claire musiała się z tym zgodzić.

Michael poprawił mikrofon, wypróbował go, zagrał kilka szybkich palcówek, co zawsze robił, kiedy chciał się uspokoić i uśmiechnął się do tłumu. To był inny uśmiech niż wszystkie, które zwykle u niego widziała, jakiś taki bardziej radosny. Intensywniejszy, radośniejszy, bardziej osobisty. Poczła gdzieś głęboko w środku drzenie, kiedy musnął ją spojrzeniem i natychmiast się tego zawstydzila.

Ale, kurczę, on był taki seksowny. Nagle zrozumiała, o czym mówił Shane, i poczuła, że nie jest na to odporna.

Shane dotknął jej ramienia i podał jej drinka. Dokładnie wtedy Michael powiedział:

- Zdaje się, że wszyscy wiedzą, kim jestem, prawda? Mniej więcej osiemdziesiąt procent sali potwierdziło to grzmiącymi okrzykami. Pozostali, studenci z uniwersytetu, którzy albo trafili tu, przechodząc, albo dlatego że się nudzili, zrobili niepewne miny.

Michael po raz ostatni poprawił mikrofon.

- Nazywam się Michael Glass i jestem z Morganville.

Kolejne okrzyki. Zanim ucichły, Michael zaczął grać piosenkę, z którą często wygłupiał się w domu. Ale teraz się nie wygłupiał, na serio prezentował swój talent. Skrzył się jak białe złoto, a muzyka sływała spod jego dłoni jak strumienie światła. Owijała się wokół Claire połyskującą siecią i dziewczyna aż nie śmiała odetchnąć, nie śmiała się poruszyć, bo Michael grał jak jeszcze nigdy przedtem.

Udało jej się zerknąć na Shane'a, który też utkwił spojrzenie w Michaelu. Trąciła go łokciem. Pokręcił głową.

Eve uśmiechała się tak, jakby tego właśnie się spodziewała.

Michael skończył piosenkę płynnie i brawurowo, a kiedy struny gitary wybrzmiały w ciszy, tłum zamarł w bezruchu. Michael czekał tak samo nieruchomy, a potem cała sala spontanicznie wybuchła oklaskami i wiwatami.

Claire pomyślała, że uśmiech, jaki rozjaśnił twarz Michaela, był wart wszystkiego, co działo się w Morganville.

Następny utwór był wolniejszy, słodszy, a Claire ze zdumieniem zorientowała się, że to była nieco wolniejsza wersja tej piosenki, którą pisał tego wieczoru, kiedy był zbyt zajęty, żeby jechać do sklepu. Napisał też do niej słowa i jego głos nadał im smutne, pełne bólu piękno.

To była piosenka o Eve.

Claire odebrało oddech. Nie miała pojęcia, że muzyka może mieć aż taką siłę. Kiedy rozejrzała się po kawiarni, zobaczyła to samo w twarzach innych ludzi. Wszyscy byli urzeczeni. Nawet Oliver, który stał za barem, był jak porażony. A w półcieniu Claire dostrzegła jeszcze jedną osobę - Amelie, w zamyśleniu kiwającą głową, jakby przez cały czas, podobnie jak Eve, wiedziała.

Sam miał oczy pełne łez, ale się uśmiechał.

Głos Michaela ścichł do szeptu, a potem piosenka się skończyła. Tym razem oklaski nie cichły, a okrzyki zamieniły się w ryk na całe gardło.

Michael jeszcze raz poprawił mikrofon.

- Oszczędzajcie siły, ludzie - powiedział, przekrzykując hałas, i się uśmiechnął. - Dopiero zaczynamy.

Claire jeszcze nie spędziła w Morganville przyjemniejszego wieczoru. Nigdy w aż takim stopniu nie czuła się częścią czegoś, nigdy nie czuła jeszcze podobnej jedności w pomieszczeniu pełnym ludzi tak od siebie odmiennych. Niczego nieświadomi studenci poklepywali po plecach noszących bransoletki mieszkańców Morganville, wampiry uśmiechały się swobodnie do ludzi i nawet Oliver wydawał się pod wrażeniem ogólnej euforii.

Michael zszedł ze sceny dopiero po trzech bisach i owacji na stojąco. Podszedł do Eve, mocno ją uściskał, a potem pocałował tak czule, że Claire aż musiała odwrócić wzrok. Kiedy przerwali, żeby złapać oddech, Michael nadal się uśmiechał.

- I co? - spytał. - Nie było beznadziejnie, prawda? Shane wyciągnął do niego rękę.

- Nie było. Stary, gratulacje.

Michael zignorował rękę i uściskał Shane'a, a potem odwrócił się do Claire. Bez wahania go objęła. Był cieplejszy niż zwykle i spocony; nie miała pojęcia, że wampiry mogą się pocić. Może zazwyczaj nie musiały zbytnio się wysilać.

- To było niesamowite - szepnęła Claire. - Po prostu... niesamowite. Wow. Mówiłam już, że niesamowite?

Cmoknął ją w policzek, a potem odwrócił się, bo sporo osób napierało z tyłu, chcąc mu uściskać rękę i pogratulować. Wiele z nich to były ładne dziewczyny. Claire wycofała się i stanęła u boku Shane'a.

- Widzisz, o co mi chodziło? - powiedział Shane. ~ Dobrze, że Eve tu jest. Facetowi coś takiego może uderzyć do głowy.

- Nawet wampirowi?

- Ha. Wampirowi zwłaszcza.

Potrwało to z piętnaście minut, zanim kolejka fanów zmniejszyła się. Wtedy przy stolikach zrobiło się luźniej, zostali tylko zatwardziali kofeiniści. Claire i Shane złapali krzesła i nowe napoje,

a Eve pomagała Michaelowi pozbierać rzeczy.

- Dziękuję - powiedziała Claire do Shane'a.

Uniósł brwi.

- Za co?

- Za najlepszą randkę w moim życiu?

- To? Nie. Przeciętnie było. Stać mnie na znacznie więcej.

Przechyliła głowę.

- Naprawdę?

- Absolutnie.

- Masz ochotę to udowodnić?

W jakiś sposób jej dłoń znalazła się w jego. Poglaskał ją, wzbudzając dreszcz.

- Któregoś dnia - powiedział. - Niedługo. Jasne.

Złapała się na tym, że znów wstrzymuje oddech, myśląc o rysujących się możliwościach. Shane uśmiechnął się szelmowsko i nagle nabrała ochoty, żeby tu i teraz długo go całować.

- Gotowi? - Michael stanął przy stoliku i spojrział na nich.

Trochę tej błyskotliwości, którą emanował na scenie, znikło i znów był normalnym, zwyczajnym Michaeliem, nieco zresztą zmęczonym. Claire dopiła gorące kakao i pokiwała głową.

Nawet najlepszy wieczór musi się kiedyś skończyć.

Claire szykowała się do spania, kiedy usłyszała krzyk Eve - nie jakiś pisk znaczący: „przestań mnie łaskotać, wariacie!”, ale krzyk przerażenia, który przeszył cały dom jak odgłos piły mechanicznej. Zrzuciła górę od piżamy, złapała szlafrok i wypadła na korytarz. Shane już tam był i zbiegał po schodach, wciąż w dżinsach i T - shircie.

Kiedy wpadli do holu, zobaczyli Michaela, który siedział na podłodze i trzymał w objęciach zakrwawioną dziewczynę. Eve domykała zamki drzwi wejściowych.

- Miranda - powiedział Michael. - Miranda, słyszysz mnie?

Claire ze zdumieniem rozpoznała dawną koleżankę Eve, Mirandę; dziecka właściwie, w tym niewdzięcznym okresie, kiedy dziewczynki i chcą, i boją się zostać kobietami. Odkąd Claire widziała japo raz ostatni, Miranda nieco się zaokrągliła, nie była już tak przerażająco chuda, ale nadal wyglądała jak zabiedzona.

I do tego ranna. Na głowie miała rozcięcie, z którego na szyję kapiała krew i plamiła dżinsy i palce Michaela.

- Och - szepnęła Miranda i się rozplakała. - Auć. Uderzyłam się w głowę...

- Nic ci nie jest, już jesteś bezpieczna - powiedziała Eve.

Przyklękła obok Michaela i wyciągnęła ręce, a Michael szybko przekazał jej dziewczynę. Źrenice zrobiły mu się małe jak łąpek szpilki i wydawał się jakiś... inny. - Michael, może ty lepiej idź i się umyj.

Szttywno skinął głową, minął Shane'a i Eve i popędził na górę tak szybko, że aż zamienił się w rozmazaną plamę.

- Karetka? - spytał Shane.

- Nie! Nie, nie mogę! - Miranda była rozgorączkowana. - Proszę, nie odsyłajcie mnie tam. Nie macie pojęcia, co oni mi zrobią... Ogień...

Eve zdołała utrzymać dziewczynę, chociaż Miranda ciskała się jak wariatka.

- Dobrze, nie wezwiemy karetki. Uspokój się. Shane...

Może zestaw pierwszej pomocy? Ręczniki i gorąca woda?

- Ja pomogę - powiedziała Claire i razem z Shane'em poszli do kuchni. Kiedy obejrzała się za siebie, zobaczyła, że Miranda przestała się wyrywać i leżała spokojnie w objęciach Eve. - Co jej się, u licha, stało?

- Morganville - odparł Shane i wzruszył ramionami. Ramieniem otworzył drzwi kuchni i ruszył prosto do szafki pod zlewem. Claire pomyślała, że zestaw pierwszej pomocy ciągle jest w użytku. Odkręciła gorącą wodę i zgarnęła kilka kuchennych ręczników.

Opatrywanie Mirandy okazało się nie takie trudne, jak Claire się spodziewała. Rozcięcie na głowie krwawiło silnie, ale było powierzchowne i Eve udało się opatrzyć je kilkoma plastrami.

Ale ugryzienia na szyi Mirandy wyglądały na świeże. Kiedy Eve ją o nie zapytała, Miranda zawstydzila się i podciągnęła wyżej kołnierzyk bluzki.

- To nie twoja sprawa - powiedziała.

- To Charles, prawda? - Eve nie tolerowała wampirów, które żerowały na nieletnich; z tego, czego zdołała dowiedzieć się Claire, wiele wampirów też tego nie tolerowało. Właściwie istniało prawo, które tego zabraniało. Zastanowiła się, czy Amelie wie o Charlesie i Mirandzie. Albo, czy ją to obchodzi. - Mir, nie możesz mu pozwalać, żeby tak na tobie żerował! Wiesz o tym!

- Był taki głodny - powiedziała Miranda i opuściła głowę. - Ja wiem. Ale to prawie nie bolało.

Claire zrobiło się niedobrze. Wymieniła szybkie spojrzenie z Shane'em.

- Facetowi dobrze by zrobił kołek - powiedział.

Miranda gwałtownie uniosła głowę.

- To nie jest śmieszne!

- A czy ja próbuję żartować? Miranda ten facet to pedofil.

Fakt, że tylko pije twoją krew, zamiast... - Shane urwał i wpatrzył się w nią. - Bo to jest zamiast, prawda?

Trudno było stwierdzić, czy Miranda zrozumiała, do czego zmierzał, ale Claire wydało się, że chyba tak, i dziewczyna musiała się poczuć głęboko zażenowana. Miranda spróbowała wstać z krzesła, na którym ją posadzili.

- Muszę iść do domu.

- Zaraz, zaraz, ledwie stoisz na nogach. - Eve udało jej się znów posadzić dziewczynę. - Claire, sprawdź, co z Michaeliem. Zobacz, czy dobrze się czuje.

Innymi słowy Shane i Eve mieli zamiar zadać Mirandzie parę osobistych pytań. Claire skinęła głową i poszła na górę. Drzwi do łazienki były zamknięte. Cicho zapukała.

- Michael?

Brak odpowiedzi. Ujęła za klamkę. Zamknięte. Claire odwróciła się, bo wydawało jej się, że na korytarzu słyszy kroki, ale nikogo tam nie było. Nie usłyszała, jak otwierały się drzwi łazienki, ale kiedy znów spojrzała, były otwarte, a Michael stał o parę centymetrów od niej.

Cofnęła się niepewnie. Zamiast tylko się obmyć, wziął prysznic; wilgotne włosy wiły mu się i były ciemniejsze niż zwykle, opasał się w biodrach ręcznikiem. Widziała... o wiele więcej Michaela niż zwykle i była pod wrażeniem.

Claire cofnęła się, aż poczuła za plecami ścianę.

- Przepraszam - powiedział, ale chyba nie było mu specjalnie przykro. Wydawał się rozżłoszczony, zestresowany i niespokojny. - Ona tu nadal jest. - To nie było pytanie, ale Claire i tak pokiwała głową. - Nie może zostać. Musimy się jej stąd pozbyć.

- Ona chyba nie jest w stanie stąd iść - powiedziała Claire. - Chyba ma atak hysterii. Shane i Eve...

- Ja nadal czuję zapach jej krwi - przerwał jej Michael. - Zmyłem ją z siebie. Zdjąłem ciuchy. Wziąłem prysznic. I nic z tego, nadal czuję... Ona musi stąd wyjść. Natychmiast.

- Co się z tobą dzieje? Ja myślałam, że ty... - Zawahała się, a potem udała, że coś pije z butelki.

- Owszem. - Michael potarł twarz obiema dłońmi. - Widocznie spaliłem to wszystko dziś w czasie występu. Claire, jestem głodny.

Wiele go musiały kosztować te słowa. Claire z trudem przełknęła ślinę i pokiwała głową.

- Zaczekaj tutaj.

Zeszła na dół, minęła Shane'a i Eve nadal pogrążonych w poważnej rozmowie z Miranda i poszła do kuchni. Z tyłu, na dolnej półce lodówki stało kilka butelek, które mogły być pełne piwa, ale nie były. Znalazła trzy. Złapała jedną, nie przyglądając jej się zbyt uważnie i mijając małą grupkę na parterze, postarała się, żeby butelka nie rzucała się w oczy. Nikt nie patrzył w jej stronę; zajęci byli własnymi sekretami.

Michael stał oparty o framugę drzwi łazienki, z założonymi rękami. Wyprostował się, kiedy zobaczył, co trzymała w ręku. W milczeniu - podała mu butelkę. Michael ani na chwilę nie odrywał oczu od Claire, kiedy kciukiem zdejmował kapsel i podnosił zimną butelkę do ust. Jej zawartość przelewała się bardziej jak syrop niż jak krew i Claire o mało się nie zakrztusiła.

A Michael faktycznie się zakrztusił. Ale przełknął. A potem wypił do dna.

Błękitne oczy na moment zabłysły czerwienią, a potem przybrały zwykły kolor.

Zobaczyła, że aż się wstrząsnął.

- Chyba nie zrobiłem tego przy tobie...

- Hm... owszem. Zrobiłeś. - I to zdecydowanie wyzywająco. Jakby chciał coś zaznaczyć. To wszystko było przerażające i wstrętne, ale jednak...

Ale jednak.

Michael otarł usta grzbietem dłoni, spojrzał na krew i podszedł do umywalki, żeby ją zmyć.

Patrzył na siebie w lustrze tak długo, że Claire myślała, że już zapomniał o jej obecności, ale potem powiedział:

- Dzięki.

Claire próbowała znaleźć słowa, które nie zabrzmiałyby kompletnie idiotycznie.

- Trochę obrzydliwa, prawda? Kiedy jest zimna? - Chyba jej się nie udało...

Na szczęście Michael z ulgą chwycił się liny ratunkowej jakiegokolwiek rozmowy po tej dziwnej scenie.

- Tak - powiedział. - Ale zaspokaja najgorszy głód. Tylko to się liczy. - Uważnie wypłukał butelkę, a potem odstawił ją i wziął głęboki oddech. - Ubiorę się. Wracam za sekundę.

Odprawiał ją, ale miło, więc Claire wzięła to za dobrą monetę i poszła z powrotem do salonu.

A tam Shane i Eve stali obok siebie i przechylając głowy pod identycznym kątem, wpatrywali się w coś.

- Co się dzieje? - szepnęła Claire.

- Ciii - syknęli Shane i Eve jednocześnie.

Bo Miranda mówiła coś niesamowicie monotonnym głosem i wyglądała... jak martwa. Jak nieprzytomna. Tyle że coś mówiła.

- Widzę ucztę - mówiła właśnie. - Tyle gniewu... Tyle kłamstw. Wszyscy martwi, chodzący

umarli padają na ziemię. To się rozprzestrzenia. Wszystkich nas zabije.

Claire poczuła ukłucie niepokoju. Chodzący umarli padają na ziemię. To się rozprzestrzenia. Miranda już wcześniej miewała wizje, Claire o tym wiedziała. Między innymi dlatego Eve pozwałała jej czasami przychodzić. Czasem udawała, ale wiele razy były równie poważne jak atak serca i Claire przeczuwała, że ta też jest na serio.

Miranda mówiła o chorobie wampirów i o tym, że przenosi się na ludzi. Nie, to chyba niemożliwe. Czy to się może stać? Nie udało im się jeszcze nawet dowiedzieć, czym właściwie jest ta choroba. Wiedzieli tylko, jak się objawia. Niszczyła zdrowie psychiczne wampirów, drażąc je stale tak, że nie byli w stanie funkcjonować.

Najpierw zanikała, jak u wszystkich wampirów z Morganville, zdolność reprodukcji, tworzenia nowych wampirów. Jedynie Amelie miała jeszcze dość siły, ale stworzenie Michaela o mało jej nie zniszczyło.

To się rozprzestrzenia. Claire pomyślała o wszystkich ludziach z Morganville, o wszystkich rodzinach, wszystkich młodych ludziach, którzy byli dziś wieczorem w kawiarni, i zrobiło jej się zimno i nieswojo.

To nie może być prawda.

- Uczta - powtórzyła znów Miranda. - Jesteście szaleńcami, wszyscy jesteście szaleńcami, nie dajcie mu się ogłupić. Nie tylko ich troje... Jest ich więcej...

- Kto? - Eve przysiadła obok krzesła Mirandy i położyła jej dłoń na ramieniu. - Mir, o kim ty mówisz?

- O Starszych - powiedziała i teraz po jej bladych policzkach zaczęły spływać łzy. - O, nie. O, nie... Oni wracają. Są wszyscy tacy głodni, nie sposób ich powstrzymać...

Michael, który właśnie schodził po schodach, przystanął. Wyglądał znów na opanowanego, ale minę miał nieswoja.

- O czym ona mówi?

- Ciii! - Tym razem uciszyli go wszyscy troje naraz. Eve nachyliła się bliżej nad Mirandą. - Kotku, czy ty mówisz o wampirach? O tym, co się stanie z wampirami?

- Umrą - szepnęła Mirandą. - Tylu umrze. Wydaje nam się, że jesteśmy bezpieczni, ale to nieprawda. Oni nie chcą słuchać... Oni nas nie zobaczą... - Niespokojnym gestem obracała srebrną bransoletkę na nadgarstku i wierciła się na krześle. - To przez niego. On to wszystko wywołuje.

- Oliver? - spytała Eve. Bo Oliver był jedynym wampirem płci męskiej należącym do Rady Starszych.

Ale Mirandą pokręciła głową. Nie powiedziała już ani słowa, ale rozplakała się, rozplakała się tak gwałtownie, że sama się wytrąciła z transu i przylgnęła do Eve jak wąż trzcinka chwiejąca się na wietrze.

- Bishop - odezwał się Michael. Wszyscy spojrzeli na niego. - To nie Oliver. Ona mówi o Bishopie. Będzie próbował zniszczyć Morganville.

Skończyło się na tym, że Mirandą spała na kanapie. Kiedy Claire następnego dnia rano zeszła na dół, znalazła dziewczynę zwiniętą w kłębek pod górą koców, nadal rozdygotaną, ale głęboko uspioną. Wyglądała jeszcze bardziej krucho. Błada skóra była przejrzysta, a pod oczami miała ciemne kręgi zmęczenia.

Claire zrobiło jej żal, ale tylko trochę, Mirandą raczej nic wzbudzała współczucia. Nie miała żadnych bliskich przyjaciół, a przynajmniej tak mówiła Eve; ludzie ją tolerowali, ale raczej nie

przypadali za jej towarzystwem. Szkoda było dzieciaka, ale Claire ich rozumiała. Mirandą stanowiła taką mieszankę wyparcia i czystej niesamowitości, że nawet w Morganville ciężko jej było przystosować się do innych.

Nic dziwnego, że broniła wampira, który na niej żerował. Prawdopodobnie był jedyną istotą, która okazywała jej jakiegokolwiek uczucie.

Claire przystanąła, żeby ściślej otulić drżącą postać dziewczyny kocem, a potem poszła do kuchni zaparzyć kawę i zrobić tost. Jak na śniadanie, skromne było i samotne, ale słońce dopiero wstawało, a reszta współlokatorów raczej nie zaliczała się do rannych ptaszków.

Czasami zapisywanie się na poranne zajęcia wydawało się kiepskim pomysłem.

Kiedy zadzwonił telefon, Claire tak się wystraszyła, że aż podskoczyła. Rzuciła się do aparatu zawieszzonego przy drzwiach kuchni i złapała słuchawkę, zanim ciszę rozdarł drugi dzwonek.

- Halo?

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza, a potem odezwała się matka Claire:

- Claire?

- Mama! Cześć... Co się stało?

- A czemu coś się miało stać? Nie mogę tak po prostu zadzwonić, bo mam ochotę pogadać z moją córką? - Och, super. Teraz matka zaczęła mówić tonem urażonym i obronnym. - Wiem, że jest jeszcze wcześniej, ale chciałam się z tobą skontaktować, zanim wyjdiesz na zajęcia.

Claire westchnęła i oparła się o ścianę, bezmyślnie kopiąc stopą kuchenne linoleum.

- Dobrze. To jak sobie z tatą radzicie? Rozpakowaliście się już?

- Wszystko w porządku - powiedziała jej matka fałszywym tonem, od którego Claire aż zamarła. - To tylko... proces przystosowawczy, nic więcej. To takie małe miasto i tak dalej.

- Tak - zgodziła się Claire cicho. - Przyzwyczajacie się. - Nie miała pojęcia, co jej matka i ojciec wiedzą na temat Morganville, ile musieli się tu... jak to nazwać? Zaczynać orientować? Jak przypuszczała, Morganville nie zostawiało ludziom innego wyboru. - Czy... poznaliście już kogoś?

- Poszliśmy na miłą imprezę zapoznawczą do centrum - powiedziała jej mama. - Pan Bishop i jego córka nas zabrali.

Claire musiała zagryźć wargę, żeby głośno nie jęknąć. Bishop? I Amelie? O Boże.

- Co się stało?

- Och, nic takiego. To było przyjęcie z koktajlami.

Przystawki, drinki, trochę rozmów. Była tam prezentacja historii... historii... - Nagle zaszokowana Claire zdała sobie sprawę, że jej mama płacze. - Przysięgam, nie wiedzieliśmy... Nie mieliśmy pojęcia, inaczej nie wysłalibyśmy cię w to okropne miejsce. Och, kochanie...

Claire z trudem przełknęła kulę, która zaczęła dławić ją w gardle.

- Mamo, nie płacz. Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze. - Kłamała, ale musiała. Za ciężko jej było słuchać, jak matka się załamuje. - Słuchaj, więc poznałaś Amelie, tak?

Z drugiej strony dobiegło ją pociąganie nosem.

- Tak, wydawała się miła.

Claire raczej nie użyłaby tego słowa.

- No cóż, Amelie jest najbardziej wpływową osobą w Morganville i jest zdecydowanie po naszej stronie. - Przesadziła, ale tylko tak mogła opisać sytuację w prostych słowach. - Wiec naprawdę nie ma się czym martwić, mamo. Ja pracuję dla Amelie. Jest za mnie w pewien sposób odpowiedzialna, a więc i za ciebie. Ma nam zapewnić bezpieczeństwo. Jasne?

- Jasne. - Zabrzmiało to słabo i niepewnie, ale przynajmniej mama się zgodziła. - Tylko bardzo się martwiłam o twojego ojca. Nie wyglądał za dobrze, wcale nie za dobrze. Chciałam, żeby pojechał do szpitala, ale powiedział, że nic mu nie jest...

Claire zrobiło się zimno na wspomnienie słów Mirandy: „Proszę, nie odsyłajcie mnie tam. Nie macie pojęcia, co oni mi zrobią”. Najwyraźniej mówiła o szpitalu.

- Ale czuje się już dobrze?

- Dzisiaj wydaje się w formie. - Mama Claire wydmuchwała nos, a kiedy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał silniej. - Przepraszam, że tak się przed tobą wyżałam, kochanie. Ja po prostu nie miałam pojęcia... Tak dziwnie jest pomyśleć, że ty przez ten cały czas byłaś tu i nie powiedziałaś nam ani słowa... o tej sytuacji. - Znaczący o wampirach.

- No cóż, szczerze mówiąc, myślałam, że mi nie uwierzycie. A zamiejscowe telefony są monitorowane. Mówili ci o tym, prawda?

- Tak, mówili. Więc ty nas chroniłaś. - Jej mama roześmiała się niepewnie. - Claire, to rodzice powinni chronić swoje dzieci. Kiepsko sobie z tym poradziłyśmy, nieprawdaż? Naprawdę byliśmy pewni, że tutaj będziesz o wiele bardziej bezpieczna niż w Massachusetts albo w Kalifornii, zdana sama na siebie...

- Nie ma sprawy. Jeszcze kiedyś tam pojedę.

Zaczęły mówić o jakichś przyjemniejszych sprawach - o rozpakowywaniu się, o wazonie, który zbił się w czasie przeprowadzki („Naprawdę nie cierpiałam tego grata - twoja ciotka dała nam go na Gwiazdkę wtedy, pamiętasz?”), i o tym, jak Claire zamierza spędzić dzień. Pod koniec rozmowy mama wydawała się w miarę uspokojona, a kawa Claire kompletnie wystygła. Tak samo jak tost.

- Claire - odezwała się mama. - Co do tej przeprowadzki do nas...

- Nie przeprowadzę się. Przepraszam, mamó. Wiem, że tata się zdenerwuje, ale tu jest moje miejsce. I ja tu zostanę.

Po drugiej stronie linii na chwilę zapanowała cisza, a potem mama powiedziała bardzo cicho:

- Jestem z ciebie taka dumna.

I rozłączyła się. Claire stała przez moment bez ruchu, czując łyzy piekące jąw oczach, a potem powiedziała do słuchawki:

- Kocham was.

A później wzięła swoje rzeczy i poszła na zajęcia.

ROZDZIAŁ 8

Dni mijały i dla odmiany nie działo się nic niezwykłego. Zapanowało normalne życie - a przynajmniej coś, co za normalne życie uchodziło. Claire chodziła na zajęcia, Eve chodziła do pracy, Michael uczył gry na gitarze, od czasu występu w Common Grounds cieszył się o wiele większym powodzeniem, a Shane... Shane się obijał, chociaż Claire się wydawało, że jest czymś zaabsorbowany.

Wreszcie dotarło do niej, że on ciągle myśli o tej sobocie i zaproszeniu. I że zupełnie nie ma ochoty z nią o tym rozmawiać.

- No i co ja mam zrobić? - spytała Claire Eve. - Czy on nie może po prostu zadzwonić i powiedzieć, że zachorował? Czy koniecznie musi pójść.

- Żartujesz sobie? - obruszyła się Eve. - Myślisz, że oni się zadowolą wymówką? Jeśli dostajesz zaproszenie na taką imprezę, to po prostu idziesz. Koniec kropka.

- Ale... - Claire, która wyciągała szklanki z szafki, podczas gdy Eve wykladała talerze, o mało nie upuściła ich na ziemię. - Ale to znaczy, że ta wredna mała suka...

- Słownictwo, moja panno.

- ...ta czarownica go ze sobą zabierze! - Na samą myśl ogarniała ją ślepa furia, i to wcale nie tylko dlatego, że Shane tak się tym wszystkim denerwował. Chodziło jej o sam pomysł, że Shane wyrazi na to zgodę, żeby Ysandre położyła swoje blade, cienkie palce na jego klatce piersiowej, wyczuwając bicie jego serca.

Shane nie powiedział do niej ani słowa na ten temat. Ani jednego słowa. A ona nie miała pojęcia, jak mu pomóc.

Eve przez parę chwil przyglądała jej się z namysłem, a potem powiedziała:

- No cóż, nie ona jedna tam idzie. Shane nie będzie z nią sam na sam.

- Co?

- Michael też się wybiera. Widziałam zaproszenie, kiedy przyszło. Ale go nie otwierałam.

No ale Eve miała prawo oczekiwać, że Michael ją ze sobą zabierze. Natomiast Claire była z imprezy wykluczona.

To też ją irracjonalnie rozgniewało, tym razem na samą siebie. Jestem zazdrosna, zrozumiała, bo nie chcę, żeby on gdzieś poszedł beze mnie.

Naprawdę nie chciała taka być, a tu proszę. I nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Kiedy postawiła przed Shane'em jego szklankę z colą, zrobiła to być może z nieco przesadną energią, bo spojrzał na nią przeciągle z pytaniem w oczach. Eve już usiadła na krześle po drugiej stronie stołu. Michaela nie było w domu, ale Eve tym razem jakoś się nie przejmowała. Może jej powiedział, dokąd idzie.

Miło wiedzieć, że ktoś tu komuś coś mówi, pomyślała Claire.

- No co? - spytał ją Shane i wziął szklankę. - Zapomniałem powiedzieć: dziękuję? No to, dziękuję. Lepszej coli jeszcze nie piłem. Sama ją zrobiłaś? To jakiś specjalny przepis?

- Masz jakieś plany na sobotni wieczór? - spytała. - Myślałam, że może poszlibyśmy do kina albo...

Trochę zbyt przejrzyste. Shane z miejsca zrozumiał, a Eve zakrztusiła się kęsem odgrzewanej w mikrofalówce lasagne. Milczenie zaczęło ciążyć nad stołem. Claire dziobała widelcem jedzenie, żeby mieć jakieś zajęcie dla rąk.

- Nie mogę - powiedział na koniec Shane. - Chyba wiesz dlaczego.

- Bo idziesz na ten bal - powiedziała Claire. - Z... przyjaciółką Bishopa.

- Raczej nie mam wyboru.

- Jesteś tego pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Właściwie dlaczego my w ogóle rozmawiamy na ten temat?

- Bo... - Tak mocno dziabnęła lasagne, że widelec zazgrzytał o talerz. - Bo Michael idzie. I pewnie Eve też. I co ja mam robić sama?

- Żartujesz sobie. Naćpałaś się cracku? Bo mam wrażenie, że właśnie dałaś do zrozumienia, że chciałabyś iść na tę durną wampirzą imprezę, na którą zresztą sam nie mam ochoty iść.

Claire próbowała nie spiorunować go wzrokiem.

- Myślałam, że Ysandre nienawidzisz. A ty właśnie z nią idziesz.

- Nienawidzę. I idę. - Shane napychał sobie usta jedzeniem, bezczelna wymówka, żeby nie rozmawiać dłużej, a przynajmniej, żeby uniknąć rozmowy.

Eve odchrząknęła.

- Może powinnam, no nie wiem, wyjść? Bo zaczyna mi to brzmieć jak reality show, w którym naprawdę nie mam ochoty uczestniczyć. Może oboje na zmianę utniecie sobie monolog w pokoju zwierzeń.

Shane i Claire ją zignorowali.

- Nic ci nie mówiłem, bo nic nie mogę zrobić - powiedział Shane. - Nikt nic tu nie może zrobić.

- Nie mów z pełnymi ustami.

- Kobieto, sama pytałaś!

- Ja... - Claire nagle zapiekły w oczach łzy. - Ja po prostu chciałam, żebyś ze mną o tym porozmawiał, to wszystko. Ale pewnie nawet na to cię nie stać.

Wzięła swoją nie zjedzoną lasagne i poszła do swojego pokoju. Tym razem to na nią przyszła kolej zrobić awanturę, trzasnąć drzwiami, obrazić się i, cholera, zamierzała zrobić to jak trzeba. Rozpłakała się w tej samej chwili, w której drzwi się za nią zamknęły. Odstawiła jedzenie na toaletkę i osunęła się w kącie, zwijając w kłębek. Od dawna nie płakała tak, jak teraz, nie przez coś tak głupiego, ale po prostu nie mogła... nie chciała...

Ktoś zapukał do drzwi.

- Claire?

- Odejdź, Shane. - Ale powiedziała to bez przekonania i on to musiał dosłyszeć w jej głosie. Otworzył drzwi. Spodziewała się, że rzuci się do niej i porwie ją w objęcia, ale zamiast tego Shane tylko... stanął w drzwiach. A minę miał częściowo rozżłoszczoną, a częściowo oglupiałą.

- Dlaczego to odnosisz do siebie? - spytał ją. Pytanie było jak najbardziej rozsądne, tak absolutnie logiczne, że wstrzymała oddech i zaczęła płakać jeszcze mocniej. - Mam włożyć jakieś idiotyczne przebranie. Mam udawać, że nie chciałbym pchnąć tej suki kołkiem w serce. Ty nie musisz.

- Ale idziesz tam! Dlaczego tam idziesz? Ty... Ja myślałam, że jej nie cierpisz...

- Bo powiedziała, że jak nie pójdę, to cię zabije. I wiem, że to nie jest tylko pogróżka. Ona mogłaby to zrobić. Zadowolona?

Cicho zamknął drzwi. Claire nie mogła złapać tchu. Miała wrażenie, że ten ból w piersi ją zabije, jakby każde uderzenie serca mogło być tym ostatnim. Usłyszała, że wyrywa jej się jakiś dźwięk, ale nie umiałaby powiedzieć, czy to był płacz, gniew, czy cierpienie.

Wreszcie łzy przestały płynąć i Claire otarła mokre policzki. Czowała się samotna i całkowicie wszystkiemu winna. Na obiad nie miała zupełnie ochoty i chciała tylko skulić się pod kołdrą z największym, najbardziej puchatym pluszowym zwierzakiem na świecie.

Ale nie mogła tego zrobić.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła Shane'a, który siedział na zewnątrz, opierając się plecami o ścianę. Podniósł na nią wzrok.

- Skończyłaś? - spytał. On też miał zaczerwienione oczy. Nie pełne łez, ale zawsze. - Bo na tej podłodze nie jest mi za wygodnie.

Usiadła obok niego. Otoczył ją ramieniem, a ona oparła głowę o jego pierś. W dotyku jego palców głaszczących jej włosy, w spokojnym rytmie oddechu, w masywnej i ciepłej sylwetce tuż obok niej było coś bardzo uspokajającego.

- Nie pozwól, żeby zrobiła ci coś złego - szepnęła. - Boże, Shane...

- Nie ma zmartwienia. Michael tam będzie i jestem pewien, że zainterweniuje, gdyby próbowała. Ale chcę, żebyś ty była bezpieczna. Obiecuj mi, że kiedy nas nie będzie, zostaniesz z rodzicami. Nie... - Bo już chciała protestować. - Nie, obiecuj mi. Muszę wiedzieć, że nic ci nie grozi.

Pokiwała głową, nadal zasmucona.

- Obiecuję - powiedziała i wzięła głęboki oddech, chcąc to wszystko od siebie odepchnąć. - No więc, jaki durny kostium masz włożyć?

- Nie pytaj.

- Będzie ze skóry?

- Tak, w sumie to całkiem możliwe. - Mówił tak, jakby lękał się tej perspektywy. Mimo wszystko zdobyła się na uśmiech.

- Nie mogę się doczekać.

Shane aż walnął głową o ścianę.

- Kobiety...

Następna wizyta w laboratorium Myrnina sprawiła jej niespodziankę. Kiedy zeszła po schodach, zobaczyła światła i w pierwszej chwili pomyślała: O Boże, wydostał się z celi. W następnym momencie zdecydowała, że lepiej będzie trzymać pistolet ze strzałkami w pogotowiu. Właśnie rozpinając plecak, żeby po niego sięgnąć, kiedy zobaczyła, że to wcale nie Myrnin.

W zagraconym, słabo oświetlonym laboratorium, które bardziej przypominało skład przestarzałego sprzętu, stały fotel i lampa do czytania. Na fotelu, przewracając strony jednego z rozpadających się starych dzienników Myrnina, siedział nikt inny tylko Oliver.

Claire położyła dłoń na kolbie pistoletu na strzałki, na wszelki wypadek, chociaż nie była pewna, ile dobrego działałaby dawka antidotum w tej konkretnej sytuacji.

- Och, daj spokój. Nie mam zamiaru cię atakować, Claire - odezwał się Oliver znudzonym tonem. Nawet nie podniósł wzroku. - Poza tym ostatnio jesteśmy po tej samej stronie. A może nie słyszałaś?

Powoli zeszła na dół schodów.

- Chyba nie słyszałam. A rozesłano jakieś memo? - Owszem, przybiegł z pomocą, kiedy Eve

zadzwońiła w sprawie Bishopa, ale jeśli chodziło o Claire, to go jeszcze nie umieszczało w kategorii sprzymierzeńców.

- Kiedy społeczności zagraża ktoś z zewnątrz, społeczność jednoczy się przeciwko tej zewnętrznej sile. To zasada tak stara jak system plemienny. Ty i ja jesteśmy członkami tej samej społeczności i mamy wspólnego wroga.

- Bishopa.

Oliver podniósł wzrok, zaznaczając czytane miejsce palcem.

- Pewnie masz pytania. Na twoim miejscu miałbym.

- Dobrze. Od jak dawna go znasz?

- Nie znam go. Wątpię, czy dziś jeszcze żyje ktoś, kto go znał.

Claire usiadła naprzeciw niego na rozchwianym fotelu.

- Ale go spotkałeś.

- Tak.

- To kiedy go spotkałeś?

Oliver przechylił głowę w tył, zmrużył oczy, a jej się przypomniało, że kiedyś wydawał jej się sympatycznym, normalnym człowiekiem. Teraz już mniej.

I niezupełnie człowiekiem.

- Poznałem go w Grecji - powiedział. - Jakiś czas temu.

Wydaje mi się, że szczegóły tego spotkania niewiele by ci powiedziały. A mogłyby zdenerwować.

- Próbowalesz go zabić?

- Ja? - Oliver uśmiechnął się powoli. - Nie.

- A Amelie?

Nie odpowiedział, tylko dalej się uśmiechał. Cisza trwała tak długo, że chciało jej się krzyczeć, ale wiedziała, że on chce, żeby zaczęła pleść bez sensu.

Więc milczała.

- To sprawy Amelie, nie twoje - powiedział Oliver. - Zakładam, że słuchałaś tego, co wygaduje Myrnnin. Przyznaję, fascynuje mnie to, że on jest jeszcze z nami. Myślałem, że umarł i przepadł już dawno temu.

- Jak Bishop?

- Wiesz, Myrnnin jest szalony. I było tak, odkąd sięgam pamięcią, chociaż w ostatnich czasach znacznie się pogorszyło. - Wzrok Olivera zrobił się nieobecny. - Kiedyś naprawdę lubił polować, ale zawsze potem zamieniał się w takiego żalosego, zapłakanego idiotę. Nie dziwi mnie, że chce zwalić własną słabość na... wydumaną chorobę. Niektórzy po prostu się nie nadają do życia.

Ze wszystkiego, czego się Claire spodziewała, ta akurat uwaga zaskoczyła ją.

- Nie wierzysz w istnienie tej choroby?

- Nie wierzę, że tylko dlatego, że Myrnnin i parę innych wampirów mają... ułomności, wszyscy też mielibyśmy się staczać. W to nie wierzę.

- Ale... Przecież nie możecie, hm...

- Rozmnażać się? - Spytał Oliver bez śladu jakiegokolwiek emocji. - Może po prostu nie chcemy.

- Próbowalesz przemienić Michaela.

Och, nie powinna była tego mówić, naprawdę nie powinna, bo twarz Olivera zastygła. Nagle dostrzegła zarys czaszki pod tą gładką, bladą skórą. W jego oczach mignęło coś czerwonego.

- Tak twierdzi Michael.

- To samo mówi Amelie. Chciałeś... Chciałeś mieć tutaj własną bazę władzy. Własnych sprzymierzeńców. Ale nie mogłeś tego zrobić. To cię zaskoczyło, prawda? Bo nagle się okazało, że... nie możesz.

- Dziecko - odezwał się Oliver - powinnaś poważnie się zastanowić, zanim jeszcze coś do mnie powiesz. Bardzo, bardzo poważnie.

Znów zaczął w milczeniu mierzyć ją wzrokiem i tym razem Claire odwróciła oczy. Zaczęła oskubywać nieistniejące nitki ze swoich džinsów.

- Muszę się brać do pracy - powiedziała. - A ty nie powinieneś tu być bez wiedzy Amelie.

- Skąd wiesz, że nie wie?

- Gdyby wiedziała, ktoś by cię tu pilnował - stwierdziła Claire i w odpowiedzi doczekała się chłodnego, nieznacznego uśmiechu.

- Mądra dziewczynka. Tak, dobrze. Każesz mi stąd wyjść?

- Oliverze, chyba nic nie mogę ci kazać, ale jeśli chcesz, żebym zadzwoniła do Amelie... - Wyjęła komórkę, otworzyła jej klapkę i zaczęła przeszukiwać książkę adresową.

Oliver pomyślał, czy by jej nie zabić. Widziała, jak ta myśl przemknęła mu po twarzy, jasno jak słońce, i o mało w czystym odruchu nie zadzwoniła pod wybrany numer.

Ale to spojrzenie znikło i znów się uśmiechnął, wstając i kiwając jej głową.

- Nie trzeba zawracać głowy Założycielce takimi głupstwami - powiedział. - Wychodzę. W czasie jednego posiedzenia i tak da się przeczytać tylko określoną ilość śmiesznych rojeń szaleńca.

Odłożył dziennik na stos ustawiony obok fotela i wyszedł, poruszając się z niewymuszoną gracją wśród stosów książek i barier stworzonych przez zbieranie mebli. Wcale nie wydawało się, żeby poruszał się szybko, ale zanim zdążyła mrugnąć okiem, znikł i na schodach tylko mignął jej jego cień.

Claire z drżeniem wypuściła oddech, wyjęła pistolet na strzałki z plecaka i poszła zobaczyć się z Myrningem.

- Rewelacja - powiedział Myrning, przyglądając się własnym dłoniom. Zacisnął je w pięści, obrócił, rozprostował palce. - Nie czułem się tak dobrze od... No cóż, od lat. Ręce mi drętwiały, wiedziałaś?

O tym objawie Myrning zapomniał jej powiedzieć wcześniej i Claire zapisała to teraz w notesie. Miała duży zegar ze stoperem odmierzającym czas w tył - nowy dodatek do wyposażenia laboratorium, zamówiony w Internecie - który zawiesiła na ścianie. Teraz migające czerwone cyfry obojgu przypominały, że Myrningowi zostało maksymalnie pięć godzin normalności po zażyciu najnowszej formuły lekarstwa.

Myrning poszedł za jej wzrokiem i też spojrzął na zegar, a radosna mina nieco mu zrzędła. Ciągłe wyglądał jak młody człowiek, pomijając oczy; niesamowicie było pomyśleć, że wyglądał dokładnie tak samo przez całe pokolenia jeszcze przed jej narodzeniem i że będzie tak wyglądał na długo po tym, jak ona umrze i zniknie z tego świata. On tak bardzo lubił polowanie, powiedział Oliver. Dla wampirów istniał tylko jeden rodzaj polowania. Polowanie na ludzi.

Uśmiechnął się do niej, i to był uśmiech, którym od początku zaskarbił sobie jej sympatię - słodki, łagodny, zapraszający ją do udziału w radosnym sekrecie.

- Dziękuję za zegar, Claire. To wielka pomoc. Ma funkcję alarmu?

- Dzwonek włącza się piętnaście minut przed godziną zero - powiedziała. - I ma brzęczyk, który odzywa się co godzinę.

- Bardzo pomocne. No cóż. Teraz, kiedy wróciła mi władza w palcach, czym się zajmiemy? - Myrnin znacząco unióśł szerokie czarne brwi, co było u niego całkiem zabawne. Nie, żeby nie był przystojny - bo był - ale Claire nie mogła sobie go wyobrazić jako osobnika seksownego.

Zastanawiała się, czy to by zraniło jego uczucia.

- Może odłożymy na półki trochę tych książek? - zaproponowała. Naprawdę zaczynały stanowić zagrożenie, już parę razy potknęła się o nie, i to nawet wtedy, kiedy nie działało się nic złego. Myrnin jednak się skrzywił.

- Mam tylko parę godzin przytomności umysłu, Claire. Sprząatanie domu to kiepski sposób ich spędzenia.

- No dobrze, to co chcesz robić?

- Moim zdaniem zrobiliśmy wielkie postępy z tym ostatnim składem łąku - powiedział. - Może sprawdzimy, czy uda nam się go jeszcze lepiej wydestylować? Wzmocnić działanie?

- Moim zdaniem przedtem lepiej byłoby przeprowadzić chemiczną analizę tego, co się dzieje w twojej krwi.

Zanim zdołała go powstrzymać, podszedł do stołu, wziął zardzewiały nóż i chlasnął się nim po ramieniu. Już otwierała usta do krzyku, kiedy złapał czystą probówkę ze stojaka na stole i złapał do niej strumyczek krwi. Rana zagoiła się, kiedy stracił zaledwie kilka jej łyżeczek.

- Są na to... łatwiejsze sposoby - powiedziała słabym głosem. Myrnin podał jej probówkę. Krew wydawała się ciemniejsza niż ludzka i gęstsza, ale właśnie tego się spodziewała - przecież nie miał ciepłoty ciała człowieka. Próbowwała nie myśleć o tych wszystkich ludziach oddających krew, ale nic nie mogła na to poradzić. Czy to krew Shane'a płynęła w jego żyłach? I w ogóle jak to działało? Czy wampiry w jakiś sposób metabolizowały krew, czy trafiała bez zmian bezpośrednio do ich krwiobiegu? Czy ważna była grupa krwi? Czynniki Rh? I co z chorobami przenoszonymi przez krew, jak malaria, wirus Ebola albo AIDS?

Miała mnóstwo pytań, które domagały się odpowiedzi. Pomyślała, że na jej miejscu doktor Mills czułby się jak w niebie.

- Ból nie ma większego znaczenia - powiedział Myrnin i opuścił rękaw, zakrywając blade, pozbawione blizn ramię po wytarciu śladów krwi, które na nim zostały. - Koniec końców można nauczyć się go ignorować.

Claire w to wątpiła, ale nie spierała się z nim.

- Część tej próbki zaniosę do szpitala - powiedziała. - Doktor Mills prosił o próbki krwi. Mają tam mnóstwo świetnego sprzętu i na pewno będzie mógł udzielić nam szczegółowych informacji, jakich nie uzyskamy tutaj.

Myrnin wzruszył ramionami, wyraźnie nieciekawym doktora Millsa ani żadnej innej ludzkiej istoty poza Claire.

- Rób, jak uważasz - powiedział. - Jaki to sprzęt?

- Och, różny. Spektrometry masy, analizatory składu chemicznego krwi... No wiesz.

- Powinniśmy zdobyć takie rzeczy.

- Po co?

- Jak możemy działać, nie mając najnowocześniejszego wyposażenia?

Claire wytrzeszczyła na niego oczy.

- Myrnin, tu na dole jest na to trochę mało miejsca. I nie wyobrażaj sobie, że tutejsze marne zasilanie elektryczne pozwoli ci włączyć mikroskop elektronowy. Zresztą naukowcy już teraz tak nie

pracują. Wyposażenie jest za drogie, zbyt delikatne.

Wielkie szpitale i uniwersytety kupują taki sprzęt. My tylko wynajmujemy czas pracy na nim.

Myrnnin zdziwił się, a potem zamyślił.

- Wynajmujecie czas? Ale jak można coś takiego zaplanować, kiedy nie wiesz, czego szukasz ani jak długo ci to zajmie?

- Trzeba się nauczyć planowania własnych objawień. I cierpliwości.

Roześmiał się na to.

- Claire, ja jestem wampirem. Wiesz, że nie słyniemy z cierpliwości. Ten doktor Mills... Może powinniśmy go odwiedzić. Chciałbym go poznać.

- On... pewnie też chciałby poznać ciebie - powiedziała powoli. Wcale nie była pewna, jak na to zareaguje Amelie, ale widziała, że Myrnnin już to sobie wbił do głowy, czy ona się na to zgodzi, czy nie. - Następnym razem, dobrze?

Oboje spojrzeli na zegar odliczający czas.

- Tak - powiedział Myrnnin. - Następnym razem. Aha! Chciałem cię o coś zapytać. Co słyszałaś na temat Bishopa i tej powitalnej uczy?

- Niewiele. Michael i Eve chyba pójdą. Shane... Shane mówi, że musi iść.

- Z Ysandre?

Claire pokiwała głową. Myrnnin odwrócił się od niej, z energią przesunął jeden stos książek, a potem następny. Wyrwał mu się okrzyk niekłamanej radości, kiedy przerzucając nagromadzone tomy, wyjął jeden, który w oczach Claire niczym się od reszty nie różnił.

Rzucił go jej. Claire udało się go złapać, zanim tom uderzył ją w pierś.

- Auć! - poskarżyła się. - Nie tak mocno, proszę.

- Przepraszam - powiedział niezbyt szczerze. Dziś była w nim mroczna i przekorna nutka.

- I w ogóle, co to jest?

Myrnnin znów do niej podszedł, otworzył książkę i zaczął przerzucać jej kartki. Zatrzymał się gdzieś w połowie i podał jej książkę z powrotem.

- Ysandre - powiedział.

Książka została napisana po angielsku, ale to była osiemnastowieczna angielszczyzna i niełatwo było przeczytać druk ze względu na poplamione strony.

„Odznaczała się urodą niezwykłą i tak wielką, że jej dziadka oszołomił niecodzienny widok i wziął ją za anioła zesłanego przez Boga, żeby pocieszyć go na łożu śmierci. Czyste linie jej delikatnego profilu, jej wielkie czarne błyszczące oczy, odkryte szlachetne czoło, włosy połyskujące niczym skrzydło kruka, wydatne usta; ta piękna twarz działała na umysły patrzących na nią osób, pripraviając je o melancholię i słodycz, i raz na zawsze wbijała się w pamięć. Wysoka i smukła, pozbawiona jednak nadmiernej chudości niektórych młodych dziewcząt, poruszała się bardzo lekko, z niewymuszoną, swobodną gracją, przypominając łodygę kwiatu chwiejącą się na lekkim wietrze”.

- Och - powiedziała Claire ze zdziwieniem. To rzeczywiście była Ysandre, miał rację. - Ona była...

- Słynną morderczynią. Niedługo po śmierci dziadka pomogła swojemu mężowi i jego kuzynom zabić króla. Na koniec została powieszona, ale to było już po tym, jak ją przemieniono w wampira. Miała szczęście, że tak to się złożyło w czasie.

Książka zawierała okrutny opis śmierci króla i wielu innych morderstw. Claire zadrżała i zamknęła ją.

- Dlaczego mi to pokazałeś?

- Nie chcę, żebyś zrobiła to, co jej dziadek - nie doceniła jej, dlatego że wygląda jak anioł.

Ysandre zniszczyła życie większej liczbie ludzi, niż mogłabyś sobie choćby wyobrazić, zaczynając od własnego. - Oczy Myrnina były ciemne i bardzo, bardzo poważne. - Jeśli zachce jej się Shane'a, oddaj go jej. I tak szybko się nim znudzi. Amelie nie pozwoli jej go zabić.

- Moim daniem ona chce czegoś innego - powiedziała wolno Claire.

- Ach. Czyli chodzi o seks. Czy jakiś jego rodzaj. Ysandre zawsze była nieco... dziwna.

- Jak mogę ją powstrzymać?

Myrnin powoli pokręcił głową.

- Przykro mi. Nie mogę ci pomóc. Mam tylko jedną sugestię i jestem pewien, że ona ci się nie spodoba. Pozwól mu poradzić sobie z tym samemu. Daruje mu życie i nie zrobi mu krzywdy, o ile nie będzie się jej przeciwstawiał.

- Masz rację. Nie podoba mi się to.

- No to poskarż się kierownictwu, moja droga. - Poważny nastrój już mu minął, jak chmura odsłaniająca słońce. - No to może zagramy w szachy?

- A może najpierw zanalizujemy twoją próbkę krwi, bo zostało ci już tylko parę minut, zanim będę musiała cię zamknąć w twoim, hm, pokoju?

- Celi - poprawił ją szybko. - Zupełnie spokojnie możesz to powiedzieć. Poza tym za ciężko pracujesz jak na tak młodą osobę.

Pracuję za ciężko, pomyślała Claire z irytacją, bo ktoś musi. A Myrnin z pewnością się nie przemęczał.

Do czwartku o zbliżającym się balu maskowym plotkowało całe Morganville. Claire nie mogła uniknąć rozmów na ten temat. W uniwersyteckiej kawiarni było to nieuniknione; ludzie mówili tam otwarcie, publicznie, najdziwniejsze rzeczy, zupełnie jakby otaczał ich jakiś niewidoczny mur prywatności. W ciągu ostatnich pięciu tygodni usłyszała o wiele za dużo na temat seksualnych przygód kolegów ze studiów; najwyraźniej nadszedł sezon łączenia się w pary teraz, kiedy wszyscy już przyzwyczaili się do jesiennych zajęć. Dziewczyny oceniały facetów. Faceci oceniali dziewczyny. Wszyscy chcieli tego, czego mieć nie mogli, albo mieli to, czego tak naprawdę nie chcieli.

Ale kiedy Claire popijała kawę i pisała esej z fizyki na temat mechaniki, ciepła i pól, co nie miało nic wspólnego z samochodami, pogodą ani rolnictwem, usłyszała coś, co kazało jej zatrzymać sunący po papierze długopis.

- ...zaproszenie - mówił ktoś, kto siedział za nią. - Dałabyś wiarę? Mój Boże, naprawdę je dostałam! Mówią, że wysłano tylko trzysta zaproszeń, wiesz. To będzie naprawdę niesamowita impreza. Chciałam się przebrać za Marię Antoninę, co o tym sądzisz?

Musiały rozmawiać o tym balu maskowym. Claire przesunęła się na krześle, ale to nic nie dało, nadal nie widziała, kto to mówił.

- No cóż, możliwe, że ktoś jaw tamtych czasach znał - odparła ta druga dziewczyna. - Więc może lepiej wybierz coś bezpiecznego, na przykład Kobietę Kota.

- Kobieta Kot może być - zgodziła się ta druga. - Obcisła czarna skóra nigdy nie wychodzi z mody. Wyglądałabym bardzo seksownie.

Claire rozlała kawę, mniej lub bardziej specjalnie, i poderwała się, żeby wziąć garść serwetek z ogólnie dostępnego dyspensera na stoliku ze śmietanką i cukrem. Wracając, spojrzała na dwie zagadane dziewczyny.

Giną i Jennifer, przyjaciółki Moniki. Tylko że tym razem nie było z nimi Moniki. Ciekawe.

Jennifer spojrzała na nią groźnie.

- A ty czego się gapisz, niezgrabo?

- Absolutnie się nie gapię - powiedziała Claire ze śmiertelnie poważną miną. Nie bała się ich, już nie. - Nie przebierałabym się za Kobietę Kota. Nie z takimi udami.

- Och, miauuu!

Złapała książki i kawę i przeniosła się do stolika bliżej baru kawowego. Eve była w pracy. Wyglądała dziś rześko, oczy miała wesołe i uśmiechnięte, ubrała się w czerwień, w której było jej bardzo do twarzy. Gotycko, ale jednak pogodnie. Nadal przeżywała śmierć ojca, Claire dostrzegала to od czasu do czasu, kiedy Eve wydawało się, że nikt na nią nie patrzy - ale jakoś się pozbierała i nie poddawała się mimo wszelkich przeciwności losu.

Teraz akurat nikt nie stał w kolejce po kawę, więc pokazała ręką współpracownicy pięć palców, pewnie, że chce zrobić sobie pięć minut przerwy, domyśliła się Claire, a potem zdjęła fartuch, zanurkowała pod barem i usiadła naprzeciw Claire.

- No więc... - zagaiła. - Słyszałam od Billy'ego Harrisona, że jego tata dostał zaproszenie na ten cały bal od Tamary, wampirzycy, która jest właścicielką gazety i wszystkich tych składów towarowych na północy miasta. I on powiedział, że wampiry z całego miasta wybierają się i każdy zabiera człowieka jako osobę towarzyszącą? Dziwne. To znaczy, że wszyscy przyprowadzają ludzi?

- A nigdy przedtem tak nie było?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Rozpytywałam, ale nikt nigdy o czymś podobnym nie słyszał. Z tego się robi najważniejsza impreza roku. - Jej uśmiech nieco zbladł. - Michael chyba zapomniał wysłać mi moje zaproszenie. Będę musiała mu przypomnieć.

Claire coś lekko ścisnęło za serce.

- Nie zaprosił cię?

- Zaprosi.

- Ale... To już pojutrze, prawda?

- Zaprosi mnie. Poza tym przecież nie muszę sobie wymyślać skomplikowanego kostiumu. Widziałaś moją szafę? Połowa z tego, co noszę, nadaje się na bal maskowy. - Eve zerknęła na nią, a potem spuściła oczy. - A ty?

- Nikt mnie nie zaprosił. - No tak, w jej głosie wyczuwało się gorycz. Nie udało się jej ukryć. - Wiesz przecież, z kim idzie Shane.

- To nie jego wina, tylko jej, Ysandre. - Eve się skrzywiła. - I w ogóle, co to za imię?

- Francuskie. Myrnin dał mi książkę na jej temat. Zdawałam sobie sprawę, że ona jest niebezpieczna, ale naprawdę, jest jeszcze gorsza, niż myślałam. Może kiedyś starała się tylko przetrwać, ale w czasach, kiedy polityka była wojną, stała się całkiem ważnym graczem.

- A ten facet? François ? - Eve przewróciła oczami, wymawiając jego imię, przesadnie naśladowując francuską wymowę. - Jemu się wydaje, że jest gorętszy niż powierzchnia słońca. Kogo on zabiera?

- Nie mam pojęcia - powiedziała Claire. - Ale... tu nie chodzi o randkę, wiesz... - Nie miała tak naprawdę pojęcia, o co chodzi. - Chodzi o coś innego.

- Wygląda jak randka, ubiera się jak randka, randkuje jak randka - powiedziała Eve. - A ja zamierzam być dla Michaela bardzo słodziutka i strzec go przed tymi wszystkimi niedobrymi, namolnymi karierowiczkami, które będą chciały zaczepiać najnowszego wampira w mieście.

- Ale on nie jest najnowszy - powiedziała Claire. - Już nie. Bishop i jego świta są nowsi niż on, przynajmniej jeśli chodzi o czynnik świeżości.

Eve zmarszczyła brwi.

Tak - powiedziała. - Chyba masz rację.

Na ich stolik padł cień, ale zanim zdołały podnieść wzrok, coś upadło na blat między nimi i odruchowo obie na to spojrzały.

Było to zaproszenie.

Uniosły wzrok. Monica. Odgarnęła swoje idealne, jasne włosy, uniosła brwi i uśmiechnęła się do Eve niespiesznym, wrednym uśmiechem.

- Szkoda - powiedziała. - Twój seksowny chłopak jednak wie, z której strony towarzyski chlebek jest posmarowany masłem.

Eve szerzej otworzyła oczy. Obróciła zaproszenie, żeby je przeczytać, ale nawet do góry nogami Claire widziała jego kompromitującą treść.

„Zapraszamy Panią do udziału w balu maskowym i ucztie na cześć przyjazdu Starszego Bishopa, w sobotę dwudziestego października, w siedzibie Rady Starszych o północy.

Na balu będzie Pani towarzyszyła panu Michaelowi Glassow i oczekuje się, że będzie Pani do jego dyspozycji”.

To nazwisko rzuciło jej się w oczy zupełnie jak niespodziewany napastnik o wampirzych kłach. Michaelowi Glassowi. Michael zapraszał Monice.

Eve nie powiedziała ani słowa. Oddała zaproszenie Monice, wstała i przeszła pod kontuarem baru, żeby znów założyć fartuszek. Claire patrzyła jej śladem oniemiała. Eve odwracała się plecami i nawet kiedy podeszła do ekspresu przygotować kolejne porcje kawy, oczy miała spuszczone i usiłowała ukryć ból.

Pierwszy szok minął i zamiast niego Claire poczuła gniew.

- Jesteś totalną suką, wiesz o tym? - powiedziała. Monica uniosła idealnie wydepilowaną brew. - Nie musiałaś tego robić.

- Nie moja wina, że wy, dziwaczki, nie umiecie utrzymać przy sobie chłopaków. Słyszałam, że Shane prowadzi się z Ysandre. Szkoda. Założę się, że nawet z nim nie poszłaś do łóżka, prawda? Albo, zaczekaj... Może poszłaś. Bo założę się, że to go z miejsca mogło pchnąć w cudze objęcia.

Przez chwilę Claire zabawiała się wyobrażaniem sobie, jak ciężkim podręcznikiem fizyki ściera ten słodki, wymalowany błyszczącym uśmiechem z twarzy Moniki. Zamiast tego spiorunowała ją tylko wzrokiem, pamiętając, jak skuteczne bywały chwile lodowatego milczenia Olivera. Monica wreszcie wzruszyła ramionami, wzięła swoje zaproszenie i schowała je do kieszeni skórzanej kurtki.

- Powiedziałabym „na razie”, ale pewnie się na balu nie zobaczymy - stwierdziła cierpko Monica. - Zdaje się, że w sobotę będziesz musiała zorganizować własną imprezę dla nieudaczników, ze specjalnymi drinkami z cyjankiem potasu. Baw się dobrze.

Dołączyła do Giny i Jennifer, a potem trzy dziewczyny wyszły. Wszyscy się za nimi oglądali. Szczęśliwe, fartowne dziewczyny, ładne, opalone, idealne. Roześmiane.

Claire zdała sobie sprawę, że zaciska pięści, więc z trudem się teraz opanowała, odetchnęła i znów wzięła do ręki długopis. Litery rozmywały się, bo oczyma wyobraźni ciągle widziała Monice u boku Michaela i upokorzoną Eve. A nawet kiedy wyparła ten obraz z myśli pozostawała jeszcze Ysandre z Shane'em, co bolało jeszcze bardziej.

- Dlaczego? - szepnęła. - Michael, dlaczego ty jej to zrobiłeś? - Czy oni się o coś pokłócili?

Wydawało się, że Eve tak nie sądziła. Zachowywała się tak, jakby to wszystko spadło na nią zupełnie bez ostrzeżenia.

Z uczuciem, że robi może okropny błąd, nacisnęła jeden z klawiszy szybkiego wyboru w telefonie.

- Tak, Claire? - odezwała się Amelie.

- Muszę z panią porozmawiać, o tym balu maskowym. O co tu chodzi?

Przez chwilę Claire wydawało się, że Amelie bez słowa przerwie rozmowę, ale potem wampirzyca powiedziała:

- Tak, chyba musimy o tym porozmawiać. Spotkam się z tobą na górze u was w domu. Wiesz gdzie.

Miała na myśli ukryty pokój.

- Kiedy?

- Oczywiście w dogodniej dla ciebie chwili - powiedziała Amelie, co zabrzmiało bardzo chłodno i kompletnie nieprawdziwie. - Czy może być za godzinę?

- Będę tam - odparła Claire. Ręce jej dygotały delikatnym trudnym do opanowania drżeniem, oznaka tego wewnętrznego trzęsienia ziemi. - Dziękuję.

- Och, nie dziękuj mi, dziecko - powiedziała Amelie. - Raczej mi się nie wydaje, że to, co ci mam do powiedzenia, da ci najmniejszą nawet pociechę.

W domu nikogo nie było. Claire sprawdziła wszystkie pokoje, włącznie z pralnią w piwnicy, żeby mieć całkowitą pewność. Eve nadal była w pracy, a Michael w sklepie muzycznym. Shane... Nie miała pojęcia, gdzie jest Shane, poza tym, że w domu nie było po nim ani śladu.

Claire nacisnęła ukryty przycisk na korytarzu na piętrze i boazeria rozsunała się, ukazując zakurzone stopnie prowadzące do ukrytego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i podreptała na górę, z każdym kolejnym stopniem czując się gorzej i bardziej samotnie.

Na górze ściany mieniły się kolorami; wiktoriańskie abażury dawały blade rozmyte światło i mieniły się wszelkimi odcieniami drogich kamieni. Nie było tu żadnych okien, żadnych drzwi. Tylko kilka nieco zakurzonych mebli i Amelie.

I jej ochroniarze, oczywiście. Amelie nigdzie się właściwie nie ruszała bez przynajmniej jednego. Tym razem było ich dwóch, czaili się po kątach. Jeden z nich skinął głową Claire. A więc już na takim stopniu znajomości była z tymi osiłkowatymi wampirami! Super. Rzeczywiście pięła się w górę po szczeblach towarzyskiej drabiny Morganville.

- Witam panią - powiedziała Claire i została tam, gdzie stała.

Amelie siedziała, ale nie zanosilo się na to, że ma ochotę zaspokajać fantazję, w której Claire była jej równa, i mogła sobie usiąść. Trudno było określić uczucia Amelie, ale Claire była pewna, że jest zniecierpliwiona, za chwilę może się rozgniewać.

- Mam bardzo niewiele czasu na ugłaskiwanie twoich wzburzonych piórek - powiedziała Amelie. Poruszyła się lekko, co też było zadziwiające. Zwykle siedziała w kompletnym bezruchu, szalenie opanowana. Jak na nią, niemal się wierciła. Coś jeszcze było w niej dzisiaj niezwykle - kolor ubrania. Było, jak zwykle, klasyczne i pięknie skrojone, ale tym razem ciemnoszare, o wiele ciemniejsze niż kolory, które Amelie lubiła zakładać. Nadawało jej oczom odcień burzowych chmur, - Z Myrningem dokonałaś więcej, niż oczekiwałam. Jestem skłonna wybaczyć ci impertynencję, o ile zrozumiesz, że to moja pobłażliwość, a nie twoje prawo.

- Rozumiem - powiedziała Claire. - Ja tylko... Ten bal maskowy, Myrning nazwał go powitalną

uczta. Zachowywał się tak, jakby to miało coś wspólnego z panem Bishopem i jakby to było ważne.

Spojrzenie Amelie, obserwującej ją obojętnie, nagle się wyostrzyło.

- Rozmawiałaś z Myrningem o przyjeździe Bishopa?

- No cóż... Pytał mnie, co się dzieje w mieście, i... - Claire urwała, bo Amelie nagle wstała. A jej ochroniarze wyszli z kątów pokoju i stanęli bardzo blisko, dość blisko, żeby zrobić jej krzywdę. - Nie zakazała mi pani!

- Mówiłam ci, żebyś się nie wtrącała w moje sprawy! - Coś niebezpiecznego mignęło w tych oczach, równie przerażającego jak u Bishopa. Amelie z trudem się opanowała. - No, dobrze. Zło już się stało. Co ci powiedział Myrning?

- Powiedział... - Claire oblizwała wargi i obejrzała się na czających się przerażająco blisko ochroniarzy. Amelie uniosła brew i skinęła głową. Claire raczej poczuła, niż zobaczyła, że się cofają. - Powiedział, że oboje myśleliście, że Bishop nie żyje, więc zdziwił się na wiadomość, że jest w mieście. Powiedział, że Bishop chce się zemścić na pani.

- Co ci mówił o uczcie?

- Tylko tyle, że to część ceremonii powitania Bishopa w mieście. - I że nie będzie pani z nim walczyć, skoro wydaje pani ucztę.

Amelie uśmiechnęła się chłodno.

- Myrning zna trochę ten świat i politykę. Nie, nie zamierzam z nim walczyć. Chyba że będę musiała. Czy mówił ci coś jeszcze?

- Nie. - Claire zebrała się na odwagę. - Ysandre zabiera Shane'a. A Michael... właśnie się dowiedziałam, że idzie, ale zabiera Monice. Nie Eve.

- Czy ty sobie wyobrażasz, że mnie choćby w najmniejszym stopniu obchodzi, w jaki sposób twoi przyjaciele rozgrywają swoje uczuciowe sprawy?

- Nie, tylko że ja... Chciałabym, żeby pani mnie zaprosiła. Proszę. Każdy wampir zabiera człowieka. Dlaczego nie weźmie pani mnie?

Amelie szerzej otworzyła oczy. Odrobinę, ale to wystarczyło, żeby Claire pojęła, że bardzo ją zaskoczyła.

- A dlaczego chcesz się tam wybrać?

- Monica mówiła, że to towarzyskie wydarzenie sezonu - odparła Claire. Nie była pewna, czy żart ujdzie jej na sucho; wiedziała, że Amelie ma poczucie humoru, ale nie lubi się z nim obnosić.

Dzisiaj najwyraźniej nie istniało.

- No dobrze, prawdę mówiąc, martwię się o Michaela i Shane'a. Chciałabym tylko mieć pewność, że nic im nie będzie.

- I w jaki sposób zamierzałabyś tego dopilnować, jeśli ja nie zdołam? - Amelie nie czekała na odpowiedź, bo wiedziała, że się jej nie doczeka. - Chcesz dopilnować chłopaka, żeby mieć pewność, że nie padnie ofiarą Ysandre. O to chodzi?

Claire przełknęła ślinę i pokiwała głową. To nie było wszystko, ale mniej więcej się zgadzało.

- Strata czasu. Nie - powiedziała Amelie. - Nie pójdziesz na bal, Claire. Mówię ci to wyraźnie, żebyśmy miały jasność: nie mogę ryzykować twojej tam obecności. Nie pójdziesz na tę imprezę. Ani ty, ani Myrning. Zrozumiano?

- Ale...

Amelie podniosła głos do krzyku:

- Zrozumiano? - Jej wściekłość cięła jak bat. Claire wstrzymała oddech i pokiwała głową.

Chciała cofnąć się o krok poza zasięg tego okropnego gniewu pałającego w oczach Amelie, ale wiedziała, że to byłby bardzo kiepski pomysł. Dość długo przebywała z Myrningem, żeby pojąć się, że cofanie się jest oznaką słabości, a słabość prowokuje do ataku.

Amelie nadal się w nią wpatrywała, skupiona i milcząca, i było w niej coś nieokiełznanego, czego Claire nie mogła zrozumieć.

- Pani - odezwał się któryś z ochroniarzy. - Powinniśmy iść. - Zabrzmiało to, jakby mieli coś do załatwienia, ale Claire miała dziwne wrażenie, że on specjalnie zainterweniował. Dał Amelie wymówkę, żeby się wycofać.

- Tak - powiedziała Amelie. W głosie miała ton, jakiego Claire jeszcze u niej nie słyszała. - Jak najbardziej, czas z tym skończyć. Claire, słyszałaś, co powiedziałam. Ostrzegam cię, nie wystawiaj mnie w tej sprawie na próbę. Jesteś dla mnie cenna, ale nie niezastąpiona, i masz w tym mieście przyjaciół i rodzinę, którzy są o wiele mniej pożyteczni.

Nie można było tego zrozumieć inaczej niż tylko jako otwartą groźbę. Claire powoli skinęła głową.

- Chcę to od ciebie usłyszeć - powiedziała Amelie.

- Tak, rozumiem.

- To dobrze. A teraz nie zawracaj mi już głowy. Możesz odejść.

Claire cofnęła się w stronę schodów. Zeszła jeszcze dwa stopnie niżej, zanim obróciła się i zbiegła na sam dół. Kiedy była w połowie drogi, dotarło do niej, że kontrolka do otwierania drzwi jest na górze, na oparciu kanapy, na której siedziała Amelie.

Jeśli Amelie nie zechce jej wypuścić, nigdzie nie ucieknie.

Claire dotarła pod same drzwi. Nadal były zamknięte. Spojrzała w górę schodów i dostrzegła poruszający się cień, ale niczego nie usłyszała.

Światło zgasło.

- Nie - szepnęła i strach ją oblał jak wiadro lodowatej wody, od czubka głowy po końce stóp. - Nie, nie róbcie tego...

W Amelie coś się zmieniło. Nie była już tą chłodną, niedosięglą królową, jaką Claire знаła wcześniej. Teraz była bardziej... zwierzęca. Bardziej gniewna.

- Proszę - odezwała się Claire w mrok. Wiedziała, że tam są uszy, które jej słuchają. - Proszę pozwolić mi odejść.

Usłyszała głośnie kliknięcie i drzwi poruszyły się pod czubkami jej palców, otwierając się do środka. Claire złapała ich brzeg obiema dłońmi i pociągnęła na oścież. Nagle znalazła się na korytarzu, a kiedy się obejrzała, drzwi się już zamykały.

Oparła się o ścianę, roztrzęsiona.

No to pięknie mi poszło, pomyślała z ironią. Chciało jej się krzyczeć, ale uznała, że to byłby bardzo, bardzo zły pomysł.

Na dole frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły, a potem Claire usłyszała tupot ciężkich butów na drewnianej posadzce.

- Eve? - zawołała.

- Tak. - W głosie Eve słyszała wyczerpanie. - Już idę.

Wyglądała jeszcze gorzej, niż brzmiała. Czerwony strój, który tak jej pasował przedtem, teraz zdawał się krzyczeć i przyduszać ją. Wyglądała, jakby miała lada moment paść, a sądząc po stanie jej makijażu, już zdążyła wylać sporo łez.

- Och - powiedziała Claire. - Eve...

Eve spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wyszło.

- Trochę głupio martwić się Monicą, prawda? Ale moim zdaniem właśnie dlatego to tak bardzo boli. Gdyby przynajmniej zabierał ze sobą kogoś miłego. On musiał wybrać tę chodzącą chorobę społeczną. - Eve otarła oczy grzbietem dłoni. Eyeliner i tusz rozmasowały jej się, robiąc na twarzy prawdziwie gotycki bałagan, i czarnymi strugami spływały jej po policzkach. - Nie próbuj mi wmawiać, że ktoś mu kazał to zrobić. Nic mnie nic obchodzi, czy ktoś mu kazał. Powinien był najpierw mi powiedzieć. I dlaczego ty się ze mną nie kłócisz?

- Bo masz rację.

- Cholera, mam. - Eve kopniakiem otworzyła drzwi do swojego pokoju, weszła do środka i rzuciła się twarzą w dół na swoje czarne łóżko. Claire zapaliła światło, czyli głównie sznury matowo - białych choinkowych światełek i jedną lampę z abażurem udrapowanym z krwistoczerwonego szala. Eve płakała w poduszkę i waliła w nią pięścią. Claire przysiadła na skraju łóżka.

- Ja go chyba zabiję - powiedziała Eve, a przynajmniej tak to zabrzmiało, przefiltrowane przez poduszki. - Wbiję mu kołek prosto w serce, wcisnę mu czosnek w tyłek i... I...

- I co?

W drzwiach stał Michael. Claire zerwała się z łóżka, przestraszona, a Eve usiadła, ściskając poduszkę w obu rękach.

- Kiedy wróciłeś do domu? - ostro spytała Claire.

- Najwyraźniej w samą porę, żeby wysłuchać planów związanych z moim pogrzebem. Szczególnie podobał mi się ten czosnek w tyłku. To coś... nowego.

- Jeszcze nie skończyłam - odparowała Eve. Wstała z łóżka, wypuściła z rąk poduszkę i stanęła naprzeciw Michaela, zakładając ramiona na piersi. - Mam też zamiar przebić cię kołkiem na słońcu, na szczycie kopca czerwonych mrówek. I śmiać się.

- Ale co ja zrobiłem?

- Co zrobiłeś? - Spojrzenie Eve było tak wściekłe, że samo mogło wyrwać wampirowi serce z piersi. - Chyba żartujesz.

Michael znieruchomiał i Claire pomyślała, że wyraz jego oczu jest definicją słowa: „wpadka”.

- Monica. Powiedziała ci.

- Tak. A dlaczego miałaby sobie odmawiać okazji utarcia mi nosa, ty draniu? A skoro już o tym mowa, Monicą?! Zakład jakiś przegrałeś czy co? Bo mnie się wydaje, że to jedyny powód, dla którego mógłbyś mnie w taki sposób upokarzać.

- Nie - powiedział Michael. Zerknął w stronę Claire w wyraźnej prośbie, żeby stamtąd wyszła. Nie ruszyła się z miejsca. - Eve, nie mogę tego wyjaśnić. Przykro mi. Po prostu nie mogę. Ale to nie to, co ci się...

- Nawet mi nie mów, że to nie to, co mi się wydaje, bo to zawsze jest dokładnie to, co się wydaje! - Eve rzuciła się przed siebie, pchnęła Michaela obiema dłońmi w pierś, aż cofnął się z pół metra, poza drzwi jej pokoju. - Nie chcę z tobą teraz rozmawiać! Wynoś się! I trzymaj się ode mnie z daleka!

Zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz. Zamek w drzwiach niewiele mógł jej dać, pomyślała Claire, biorąc pod uwagę siłę Michaela. Ale przecież we własnym domu nie będzie chyba wyważał drzwi.

- Eve, musisz mnie wysłuchać. Proszę cię.

Eve rzuciła się z powrotem na łóżko, wyciągnęła z szuflady iPod'a i wcisnęła sobie słuchawki na uszy, naciskając odtwarzanie. Claire z drugiego krańca pokoju słyszała dudnienie metal rocka.

- Eve?

Claire otworzyła drzwi i popatrzyła na Michaela.

- Chyba cię nie słyszy - powiedziała. - Naprawdę to schrzaniłeś. Wiesz o tym prawda? Shane'owi przynajmniej kazali to zrobić. A ty sam wybrałeś, prawda?

- Tak - przyznał cicho Michael. - Wybrałem. Ale naprawdę nie masz pojęcia, jaki inny wybór miałem, prawda?

Patrzyła, jak szedł do swojego pokoju na końcu korytarz;! i zamknął za sobą drzwi.

Może miał rację. Może faktycznie to nie było tak, jak się wydawało. Nie żeby Eve chciała tego słuchać. Claire stała tam chwilę, nasłuchując lodowato zimnej ciszy, a potem pokręcili głową i zeszła po schodach na dół.

Hot dogi nie smakowały jedzone w samotności.

Shane wrócił do domu po zmroku i gdy Claire go zobaczyła, zrozumiała, że coś jest nie tak. Wydawał się roztargniony. Jakiś inny.

Ledwie skinął jej głową, przechodząc przez salon do kuchni. Siedziała zwinięta w kłębek na kanapie, zaznaczając mazakiem tekst w podręczniku literatury angielskiej i zastanawiając się po raz tysięczny, dlaczego ktoś uważał, że wiedza na temat sióstr Bronte jest ważniejsza i bardziej przydatna niż oglądanie w kablówce kanału z programami kulinarnymi.

- Hej! - zawołała za nim. - Zostawiłam ci trochę chili!

Nie odpowiedział. Claire odłożyła mazak i podeszła do drzwi kuchni. Nie otwierała ich, tylko stanęła i zaczęła nasłuchiwać. Shane nie ciskał garnkami jak normalny, desperacko spragniony obiadu facet, było zupełnie cicho.

Claire zastanawiała się, czy wrócić do nauki, kiedy usłyszała, że otworzył tylne drzwi. Ściszone głosy. Leciutko uchyliła drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

- Masz szczęście, że nie dzwonię po gliny - mówił Shane. - Stary, odejdz stąd.

- Nie mogę. Muszę z nią porozmawiać.

- Nie zbliżysz się do żadnej z tych dwóch dziewczyn, słyszysz?

- Nikomu nic złego nie zrobię!

Znała ten głos, a przynajmniej tak jej się wydawało. Ale przecież to nie mogła być prawda, po prostu nie mogła.

To niemożliwe, żeby Shane rozmawiał z bratem Eve, Jasonem, zwłaszcza nie przy tylnych drzwiach do domu. Musiało jej się coś wydawać. Może to ktoś inny, ktoś, kto tylko brzmiał jak Jason Rosser...

Claire otworzyła drzwi na tyle szeroko, że mogła przez nie zerknąć.

Nie, to jednak był Jason. Nie było co do tego absolutnie żadnych wątpliwości.

Miał na sobie nawet te same brudne, poplamione džinsy i skórzaną kurtkę. Włosy zwisały w strąkach jeszcze bardziej tłustych, niż kiedy go widziała po raz ostatni, cera wyglądała na ziemistą i niezdrową.

- Stary, daj spokój - powiedział. - Ja tylko chcę pogadać z Claire. Jak mi każesz czekać tu, po ciemku, zostanie ze mnie tylko mielonka.

- Dobrze wiedzieć.

Jason wyciągnął rękę, żeby nie pozwolić Shane'owi zamknąć mu drzwi przed nosem.

- Stary, proszę cię. No serio.

Shane się zawahał. Claire nie mogła zrozumieć, czemu Jason znęcał się nad Eve; zabił, a przynajmniej twierdził, że zabijał niewinne dziewczyny w jakiejś pomyłonej próbie skłonienia wampirów, żeby go wzięły na swoje usługi. Pchnął Shane'a nożem w brzuch.

Ale Shane zamierzył się wtedy na niego kijem baseballowym, napomniał cichy głos sumienia Claire. Kazała mu się przymknąć. Jason wyreżyserował całą tę walkę, sprowokował do niej Shane'a i tylko dzięki temu, że tak szybko trafił do karetki, Shane przeżył.

Jason w tej chwili nie wyglądał na szalonego zabójcę. Wyglądał jak na wpół zagłodzony, zaćpany dzieciak, odchodzący od zmysłów ze strachu. I zdesperowany. Claire weszła do kuchni. Twarz Jasona się rozjaśniła.

- Claire! Claire, powiedz mu, że mogę. Obiecuję, nikomu nie zrobię nic złego. Powiedz mu, że mogę wejść, żeby z tobą pogadać.

- Nie możesz - powiedziała Claire. - Ale on już to wie.

Shane pokiwał głową. Pchnął Jasona w tył, chłopak stracił równowagę i zleciał z werandy, a potem potknął się o cegłę i poleciał na tyłek. Popatrzył gniewnie na Jasona i powoli się podniósł.

- Claire, mam ci coś powiedzieć, w imieniu Olivera.

- Oliver nie ma nam do powiedzenia nic, co chcielibyśmy usłyszeć. A na pewno nie przez ciebie.

- Jesteś tego pewien?

Shane uśmiechnął się szeroko.

- Całkiem pewien. Powodzenia w uprawianiu tam po ciemku szkoły przetrwania.

Shane zaczął zamykać drzwi. Prawie zdążył, ale Jason wypalił:

- Bishop chce zastawić pułapkę. Możemy wam powiedzieć, gdzie i kiedy.

Claire położyła dłoń na ramieniu Shane'a, który zostawił drzwi jeszcze odrobinę uchylone.

- Co ty wygadujesz?

- Wpuść mnie, a ci opowiem. - Jason miał minę tak zdesperowaną, jakby gotów był pazurami zdierać farbę z drzwi. - Proszę, Claire. Przysięgam, nic nie będę kombinował.

- Nie - powiedziała. - Jeśli Oliver ma mi coś do powiedzenia, będę rozmawiała z nim, nie z tobą.

W ciemnych oczach Jasona niczym zapalająca się plama ropy zabłysła nienawiść. Wstał i wcisnął ręce w kieszenie.

- To tak chcesz pogrywać?

- Ja tu w nic nie pogrywam - powiedziała Claire.

- A mnie się wydaje, że tak. No to może jednak obejdziesz się bez ułatwień. - Jason rzucił się na drzwi z taką siłą, że odepchnął Shane'a, a Claire straciła równowagę i z rozpędu usiadła na podłodze w kuchni. Kiedy obróciła się, usiłując wstać, poczuła, że Jason bolesnym chwytem trzyma ją za włosy. Szarpnięciem podniósł ją na kolana i wyciągnął na zewnątrz. Wrzeszczała i broniła się, ale miał sporo doświadczenia w zmuszaniu dziewczyn, żeby robiły, co chciał. A kiedy przystawił jej do głowy pistolet, przestała się opierać.

- Dobrze - powiedział jej do ucha i nawet ogarnięta ślepą furją, pomyślała, że oddech ma tak nieprzyjemny, że mógłby nim usuwać farbowane powłoki. - Uspokój się, nie zrobię ci nic złego. Poważnie mówiłem. Musisz mnie wysłuchać.

Shane wyszedł za nimi na zewnątrz. Szedł powoli, ale ani na moment nie odrywał oczu od Jasona. Od pistoletu.

- Puszczaj ją.

Jason roześmiał się i pociągnął ją w tył, w stronę podjazdu, gdzie czekał duży czarny samochód. Shane szedł za nimi w bezpiecznej odległości. „Nie”, bezgłośnie powiedziała Claire. Już wcześniej widziała, jak Jason o mało nie zabił Shane'a. Nie mogłaby znieść patrzenia na to znowu. „Nic mi nie będzie”.

Jason otworzył samochód od strony kierowcy, wsadził Claire do środka, a potem wepchnął się tam za nią. Natychmiast rzuciła się do drugich drzwi.

Zamknięte.

Jasno zatrzasnął drzwi samochodu i przekręcił kluczyk, zapalając silnik. Mocniej szarpnął Claire za włosy.

- Siedź spokojnie!

Coś ciężkiego wylądowało na dachu samochodu, który wgiął się tak głęboko, że niemal sięgnął ich głów. Claire i Jason schylili się oboje, a Claire pisnęła na myśl, że Jason, panikując, naciśnie spust.

Ale nie nacisnął.

Czyjaś pięść przebiła metalowy dach samochodu, złapała za oderwany fragment i oddarła dach jak wieczko metalowej puszkii. Do środka zajrzał Michael.

Nie, nie Michael, to był wampir. Kły obnażył, oczy miał szkarłatne. Michael był wściekły. I przerażający.

W świetle księżycy wskoczył do środka, złapał Jasona za rękę, w której ten trzymał pistolet, i oderwał go od Claire niczym zabawkę. Jason wrzasnął. Pistolet wypalił, a Claire drgnęła i zakryła głowę rękoma, usiłując zwinąć się w kulkę w kącie. Samochód zatrząsał się, kiedy Michael wyrzucił Jasona na zewnątrz prosto przez wyrwę w dachu. Jason wrzeszczał przez cały czas, wylatując na zewnątrz i spadając na ziemię. Uderzył o ziemię z obrzydliwym łomotem i przekoziółkował.

Michael wyskoczył z samochodu, wylądował miękko na nogach w świetle przednich reflektorów i podszedł do miejsca, skąd Jason usiłował odczołgać się na bok. Jason przewrócił się na plecy. Nadal trzymał pistolet.

Strzelił do Michaela sześć razy z bliska. Claire krzywiła się przy każdym głośnie huku.

Ale Michael nie.

Wyciągnął rękę, odebrał Jasonowi pistolet, rozerwał go na części i wrzucił oba kawałki do pojemnika na śmieci stojącego pod ścianą domu. Jason spojrzał ze zdumieniem, a potem z rezygnacją, kiedy Michael chwycił go za kołnierz skórzanej kurtki.

Shane zajrzał przez rozdarty dach do środka, otworzył drzwi, schwycił Claire w ramiona i wyciągnął z samochodu.

- Nic ci nie jest? - Głos miał mocno zdenerwowany i co chwila przesuwiał dłońmi po jej ciele, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma dziur po kulach.

- Claire, powiedz coś!

- Powstrzymaj go - szepnęła, spoglądając za jego plecy na Michaela. - Nie pozwól mu tego zrobić.

Bo Michael szykował się, żeby ukąsić Jasona, a kiedy już raz by to zrobił, nie byłoby powrotu. Shane rzucił jej spojrzenie, które prawdopodobnie miało oznaczać, że uważa, że oszalała, ale siłą woli zachowała spokój i nie wrywała się, chociaż wnętrzości przewracały jej się z przerażenia.

- Shane - powiedziała i jak umiała najlepiej spróbowała naśladować władczy ton Amelie. - Nie pozwól mu.

Zobaczyła, że do Shane'a zaczyna docierać sens tego, co się działo. Skinął głową i podszedł do Michaela, który raczej nie wyglądał, jakby miał dać sobie wyperswadować mordercze zapędy.

Ale Shane nie musiał nawet próbować, bo Michael uniósł wzrok i zobaczył Eve stojącą w drzwiach, z dłońmi przyciśniętymi do ust, z ciemnymi oczami rozszerzonymi przerażeniem i wpatrzonymi w jej chłopaka, który miał zamiar wyssać krew z jej młodszego brata. Michael go puścił. Jason poleciał na ziemię, jęknął i próbował się odczołgać.

Michael postawił mu stopę na plecach i zatrzymał go w miejscu.

- Nie - powiedział. Głos miał niski i bardzo, bardzo groźny. - Nie wydaje mi się. Próba porwania z użyciem niebezpiecznej broni i próba zabicia wampira? Facet, jesteś skończony. Już po wszystkim, został ci tylko wrzask.

- Ty dupku! - krzyknął Jason. - Pracuję dla Olivera! Nie możesz mnie tknąć!

Odsunął rękaw kurtki, a tam, na nadgarstku, błysnęła srebrna bransoletka. - W odpowiedzi Michael jeszcze silniej docisnął stopą plecy Jasona.

- A więc ty i ja pogawędzimy sobie z Oliverem o tym, że wysłała do mojego domu swojego małego robala, żeby do mnie strzelał - powiedział. - Chyba nie będzie ci się to zbyt podobało. Bo jestem pewien, żeby Oliver nie prosił cię, żebyś zrobił coś takiego.

- Michael... - odezwał się Shane. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Claire obróciwszy się zrozumiała powód - nadjeżdżał kolejny samochód, policyjny samochód z migającymi światłami. Zaparkował na podjeździe, blokując na wpół zdemolowany wóz Jasona. Od strony kierowcy wysiadł Richard Morrell ze strzelbą w ręku. Byli z nim posterunkowy Joe Hess i Travis Lowe, każdy z własnym rewolwerem w pogotowiu.

Jeszcze nigdy nie widział u tych trzech tak ponurych min, ale ucieszyła się ich przyjazdem - Przynajmniej oznaczało to, że ktoś wreszcie położy kres szalonemu zachowaniu Jasona. Michael miał rację, to się nie mogło dla niego dobrze skończyć, ale...

Richard Morrell uniósł strzelbę do ramienia. Mierzył do Michaela. Dwaj pozostali mężczyźni przystanęli i też złożyli się do strzału. Claire aż sapnęła.

- Z drogi - rozkazał posterunkowy Hesse Shane 'owi z ostrym ruchem głowy. Shane nie spierał się. Uniósł ręce i cofnął się. Michael obrócił się, zobaczył że Policjanci do niego mierzą i zmarszczył brwi.

- Puść go, Michael - powiedział Travis Lowe. - Nie utrudniajmy sobie tego.

- O co chodzi?

- Po jednej rzeczy na raz. Wpierw wypuść dzieciaka.

Michael zabrał stopę. Jason z trudem wstał, a potem próbował rzucić się do ucieczki. Richard Morrell westchnął, przekazał strzelbę Joemu Hessowi i rzucił się biegiem za nim. Chociaż Jason był szybki, Richard okazał się szybszy. Wpół drogi do ogrodzenia powalił go na ziemię w biegu. Przewrócił Jasona na plecy, skuł go z brutalną wprawą, szarpnięciem postawił i poprowadził do miejsca, gdzie dwaj pozostali policjanci trzymali Michaela na muszce.

- Co się dzieje? - powtórzył Michael. - On próbował porwać Claire, a wy zatrzymujecie mnie?! Dlaczego?

- Chronimy cię przed samym sobą - powiedział posterunkowy Hess. - Nic ci nie jest? Uspokoileś się?

Michael pokiwał głową. Hess opuścił lufę rewolweru, to samo zrobił Travis Lowe. Richard Morrell wsadził Jasona na tylne siedzenie policyjnego wozu.

- Dostaliśmy informację - ciągnął Hess - że wpadłeś w szal i próbujesz pozabijać swoich przyjaciół. Ale skoro widzimy, że stoicie tu wszyscy cali i zdrowi, chyba prawdziwym problemem był nasz mały Jason.

Richard wrócił, wycierając dłonie w chusteczkę. Najwyraźniej też nie przepadał za dotykaniem Jasona.

- Włamał się do domu?

- Nie - odparł Shane. - Wyciągnął broń i dopadł Claire przy bocznych drzwiach. Usiłował z nią odjechać. Michael go zatrzymał.

Michael został też sześć razy trafiony z rewolweru w klatkę piersiową, i to z bliskiej odległości, dotarło do Claire, kiedy jej serce zaczęło bić nieco wolniej. Na dowód tego na jego białej koszuli widniały poczerwienia, wyszarpane dziury, każda obrzeżona wąską obwódką czerwieni. Przypomniła sobie, jak Myrnnin niedbałym ruchem zaciął się nożem w ramię, przecinając żyły, tętnice i mięśnie tylko po to, żeby pobrać próbkę krwi.

Nie mogła być pewna, ale wydawało jej się, że na piersi Michaela, pod koszulą, nie ma nawet śladu i nie poruszał się jak człowiek, którego trafiło sześć kul. Nawet nie jak człowiek w szoku.

Wow.

- Czego chciał? - spytał posterunkowy Hesse. - Powiedział?

- Powiedział, że chce ze mną pogadać - odezwała się Claire.

Częściowo zgadzało się to z prawdą, ale nie chciała w całą sprawę mieszać Olivera. Już i tak mieli dość kłopotów. - Chyba naprawdę chciał. Po prostu wiedział, że tutaj to będzie niemożliwie. Moim zdaniem... moim zdaniem wcale nie chciał mnie skrzywdzić. - Nie tym razem.

Shane patrzył na nią tak, jakby nagle wyrosła jej druga głowa, i to z poważnie uszkodzonym mózgiem.

- Przecież to Jason. Oczywiście, że zamierzał cię skrzywdzić! Ten pistolet przystawiony do głowy nie dał ci do myślenia?

Miał rację, oczywiście, ale... Ale widziała wyraz oczu Jasona i nie była to radość drapieżnika, z jaką wcześniej bawił się w różne sadystyczne gierki. To była wyraźna desperacja. Nie umiała tego wyjaśnić, ale Jasonowi uwierzyła. Tym razem.

Shane nadal patrzył na nią z pochmurną miną. Tak samo Michael.

- Nic ci nie jest? - spytał Shane i objął ją ramieniem.

Poczuwszy jego ciepło, zdała sobie sprawę, jak strasznie zmarzła.

Trzęsła się i kolana się pod nią uginały. Gdybym upadła - pomyślała - on by mnie podtrzymał.

Ale ustała, odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

- Nic mi nie jest - powiedziała. Pocałowała go. - Wszystko w porządku.

ROZDZIAŁ 9

Eve nie powiedziała ani słowa, ale po odjeździe gliniarzy pozwoliła Michaelowi zaprowadzić się z powrotem do środka; na brata, odwożonego w kajdankach, spojrzała tylko raz, ale to jej wystarczyło. Po szoku wywołanym śmiercią ojca i po kłopotach z Michaeliem Eve chyba niewiele była już w stanie odczuwać.

Za ogólnym porozumieniem nikt nie położył się spać. Nie jedli kolacji. We czwórkę stłoczyli się na kanapie, zadowoleni z ciepła i wzajemnego towarzystwa, i włączyli film. Horror, jak się okazało, ale Claire chętnie skupiła się na odmianę na cudzych problemach. Pod pewnymi względami ta ucieczka przez miasto pełne zombi przynosiła ulgę. Przynajmniej wiadomo było przed kim uciekać, a do kogo biec. Leżała z głową wtuloną w tors Shane'a, bardziej słuchając jego oddechu niż tego, co paplali do siebie bohaterowie filmu. Dłonią powoli, miarowo głaskał japo włosach, a całe napięcie i strach powoli znikwały.

Eve i Michael nie tulili się, ale po jakimś czasie on objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, a ona się nie opierała.

Kiedy po liście płac znów pojawiło się menu płyty DVD, wszyscy już spali twardo, a kłopoty zdawały się bardzo, bardzo odległe.

Piątki to były zwykle dobre dni z punktu widzenia zajęć na uczelni; nawet wykładowcy wydawali się w lepszym humorze.

Ale nie w ten piątek. W atmosferze panowało dziwne napięcie, a w powietrzu pojawił się wyraźny chłód. Na pierwszym wykładzie profesora zdenerwowała komórka, która się nagle rozdzwoniła, i doprowadził jakąś dziewczynę z drugiego roku do łez, a potem wyrzucił z zajęć, zapowiadając, że je właśnie oblała. Drugie zajęcia wcale nie były lepsze; wykładowca miał ból głowy, a może kaca, i był strasznie poirytowany - na tyle, że nie chciało mu się zwolnić tempa podczas wykładu ani przynajmniej odpowiedzieć na pytania studentów.

Jedyna dobra strona trzecich zajęć to była pewność, że skończą się w godzinę. Profesor Anderson od dawna uprzedzał, że robi test, i tylko ktoś pogrążony w śpiączce nie przyszedłby dobrze przygotowany. Anderson był jednym z tych znanych profesorów, którzy dawali człowiekowi sporo luzu, ale test to był u nich test i kropka. Robił tylko dwa testy rocznie i jeśli człowiek nie poradził sobie z oboma, przepadał. Znany był z tego, że jest miły i często się uśmiecha, ale jeszcze nigdy nie pozwolił nikomu oddać żadnej pracy po terminie, a przynajmniej tak słyszała Claire.

Studenci ze specjalizacji historycznej lubili nazywać jego zajęcia Andersonville; raczej mało zabawne odniesienie do obozu jenieckiego z czasów wojny secesyjnej. Claire uczyła się do upadłego i była absolutnie pewna, że test zaliczy doskonale, a w dodatku sporo przed czasem.

Ponieważ miała jeszcze chwilę, zatrzymała się w łazience i ostrożnie oparła plecak o ścianę kabiny, w której się zamknęła. W myśli robiła przegląd czekających ją zadań i zobowiązań, kiedy nagle usłyszała cichy, stłumiony śmiech od strony umywalk. Coś ją w tym śmiechu zmroziło, nie był niewinny. Było w nim coś dziwnego.

- Słyszałam, że dziś w Andersonville jest test - odezwał się ten głos. Znajomy głos. To była Monica Morrell. - Hej, podoba ci się ten kolor?

- Ładny - powiedziała Giną, Wspierająca Przyjaciółka Numer Jeden. - To ta nowa zimowa czerwień?

- Tak, powinna się skrzyć. Skrzy?

- Och, jasne.

Claire spuściła wodę, złapała plecak i przygotowała się na spotkanie. Próbowwała wyglądać, jakby zupełnie się nie przejmowała tym, że Monica, Jennifer i Giną zajęły trzy z czterech łazienkowych umywalk. Ani tym, że poza nimi nikogo tu nie było.

Monica poprawiała czerwoną, godną dziwki szminkę i przesyłała swojemu odbiciu w lustrze pocałunki. Claire patrzyła prosto przed siebie. Weź mydło, odkręć wodę, umyj ręce...

- Hej, dziwaku, ty przecież jesteś w Andersonville, prawda?

Claire pokiwała głową. Umyła ręce, splukała, sięgnęła po papierowe ręczniki.

Jennifer złapała za jej plecak i usunęła go poza zasięg rąk Claire.

- Hej! - Claire wyciągnęła ręce po swoje rzeczy, ale Jennifer odsunęła się na bok, a wtedy Monica złapała ją za nadgarstek i zatrzasnęła wokół niego coś zimnego i metalowego. Przez jedną szaloną sekundę Claire myślała: Zamieniła się ze mną na bransoletki i teraz jestem własnością Olivera...

Ale to był zimny metal kajdanek, a Monica nachyliła się i drugą część zapięła wokół metalowego pręta u dołu drzwi do najbliższej kabiny.

- No cóż - powiedziała, cofając się o krok i kładąc ręce na biodrach. - Zdaje się, że się przekonasz, jaki twardy umie być nasz mały generał. Ale nie martw się. Na pewno jesteś taka mądra, że samą siłą woli wypełnisz odpowiedzi w teście.

Claire bezskutecznie szarpała się z kajdankami, chociaż wiedziała, że to bez sensu. Zaczęła kopać w drzwi kabiny. Były na tyle wytrzymałe, że zniosły całe pokolenia studentek; jej frustracja w najmniejszym stopniu im nie szkodziła.

- Dajcie mi klucz! - wrzasnęła. Monica pomachała jej nim przed nosem.

- Ten klucz? - Monica wrzuciła go do toalety w pierwszej kabinie i spuściła wodę. - Ups. No, jak mi przykro. Zaczekaj tutaj. Sprowadzę pomoc!

Wszystkie się roześmiały. Jennifer z pogardą pchnęła w jej stronę plecak po podłodze.

- Masz - powiedziała. - Pewnie będziesz chciała pozakuwać do testu.

Claire otworzyła plecak i zaczęła w nim szukać czegoś, co nadawałoby się na wytrych. Choć nie miała pojęcia o otwieraniu zamków wytrychami, mogła się przecież nauczyć. Musiała się nauczyć. Prawie nie podniosła wzroku, kiedy trzy dziewczyny wychodziły z łazienki, nadal roześmiane.

Do wyboru miała parę klipsów do papieru, spinkę do włosów i siłę własnej wściekłości, która, niestety, nie mogła stopić metalu. Co najwyżej jej mózg.

Claire wyjęła komórkę z kieszeni i zastanowiła się, co może zrobić. Nie zdziwiłaby się, gdyby miała się dowiedzieć, że Eve lub Shane mieli jakieś doświadczenie z kajdankami i ich otwieraniem, ale nie bardzo była pewna, czy ma też ochotę znieść ich późniejsze pytania.

Zadzwoiła na komisariat policji i poprosiła o połączenie z Richardem Morrellem. Po krótkiej przerwie przełączono ją do jego wozu patrolowego.

- Mówi Claire Danvers~ powiedziała. - Ja... potrzebuję pomocy.

- Jakiej pomocy?

- Pana siostra mnie... przykuła kajdankami w łazience. A ja mam test. Nie mam klucza. Miałam nadzieję, że przyjedzie pan...

- Posłuchaj, przykro mi bardzo, ale jadę na miejsce zgłoszenia przemoc domowej. Mógłbym się tam dostać dopiero za godzinę. Nie wiem, co ty takiego powiedziała Monice, ale jeśli po prostu...

- Co, jeśli przepraszę? - zdenerwowała się Claire. - Nic jej nie powiedziałam. Po prostu zaczęła się tu na mnie i wyrzuciła klucz, a ja muszę iść na zajęcia!

Richard westchnął tak, że telefon aż zadrżał.

- Przyjadę jak najszybciej się da.

Rozłączył się. Claire wzięła się do roboty za pomocą spinki do włosów i patrzyła, jak minuty mijają. Tik - tak, przepadał jej stopień z Andersonville.

Zanim Richard Morrell pojawił się z kluczem do kajdanek i ją wypuścił, w sali było już ciemno. Claire biegła przez całą drogę do gabinetu profesora Andersona i poczuła wielką ulgę, kiedy zobaczyła, że drzwi są otwarte. Musiał ją przecież usprawiedliwić.

Rozmawiał z inną studentką, która stała plecami do Claire. Przystanąła w drzwiach, rozdygotana i z trudem walcząca o oddech, a profesor Anderson spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Tak? - Był młody, ale jasne włosy już mu się przerzedzały na czubku głowy. Miał zwyczaj noszenia sportowych marynarek, które mogłyby się podobać mężczyźnie dwa razy od niego starszemu; może uważał, że ten tweed i skórzane łąty na łokciach sprawią, że inni będą traktować go poważnie.

Claire jego wygląd nie obchodził. Obchodziło ją, że miał prawo wystawić jej ocenę.

- Dzień dobry, jestem Claire Danvers, jestem na...

- Wiem, kim jesteś, Claire. Opuściłaś test.

- Tak, ja...

- Nie przyjmuję usprawiedliwień innych niż śmiertelny wypadek albo poważna choroba. - Obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów. - Nie widzę u ciebie śladów ani jednego, ani drugiego.

- Ale...

Ta inna studentka obserwowała ją teraz ze złośliwym światełkiem w oczach. Claire jej nie знаła, ale zauważyła srebrną bransoletkę i mogłaby się założyć, że to jedna z przyjaciółek Moniki z jej bractwa studenckiego. Ciemne połyskliwe włosy znakomicie ostrzyżone, idealny makijaż. Ubrania, od których aż jechało nadużywaniem kart kredytowych.

- Panie profesorze... - odezwała się dziewczyna, a potem szepnęła coś do niego. Rozszerzył oczy. Dziewczyna zabrała swoje książki i wyszła, trzymając się od Claire z daleka.

- Z tego, co właśnie usłyszałem, wina leży jak najbardziej po twojej stronie - - powiedział Anderson. - Powiedziała, że zasnęłaś w Centrum Studenckim. Powiedziała, że mijala cię w drodze na zajęcia.

- Nieprawda! Byłam...

- Nie obchodzi mnie, gdzie byłaś, Claire. Obchodzi mnie, gdzie cię nie było, a konkretnie, na twoim miejscu, o określonej porze, kiedy trzeba było napisać mój test. Proszę, odejdz.

- Skuły mnie kajdankami!

To go na moment zbiło z tropu, ale potem pokręcił głową.

- Nie interesują mnie wasze wybryki. Jeśli będziesz usilnie pracowała przez resztę semestru, może jeszcze uda ci się zdobyć zaliczenie. Chyba że wolałabyś zrezygnować z tych zajęć. Zdaje się, że masz jeszcze dzień czy dwa na podjęcie decyzji.

On jej zwyczajnie nie słuchał. A do Claire dotarło, że tak czy inaczej, nie wysłucha. Jego zupełnie nie interesowały jej problemy. Nie interesowała go jej osoba.

Przez kilka długich sekund przyglądała mu się w milczeniu, ale zauważyła tylko egocentryczną irytację.

- Do widzenia, panno Danvers - powiedział i usiadł za swoim biurkiem, ostentacyjnie ją ignorując.

Claire zdusiła słowa, za które prawdopodobnie wyleciałyby ze studiów, i darowała sobie resztę zajęć. Poszła do domu.

Gdzieś w głębi jej umysłu zegar odliczał czas do maskowego balu Bishopa..

W teorii całkowitej apokalipsy jedna rzecz była pocieszająca; przynajmniej oznaczałoby to, że nie będzie musiała zaważyć żadnych zajęć.

Myślała, że ten piątek gorzej się już potoczyć nie może, ale w porze obiadu odwiedzili ich goście.

Claire wyjrzała przez wizjer i zobaczyła ciemne, kręcone włosy. Wredny uśmiech.

- Lepiej zaproś mnie do środka - powiedziała Ysandre. - Bo w przeciwnym razie będę się znęcać nad waszymi sąsiadami, póki tego nie zrobisz.

- Michael! - wrzasnęła Claire. Siedział w salonie i pracował nad nowym utworem, ale usłyszała, że muzyka ucichła.

Stał u jej boku, jeszcze zanim umilkło echo jej wrzasku. - To ona, Ysandre. Co mam zrobić?

Michael otworzył drzwi i stanął naprzeciw wampirzycy. Uśmiechnęła się do niego. Obok niej stał François, oboje byli elegancy i wymuskani, i tak arogancy, że Claire aż bolały od tego zęby.

- Chcę pogadać z Shane'em - zażądała Ysandre.

- No to chyba się rozczarujesz.

François uniósł brwi, zszedł z werandy i zza krzaków rosnących przy schodkach wyciągnął związaną ludzką postać. Claire westchnęła.

To była śmiertelnie przerażona Miranda. Związane miała ręce i nogi, a w ustach knebel.

- Ujmijmy to inaczej - powiedziała Ysandre. - Możesz nas wpuścić, żebyśmy mogli porozmawiać, albo spożyjemy obiad na świeżym powietrzu, tutaj, na waszej werandzie.

Nie ma na to żadnej sensownej odpowiedzi, pomyślała Claire i zobaczyła, że Michael też walczy sam ze sobą. Pozwolił milczeniu trwać tak długo, że Claire naprawdę już zaczynała się niepokoić, że Miranda zginie - François chyba cieszyłby się z okazji - ale wtedy Michael skinął głową.

- Dobra - powiedział. - Wchodźcie.

- Ależ dziękuję ci, kotku - powiedziała Ysandre i weszła do środka. François rzucił Mirandę na drewniany parkiet holu i ruszył jej śladem. Claire przyklękła obok dziewczyny i rozwiązała jej ręce.

- Nic ci nie jest? - szepnęła. Miranda pokręciła głową, a oczy miała wielkie jak spodki. - Wynos się stąd. Biegnij do domu. Już!

Miranda zrzuciła więzy z kostek nóg, podniosła się z podłogi i rzuciła do ucieczki.

Claire zatrzasnęła drzwi i szybko poszła do salonu.

François odsunął na bok gitarę Michaela i zajął jego fotel. Ysandre rozsiadła się na kanapie tak wygodnie, jakby cały świat i wszystko na nim należało do niej.

- Jak miło, że nas zaprosiłeś do środka, Michaelu. Zdawało mi się, że początkowo zaczęliśmy od złej strony. Chciałabym to naprawić.

François się roześmiał.

- Tak - powiedział. - Michaelu, powinniśmy zostać przyjaciółmi. A ty nie powinieneś mieszkać z bydłem.

- To wszystko, co do mnie macie? Bo jeśli tak, to nie mam wam nic do powiedzenia.

- Och, niezupełnie - powiedziała Ysandre.

- Robią obiad - powiedział François . - Nie wydaje ci się, że to trochę ironiczne? Skoro nas wpuściłeś.

Shane wyszedł z kuchni. Nie wydawał się zdziwiony, zauważyła Claire, musiał ich widocznie usłyszeć.

- Nie jesteście tu mile widziani - powiedział. Ysandre przesłała mu ustami pocałunek.

- Och, Shane, naprawdę mnie nie interesuje, czy jestem, czy nie jestem mile widziana, a ty nie masz żadnej władzy, która zmusiłaby mnie do wyjścia - powiedziała. - Już piątek, kochanie. Dostałeś kostium, w którym chcę cię jutro zobaczyć?

Shane pokiwał głową tak sztywno, jakby szyja mu zamieniła się w kamień. W oczach miał więcej niż tylko trochę szaleństwa.

- Powinnaś stąd wyjść - odezwała się Claire do Ysandre z odwagą, której w rzeczywistości nie czuła.

- A co ty sądzisz, Michaelu? Powinnaś? - Ysandre zmierzyła się z nim spojrzeniem, a w jej oczach kryło się coś strasznego. - Mam sobie iść?

- Nie - odparł. - Zostań.

Claire aż sapnęła.

One zmuszają człowieka, żeby czuł różne rzeczy. Żeby je robił, czy chce, czy nie. Shane tak kiedyś powiedział, ale Claire nie przypuszczała, że one mogą to robić innym wampirom. Nawet tak młodym i niedoświadczonym jak Michael.

- Michael!

Nie spojrzał na nią. Wydawało się, że kompletnie nie mógł się oprzeć sile umysłu Ysandre.

Claire wyłowiła komórkę z kieszeni. Zawahała się, przeglądając książkę adresową.

- Zastanawiasz się, kogo wezwać na pomoc? - François wyszarpnął jej komórkę z ręki i cisnął nią przez pokój. - Amelie nie podziękuje ci za odrywanie jej od jej spraw. Jest bardzo, ale to bardzo zajęta dbaniem, żeby wszystko zostało odpowiednio przygotowane na przyjęcie naszego drogiego ojca.

- Może powinnaś zapytać Michaela, co masz zrobić - odezwała się Ysandre i roześmiała się, pokazując kły. Wymówiła jego imię tak, że zabrzmiało jak Michelle. - Jestem pewna, że pomoże ci się nas pozbyć. Taki groźny, nieprawdaż?

Oczy Michaela zwolna przybierały szkarłatne zabarwienie. One zmuszają człowieka, żeby czuł różne rzeczy. Żeby je robił.

- Shane - powiedziała Claire. - Musimy się stąd wynosić. Ale już.

- Nie zostawię Michaela.

- To Michael jest problemem.

Ysandre się zaśmiała.

- Naprawdę jesteś bystra, *ma chérie*.

François strzelił palcami tuż przed twarzą Michaela.

- Obiad na stole.

Michael otworzył usta i warknął, pokazując kły. A potem obrócił się i wbił oczy w Claire.

- O cholera - sapnął Shane. Złapał Claire za ramię. - Kuchnia!

Rzucili się do ucieczki. Shane zastawił stołem wahadłowe drzwi kuchni, niezależnie jak niewiele mogło to pomóc, a potem ruszyli w stronę tylnych drzwi.

Claire otworzyła lodówkę i wyjęła z niej dwie ostatnie butelki z krwią. Muszę przypomnieć Michaelowi, żeby załatwił sobie więcej, pomyślała, a potem dotarło do niej, jaka to dziwna myśl. Kończące się zapasy krwi zaczynały się stawać czymś tak samo zwyczajnym jak brak coli czy masła.

Plotła głupstwa - w myślach. A jednak była dziwnie spokojna.

Michael wpadł do kuchni i rzucił się prosto w ich stronę. Claire zastąpiła mu drogę, wyciągnęła do niego butelkę i powiedziała:

- Nie jesteś jednym z nich. Jesteś jednym z nas. Jesteś jednym z nas i my cię kochamy.

- Claire... - odezwał się Shane udręczonym tonem, ale nie ruszył się z miejsca. Może wiedział, że to by wszystko zepsuło.

Michael przystanął. Jego oczy nadal jarzyły się czerwienią, ale miała wrażenie, że ją zauważył. I że ta czerwień nieco zbladła. Wyciągnęła butelkę.

- Wypij to - powiedziała. - Poczujesz się lepiej. Michael, zaufaj mi, proszę cię.

Patrzył jej prosto w oczy.

Tym razem to ona rzuciła mu spojrzeniem wyzwaniem. Zobacz mnie. Zobacz, co robisz.

Wypchnij ją z umysłu.

Jego oczy pobiegały. Wyrwał butelkę z jej ręki, zdjął kapsel, przechylił butelkę i wypił zawartość tak szybko, jak tylko szybko mógł połykać.

Nie odwrócił spojrzenia.

Ona też tego nie zrobiła.

Jego oczy znów zrobiły się błękitne i z westchnieniem odjął butelkę od ust. Cienka strużka krwi pociekła mu po wardze i otarł ją drżącą ręką.

- Wszystko w porządku - powiedziała Claire. - Dobrała ci się do głowy. Ona umie to robić. Ona...

Shane znikł. Kiedy była tak skoncentrowana na Michaelu, on po prostu... znikł.

A drzwi kuchni nadal się kołysały.

Następnym razem pójdzie jej łatwiej, powiedział wtedy Shane.

Claire ruszyła do salonu. Michael próbował ją powstrzymać, ale zdawało się, że opadł z sił, że jest chory. Przypomniała sobie, jak rozbity był po czymś takim Shane.

Dlaczego nie ja? Dlaczego mnie nie kontroluje?

Może nie może.

Shane siedział na kanapie obok Ysandre, a koszulę miał rozpiętą. Ysandre gładziła go po torsie, obrysowując jakieś niewidoczne linie, a potem, na oczach Claire, wampirzyca zaczęła delikatnie skubać go w szyję. Nie na serio, nie po to, żeby ukąsić do krwi, ale tak tylko, dla zabawy. Lekko go polizała.

Twarz Shane'a była nieruchoma i pozbawiona wyrazu, ale oczy miał rozszerzone paniką. On tego wcale nie chce, zrozumiała Claire. Ona go zmusza.

Claire rzuciła drugą butelką krwi w Ysandre. Wampirzyca niewiarygodnie szybkim ruchem uniosła rękę i złapała ją w powietrzu, zanim butelka zdążyła uderzyć ją w skroń.

- Jedz, jeśli jesteś głodna - powiedziała Claire. - I zabierz łapy od mojego chłopaka.

Ysandre zmrużyła oczy. Claire poczuła, że coś muska jej umysł, ale to było jak przechodzenie

przez pajęczynę, łatwo ją było zerwać.

Ysandre zdjęła kapsel z butelki, powąchała zawartość i się skrzywiła.

- Nie bądź taka zaborcza. Shane jest na moje usługi. Tak jest napisane w zaproszeniu.

- Będzie na twoje rozkazy jutro. Nie dzisiaj.

- Jakie to urocze. Taka młoda, a już prawniczka. - Ysandre napiła się z butelki, zakrztusiła i pokręciła głową. - Dlaczego wasze wampiry wystawiają się na podobne upokorzenia, nigdy nie pojmę. Przecież to jest zepsute. Świństwo nie do picia. - Rzuciła butelkę z powrotem do Claire, która nie miała wyjścia i musiała ją złapać, ale przy tym zawartość ochlapała jej całą twarz i szyję. - Zabierz to ode mnie. - Oczy Ysandre zaświeciły czymś okropnym i mętnym, złym i okrutnym. - I umyj się. Jesteś do niczego, tak samo jak twoje pojęcie o gościnności.

- Wynoś się - powiedziała Claire. Poczula, że siła domu zbiera się wkoło niej niczym burza, że dom zastyga w zimnej ciszy, a energia aż trzaska. - Wynoś się z naszego domu. Już!

Energia przepłynęła przez nią od strony stóp, z bolesnym wstrząsem i uderzyła w Ysandre i François niczym niewidoczna błyskawica. Zbiła ich z nóg, złapała za kostki i wręcz pociągnęła w stronę drzwi frontowych, które otworzyły się, zanim jeszcze wampiry się przy nich znalazły.

Ysandre wrzeszczała i pazurami czepiała się podłogi, ale to nic nie dało. W tej chwili dom nie zamierzał brać jeńców.

Wyrzucił ich na zewnątrz, na słońce. François i Ysandre z trudem podnieśli się, zakryli głowy i rzucili się biegiem do samochodu.

Claire stanęła w drzwiach poplamiona zimną krwią i krzyknęła:

- I nie wracać mi tu!

Moc znikła i od tej nagłej pustki Claire aż zadrżała. Przez kilka chwil trzymała się drzwi, żeby jeszcze sprawdzić, czy tamci odjeżdżają, a potem z trudem zawróciła do salonu. Shane siedział na kanapie z koszulą rozpiętą do pasa i twarzą ukrytą w dłoniach.

Drżał.

- Nic ci nie jest? - spytała.

Gwałtownie pokręcił głową, nie podnosząc na nią wzroku. Michael otworzył drzwi kuchni i ruszył prosto do niej. Trzymał ręcznik, którym otarł krew z jej twarzy i rąk szorstkimi, niespokojnymi ruchami.

- Jak ty to zrobiłaś? - spytał. - Nawet ja nie mogę... Nie na rozkaz. Nie w taki sposób.

- Nie mam pojęcia - odparła. Czuła się słabo i niepewnie, więc usiadła na kanapie obok Shane'a. Shane zapinał koszulę. Jego palce poruszały się powoli i nie wydawały się zbyt pewne.

- Shane? - Michael stanął obok niego. Głos miał niezwykle łagodny.

- Tak, stary, wszystko w porządku - powiedział Shane.

W jego głosie przebijało znużenie. - Może i została moją właścicielką, ale swoje dostanie dopiero jutro wieczorem. Chyba nie zaryzykuje powrotu do nas. Nie wyłącznie po mnie. - Popatrzył na Michaela, a ten krótko skinął głową. - Nie chcę prosić, ale...

- Nie musisz prosić - powiedział Michael. - Będę na ciebie uważał. Jak tylko się da.

Przybili sobie piątkę.

- Muszę wziąć prysznic - powiedział Shane i ruszył na górę. Wcale nie poruszał się jak Shane... Jego ruchy były zbyt wolne, zbyt ciężkie, zbyt... zgnębione.

Michael złożył obietnicę, ale Claire obawiała się - bardzo się obawiała - że nie będzie mógł jej dotrzymać. Kiedy już znajdą się poza domem, odcięci od niego i odseparowani od siebie, nikt nie

powstrzyma Ysandre od zrobienia z Shane'em tego, na co będzie miała ochotę. Z Michaeliem. Z każdym.

Jeśli Jason mówił prawdę, kiedy przyszedł do nich do domu pogadać, to Oliver rzeczywiście miał im coś do powiedzenia. Może jeszcze ma.

Może to w jakiś sposób pomoże Shane'owi.

Tylko tyle mogła w tej chwili wymyślić Claire, żeby mu jakoś pomóc.

Kiedy poszła do kawiarni Olivera, wpakowała się w kolejne kłopoty, chociaż nie tak oczywiste jak sytuacja, w której Ysandre i François przejęli władanie nad ich salonem. Dopiero po paru sekundach Claire zorientowała się, co jest dziwnego w tej scenie, której stała się świadkiem, bo pozornie wszystko wydawało się normalne.

Ale nie było.

Naprzeciw Olivera przy stoliku siedziała spokojnie Eve, która przecież przysięgła, że prędzej wbije mu kołek w serce, niż jeszcze raz na niego spojrzy. Oliver słuchał jej z jak najbardziej poważną miną, przechylając głowę na bok, całkowicie opanowany. Na ustach miał bardzo nieznaczny uśmiezek, a spojrzenie utkwił w Eve z takim napięciem, że Claire aż ścierpła skóra.

Mogła ściągnąć na siebie ich uwagę, stojąc tam jak idiotka na samym środku sali, nawet w tak zatłoczonym lokalu. Odwróciła się, podeszła do baru i zamówiła mochę, na którą wcale nie miała ochoty, żeby mieć pretekst do siedzenia w tym miejscu. Eve za bardzo zajęta była swoją sprawą, żeby zauważyć wejście Claire, ale Oliver wiedział; Claire to czuła, chociaż on nawet nie zerknął w jej stronę.

Zapłaciła cztery dolary i wzięła zbyt drogą, a jednak pyszną kawę do wolnego stolika w pobliżu okien wychodzących na ulicę, gdzie było sporo studentów, za którymi mogła się schować. Niepotrzebnie się jednak przejmowała; kiedy Eve wstała, ruszyła prosto do wyjścia, nie rozglądając się wkoło, a potem ramieniem otworzyła drzwi i wyszła na ulicę. Miała na sobie czarną atlasową spódnicę do ziemi, która przypominała Claire materiał, jakim obija się od wewnątrz trumny, i fioletowy aksamitny top. Wyglądała szczupło i krucho.

Wydawała się taka bezbronna.

- To okropne, jak daleko posuną się niektóre dziewczyny, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę - powiedział Oliver i usiadł na krześle naprzeciwko Claire. - Nie sądzisz, że ona nieco przesadza w tym swoim upodobaniu do makabry?

Nie złapała się na tę przynętę, popatrzyła tylko na niego w milczeniu. Jakiś promień słońca był blisko jego postaci i cały czas przesunął się w jego stronę. Jeszcze parę minut, a oświetliłby jego ramię. Wiedziała, że jak większość starych wampirów zyskał częściową odporność na światło słoneczne, ale i tak by go to zabolalo.

Oliver wiedział, o czym myślała. Zerknął na gorący promień światła i przesunął krzesło nieco na bok, żeby zyskać kilka dodatkowych minut cienia.

- Dlaczego wczoraj wieczorem przysłałeś do nas Jasona? - spytała.

- Dlaczego sądzisz, że go przysłałem?

- Bo tak powiedział.

- To Jason jest teraz takim wiarygodnym źródłem? Myślałem, że to wariat i morderca, który prześladowuje własną siostrę.

- O czym rozmawiałeś przed chwilą z Eve? Oliver uniósł brwi.

- Zdaje się, że to sprawa Eve, nie twoja. Jeśli nie masz mi nic innego...

- Ysandre i François właśnie próbowali swoich gierki siłowych w naszym domu. W naszym domu, Oliver. Po co wysłałeś Jasona?

Oliver na moment zamilkł. Wcale na nią nie patrzył; przyglądał się ludziom spacerującym ulicą, przejeżdżającym samochodom. Spojrzał też na rozgadanych i roześmianych studentów we wnętrzu kawiarni. W wyrazie jego twarzy było coś dziwnego, jak gdyby - podobnie jak Eve - nagle zdał sobie sprawę z własnej bezbronności.

I bezbronności innych.

- Nie przyznaję, że to ja go wysłałem - powiedział Oliver. - Ale gdybym wysłał, to przecież miałbym po temu bardzo ważny powód, nieprawdaż?

Nie odpowiedziała. Znów na nią spojrzał spojrzeniem jasnym i bardzo skoncentrowanym.

- Claire, nigdy nie ukrywałem własnego pragnienia władzy. Nie lubię Amelie, a ona nie przepada za mną, ale nasze rozgrywki opierają się na uczciwych zasadach. Znamy reguły i ich przestrzegamy. Bishop natomiast... Bishop żadnych reguł nie przestrzega. Złapałby naszą planszę do gry i wyrócił ją do góry nogami, a na to się zgodzić nie mogę. Nawet gdybym miał przy okazji odnieść jakąś korzyść.

Wreszcie coś do niej dotarło.

- Bishop próbował cię zwerbować. Przeciwno Amelie. - Claire zrobiło się nagle zimno. - Nie mogłeś powiedzieć jej wprost. Dlatego chciałeś wykorzystać Jasona, żeby powiedział mnie i żebym ja to jej powtórzyła.

- Teraz już za późno. Wszystko toczy się w zbyt szybkim tempie. Nie jest w mojej mocy, żeby to powstrzymać, ona też nie zdoła. A tym bardziej nie ty, Claire.

Claire zdała sobie sprawę, że dłońmi kurczowo chwyciła się blatu stołu i rozluźniła uścisk. Palce aż ją bolały od ściskania.

- O czym - rozmawiałaś z Eve?

Oliver, nie spuszczać z niej oczu, powiedział:

- Będzie mi towarzyszyła na uczcie.

A więc Eve szła na bal maskowy. Z Oliverem.

Claire oparła się o krzesło i przez chwilę zupełnie nie mogła znaleźć słów, ale potem dokładnie do niej dotarło, co to wszystko znaczy.

- Czy Michael wie?

- Szczerze mówiąc, jest mi to zupełnie obojętne. Eve może to wyjaśnić tak jak zechce i kiedy zechce; to nie moje zmartwienie. Chyba skończyłem już udzielanie ci wyjaśnień, Claire. Ale jeśli mogę ci udzielić rady... - Oliver pochylił się nad stołem, zupełnie się wystawiając na słońce. Nawet się nie skrzywił, chociaż źrenice skurczyły mu się tak, że prawie znikły, a skóra zdecydowanie się zaróżowiła. - Zostań jutro w domu. Pozamykaj drzwi i okna, a jeśli należysz do osób religijnych, krótka modlitwa też się może przydać.

W jego ustach ta uwaga zabrzmiała tak dziwnie, że Claire o mało się nie roześmiała.

- Mam się modlić? Za kogo, za ciebie?

Oliver nawet nie mrugnął.

- Gdybyś zechciała - powiedział - byłoby to pocieszające.

Chyba od dawna nikt się za mnie nie modlił.

Wstał i odszedł. Claire przez chwilę siedziała, wpatrując się w popołudniowe słońce i popijając mochę, która już dawno jej wystygła i przestała smakować. Kiedy grupka zamożnych miłośników z

uczelnia spytała ją, wcale nie za grzecznie, czy zamierza zwolnić ten stolik, wyniosła się bez protestów. Poszła na spacer krętymi uliczkami, nie zastanawiając się właściwie, gdzie jest ani po co tam idzie.

Wszyscy ci ludzie... Teraz już znalazła się kawałek za uniwersytetem. Rodzimi mieszkańcy Morganville wykorzystywali słoneczną pogodę w każdy możliwy sposób - opalali się, pracowali w ogrodach, odmalowywali domy.

A jutro, jeśli Oliver ma rację, to wszystko mogło się skończyć. Jeśli Bishopowi uda się odebrać Amelie władzę...

Claire drgnęła, dotarło do niej, że słońce zniża się nad horyzontem, więc przy najbliższym skrzyżowaniu skręciła w stronę domu. Udało jej się tam dotrzeć przed końcem dnia, chociaż powoli zaczynało już zmierzchać, ale kiedy otworzyła furtkę i ruszyła ścieżką, zdała sobie sprawę, że ktoś siedzi na frontowych stopniach werandy i czeka na nią.

Shane.

- Hej - powiedział.

- Hej - odparła i usiadła obok niego. Spoglądał na ulicę i jeżdżące nią od czasu do czasu samochody. Lekki wiatr rozwiewał mu ciemne włosy, a słońce nadawało jego skórze odcień lekko muśnięty złotem. Boże, był taki... idealny. A spojrzenie jego oczu łamało jej serce.

- A więc - odezwał się. - Pomyślałem sobie, że dziś wieczorem powinniśmy gdzieś pójść.

- Pójść? - powtórzyła głupio. - Ale dokąd?

Wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno. Do kina. Na kolację. Zabrałbym cię do baru na drinka, ale twój tata chyba by mnie zabił. - Shane przez chwilę przyglądał jej się, a potem znów zaczął uważnie wpatrywać się w przestrzeń. - Chcę po prostu spędzić dzisiejszy wieczór z tobą. Nieważne, co będziemy robić.

Bo jutro wszystko mogło się zmienić. To było to samo dziwne uczucie, które towarzyszyło Claire w czasie jej spaceru po mieście; wrażenie, że świat się kończy. Tylko parę osób zdaje sobie sprawę, na co się zanoszą.

- Jakieś miejsce, dokąd zawsze chciałeś się wybrać? - spytała Claire.

- Jasne. Gdziekolwiek byle nie tutaj, od zawsze tego chciałem. Znaczą tu, w Morganville? - Na chwilę zamilkł, jakby to pytanie zaskoczyło go. - Może. Masz ochotę przejechać się samochodem?

- Czyim?

- Eve. - Uniósł kluczyki. - Ubiłem z nią interes. Będę dostawał samochód na dwa wieczory w tygodniu, a w zamian za to w dwa dni przejmuję jej domowe obowiązki. Więc mam dziś prawo go pożyczyć.

- Słońce zachodzi - czuła się w obowiązku zauważyć Claire.

- A i owszem. - Jeszcze raz zabrzączał kluczykami. - No jak?

Naprawdę, przecież już wiedział, jaka będzie jej odpowiedź.

Pojechali do restauracji w pobliżu wampirzego centrum miasta, na tyle daleko, że większość klientów to byli ludzie, ale jednak otwarte było do późna. Była tam sala z parkietem do tańca i szafą grającą pełną starych płyt. Shane napił się piwa, na którego zamawianie był za młody, a Claire kilkanaście monet ćwierćdolarowych wydała na piosenki, jedna po drugiej.

- Takiego wielkiego iPod'a jeszcze nigdy nie widziałam - powiedziała, a on aż zakrztusił się piwem. - Żartuję. Widziałam już kiedyś szafę grającą.

- Nie jestem pewien, gdy patrzę, jak ją karmisz monetami. Myślisz, że już wybrałaś dość

piosenek?

- Sama nie wiem - odparła. - A ile trzeba, żeby grała całą noc?

Odstawił piwo na stolik, objął ją ramionami i zaczęli tańczyć, a piosenki zmieniały się i zmieniały, jedna po drugiej. Morganville powoli cichło.

ROZDZIAŁ 10

Nadszedł sobotni ranek, chłodniejszy i bardziej wietrzny, powiało zimnem ostrym jak tnący metal. Shane i Claire przyjechali do domu tuż przed świtem, zmęczeni, ale spokojni. Tańczyli aż do zamknięcia restauracji, a potem jeździli samochodem, w końcu zaparkowali. Było słodko i namiętnie i Claire prawie, prawie zupełnie chciała, żeby to zaszło dalej... No, przynajmniej na tylne siedzenie.

Ale Shane dotrzymał słowa, niezależnie jak bardzo to ich frustrowało, a ona uznała, że to mimo wszystko dobrze.

Teraz chciała tylko ściągnąć ciuchy i wskoczyć z nim do łóżka i nigdy, ale to już nigdy stamtąd nie wychodzić. Ale on pocałował ją przy drzwiach jej pokoju i po spojrzeniu w jego oczach poznała, że aż tak bardzo sobie w jej towarzystwie nie ufa. Nie dzisiaj. Nawet nie teraz, kiedy cały świat się zmieniał. Claire zasnęła tuż przed świtem i przespała wschód słońca. Przespała lunch. W ogóle obudziła się tylko dlatego, że sąsiad z domu obok uruchomił potworną spalinową kosiarkę, żeby po raz ostatni w tym sezonie przystrzyć trawnik. Kosiarka ryczała jak ogrodniczy silnik odrzutowy i niezależnie od ilości poduszek zakrywających uszy Claire ją słyszała.

W domu było dziwnie spokojnie. Claire włożyła szlafrok i poszła do łazienki. Po drodze zastukała do drzwi pokoju Eve, ale nikt nie odpowiedział. W pokoju Shane'a i Michaela też nie. Pobiła rekord szybkości brania prysznicą i zeszła na dół, ale tam... też nikogo nie znalazła. Ani Michaela, ani Shane'a, ani Eve. Ani nawet karteczki. W dzbanku stała kawa, ale już dawno zamieniła się w wystygłą lurę.

Claire usiadła przy stole w kuchni i przejrzała numery w swojej komórce. Eve nie odebrała, telefon Michaela przerzucił ją na pocztę głosową. Shane'a też.

- Hej - powiedziała Claire, kiedy jego nagrany głos poprosił o zostawienie wiadomości. - Ja miałam po prostu nadzieję, że cię zobaczę. No wiesz, dziś rano. Ale... Słuchaj, możesz do mnie przekreślić? Chcę z tobą pogadać. Proszę.

Poczuła się taka osamotniona, że łzy aż ją zapiekły w oczach. Uczta. To dzisiaj.

Wszystko się zmieniało.

Aż podskoczyła, słysząc stukanie do tylnych drzwi, i długo wyglądała przez okno, zanim uchyliła je odrobinę. Łańcuch zostawiła zamknięty.

- Czego pan chce?

Na podjeździe stał wóz policyjny Richarda Morrella. Nie zapalił świateł ani nie włączał syreny, więc raczej nie chodziło o nagły wypadek. Ale znała go na tyle dobrze, że wiedziała, że wizyt towarzyskich nie składa, a przynajmniej nie w Domu Glassów. I na pewno nie w mundurze.

- Dobrze pytanie - powiedział Richard. - Chciałbym znaleźć dziewczynę, która dobrze gotuje, lubi filmy sensacyjne i ładnie wygląda w krótkich spódnicach. Ale wystarczy mi, jeśli zdejmiesz ten łańcuch z drzwi i wpuścisz mnie do środka.

- A skąd mam wiedzieć, że pan to pan?

- Co?

- Ysandre. Ona... No, powiedzmy, że muszę się upewnić, że to naprawdę pan.

- W tym tygodniu na uniwerku musiałem rozpiąć ci kajdanki w damskiej łazience. Wystarczy?

Zdjęła łańcuch i cofnęła się, żeby mógł wejść do środka. Był zmęczony - nie tak zmęczony, jak czuła się ona sama, ale to było chyba już zwyczajnie niemożliwe.

- O co chodzi?

- Idę dziś wieczorem na tę imprezę - powiedział. - Pomyślałem, że ty też może się wybierasz. I że może trzeba cię podwieźć.

- Ja... nie idę.

- Nie? - Richard chyba się zdziwił. - Zabawne, a mógłbym przysiąc, że Amelie ciebie w pierwszej kolejności wybierze, żeby się tobą popisać przy tej okazji. Jest z ciebie dumna, wiesz. Dumna? A dlaczego, na litość boską, miałaby być dumna?

- Co, jak z rasowego pieska? - spytała Claire gorzko. - Czempiona wystawy?

Richard uniósł ręce obronnym gestem.

- Nieważne, to nie moja sprawa. A w ogóle gdzie ten twój gang?

- Bo co?

- Bo moim obowiązkiem jest wiedzieć, gdzie są osobnicy sprawiający kłopoty.

- Ale my ich nie sprawiamy! - Richard tylko na nią spojrział. Musiała przyznać, że zasłużyła na to spojrzenie. - Pana siostra się wybiera, wie pan.

- Tak, wiem. Już od paru dni chodzi po domu i się stroi.

Wydała fortunę na ten cholerny kostium. Tata ją zabije, jeśli go czymś upaprze. Chyba planuje go potem odsprzedać.

Claire pytającym gestem wskazała dzbanek ze świeżą kawą, a Richard pokiwał głową i usiadł przy kuchennym stole. Podawała mu kubek i patrzyła, jak popija. Dzisiaj wydawał się inny. Wszystko się zmienia. Richard też wydawał się teraz bardziej bezbronny. Zawsze był taki silny, zawsze był tym normalnym Morrellem. Dzisiaj wyglądał na niewiele starszego od Moniki.

- Moim zdaniem coś się stanie - powiedziała Claire. - Pan też to czuje?

Richard pokiwał głową. Wokół oczu miał zmarszczki, a pod oczami takie worki, że mógłby w nich trzymać drobne.

- Ten Bishop jest inny niż tamci - powiedział. - Poznałem go. Ja... coś w nim zobaczyłem. On jest nieludzki, Claire. Zupełnie nieludzki. Jeśli było w nim kiedyś coś z człowieka, to ten czas już dawno minął.

- Co pan zamierza?

Richard wzruszył ramionami.

- A co ja, do diabła, mogę zrobić? Pilnować rodziny. Uważać na ludzi z tego miasta. Wolałbym być o tysiąc mil stąd. - Na chwilę zamilkł i napił się kawy. - Moim zdaniem zostaniemy poproszeni o złożenie mu czegoś w rodzaju przysięgi lojalności, a nie jestem pewien, czy to zrobię. Chyba nie chcę tego robić.

Claire z trudem przełknęła ślinę.

- A ma pan wybór?

- Prawdopodobnie nie. Ale zrobię co się da, żeby zapewnić ludziom bezpieczeństwo. Tylko tyle potrafię. - Spuścił wzrok, jakby nie śmiał zbyt długo w nie spoglądać. - Inni tam idą, prawda?

Pokiwała głową.

- Wiesz, że twoi rodzice się wybierają?

Claire osłupiała, a potem zakryła usta dłońmi i pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Na pewno nie. To przecież niemożliwe.

- Widziałem listę - powiedział Richard. - Przepraszam. Myślałem, że znalazłaś się po prostu na innej stronie. Nie mogłem uwierzyć, że będziesz wykluczona. Ale to dobrze, że możesz zostać w domu. Moim zdaniem może tam być niebezpiecznie.

Dopił kawę do końca i przesunął kubek w jej stronę.

- Będę uważał na twoich przyjaciół i rodziców - powiedział. - O ile tylko będę mógł. Wiesz o tym, prawda?

- Pan jest miły - powiedziała Claire. Zdziwiła się, że powiedziała to na głos, ale zrobiła to w zwykłym odruchu szczerości. - Naprawdę, wie pan.

Richard uśmiechnął się do niej i chociaż wyrobiła już sobie częściową odporność na uśmiechy seksownych facetów dzięki Shane'owi i Michaelowi, jakaś jej część mimo wszystko westchnęła: „Oooch”.

- Zatrudnię cię jako swoją rzeczniczkę prasową - powiedział Richard. - Pozamykaj się tu i siedź w domu, dobrze?

Odprowdziła go do drzwi i posłusznie pozamykała wszystkie zamki, bo czekał, póki tego nie usłyszy. Pomachał ręką i poszedł do samochodu, a potem cicho go wyprowadził na ulicę. Która, jak zauważyła Claire, była dziwnie pusta. W Morganville po południu zwykle panował spory ruch. A tu, w najlepszej porze na spacer, nie widać było żywego ducha. Nikt nie spacerował, nie jeździły samochody, nie widziała na ulicy nikogo. Nawet sąsiad z domu obok wyłączył kosiarkę i zamknął się w domu na cztery spusty.

Zupełnie tak, jakby wszyscy... wiedzieli.

Claire włączyła laptop i sprawdziła pocztę, co przypominało sprawdzanie spamu. Dzisiaj zaczepki samotnych młodych Rosjanek i nigeryjskich biznesmenów desperacko pragnących pozbyć się milionów zwolnionych od podatku dolarów nie rozbawiły jej tak, jak zwykle. Nie miała też ochoty sprawdzać, dokąd ją wy rzuci funkcja „Szczęśliwy traf w Google. Miała ładnych parę godzin do zabicia.

Mogłabyś odwiedzić Myrnina. Myrnin też się nigdzie nie wybiera.

Och, to aż za bardzo kuszące. Myrnin oznaczał zajęcie.

A praca to świetny sposób na odwrócenie uwagi.

Richard kazał mi się pozamykać. Tak, ale nie powiedział przecież, że tutaj, prawda? Laboratorium Myrnina było dość bezpieczne. Tak samo jak więzienie, w którym go przetrzymywano. A przynajmniej miałaby towarzystwo.

- Nie - powiedziała Claire. - Nie mogę tego zrobić. To zbyt niebezpieczne.

Ale przecież na zewnątrz nadal było jasno. Więc wcale nie tak znów niebezpiecznie.

A rób, co chcesz. Proszę, idź i daj się zabić. Wszystko mi jedno.

Claire złapała parę drobiazgów i wrzuciła do plecaka - książki, oczywiście, ale też parę powieści, które zamierzała podrzucić Myrninowi, bo on zawsze szukał czegoś nowego do czytania. I kuchenny nóż. Jakoś jej się wydało, że to też warto spakować. Schowała go w podręczniku historii niczym najniebezpieczniejszą zakładkę na świecie.

A potem po raz ostatni obejrzawszy się na dom, wyszła.

Mam nadzieję, że tu wrócę, pomyślała i obróciła się, żeby popatrzeć na dom, stojąc przy frontowej furtce. Mam nadzieję, że wszyscy tu wrócimy.

Poczuła, że dom też ma taką nadzieję.

Do laboratorium Myrnina szło się długo, ale nie groziło jej nic poza śmiercią od ataków gęsiej skórki. Zobaczyła jeden czy dwa samochody, ale były pełne przestraszonych, niespokojnych ludzi, spieszących się do jakiegoś bezpiecznego schronienia - pracy, domu, szkoły. Poza tym nikogo na ulicach nie było. Nikt nimi nie chodził.

Claire szła krętymi uliczkami w stronę starszej, zapuszczonej części Morganville. Na końcu ulicy stał brat bliźniak Domu Glassów Dom Dayów, gdzie nadal mieszkała ta urocza starsza pani, Katherine Day. Dzisiaj jej podniszczona huśtawka na werandzie była pusta, kiwała się nieco na wietrze. Claire miała nadzieję, że Babunia Day albo jej groźna wnuczka będą siedziały na zewnątrz, że któraś ją zaprosi na werandę i da jej lemoniady, i spróbuje jej wybić z głowy to, co właśnie zamierzała. Ale jeśli w ogóle były w domu, to siedziały w środku, za zaciągniętymi zasłonami.

Tak jak wszyscy inni mieszkańcy miasta. Claire ruszyła ciemną alejką obok Domu Dayów. Otoczona była z obu stron wysokimi płotami i zwiężała się w głębi. Za pierwszym razem trafiła tu przypadkiem, od tamtej pory chodziła celowo, ale nadal uderzało ją, jak przerażające jest to miejsce nawet w dziennym świetle.

Babunia Day wiedziała o Myrninie. Nazywała go pajakiem czającym się w pułapce.

Babunia Day, z tego, co wiedziała Claire, miewała rację w wielu sprawach, a to była jedna z nich. Myrnin potrafił być słodki, łagodny i miły, ale kiedy robił się niedobry, robił się naprawdę zły.

Claire doszła do końca alejki, gdzie stała rozwalająca się szopa, stanowiąca zaledwie jedno pomieszczenie. Drzwi były zamknięte na nową, lśniącą kłódkę. Pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła klucze.

Wewnątrz szopa wcale nie prezentowała się lepiej - nie było tam nic, tylko kwadrat podłogi i prowadzące w dół schody. Odrobina światła przesączała się przez brudne okna. Claire złapała leżącą w kącie latarkę - zawsze ją tam na wszelki wypadek trzymała - i włączyła ją, schodząc po schodach do laboratorium Myrnina.

Miała nikły cień nadziei, że znajdzie tam Amelie albo Olivera, albo kogoś innego. Ale pomieszczenie wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy stamtąd wychodziła. Opuszczone i puste, pomijając parę palących się elektrycznych świateł. Claire przesunęła na bok regał z książkami, który zajmował ścianę po prawej stronie - był zamocowany na szynach, żeby ułatwić sprawę - a za nim znajdowały się drzwi. One też były zamknięte, a Claire wyjęła klucze z szuflady pod półkami regału.

Kiedy otwierała drzwi, mogłaby przysiąc, że dobiegł ją jakiś szmer z kąta. Claire obróciła się i ogarnął ją głupi impuls, który kazał jej zapytać, kto tam jest, ale powstrzymał ją zwyczajny wstyd i wola nie zachowywania się jak te głupie dziewczyny w horrorach. Nikogo tam nie było. Nawet Olivera.

Zamiast tego otworzyła zamek w drzwiach, wzięła głęboki oddech i skoncentrowała się.

Fizyka dziwnych przejść Myrnina nadal jej umykała, chociaż miała wrażenie, że zaczyna pojmować przełom, jakiego dokonał w mechanice kwantowej... Oczywiście, sam nie patrzył na to naukowo, dla niego była to magia, a przynajmniej alchemia. Nie musisz wiedzieć, jak coś działa, żeby to wykorzystywać, przypominała sobie Claire. Irytowały ją te słowa, ale zaczynała się przyzwyczajać, że niektóre rzeczy trudniej jest zrozumieć niż inne i że wszystko, co ma związek z Myrninem mieści się w tej kategorii.

Szeroko otworzyła drzwi, które prowadziły do więzienia mieszczącego się w innej części miasta.

Sprawdziła to na mapie, wymierzyła odległość między laboratorium Myrnina a opuszczonym kompleksem więziennym. Nie było żadnej możliwości, żeby między nimi dwoma istniało jakieś przejście, chyba że poważnie zakłócało prawa fizyki, tak jak je pojmowała. A jednak istniało.

Weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Po tej ich stronie był jeszcze haczyk, zamknęła go, w razie gdyby jednak nie ponosiła jej wyobraźnia i w laboratorium faktycznie ktoś się znajdował i ją obserwował. I tak ten ktoś miałby poważny kłopot z rozgryzieniem natury przejść Myrnina i pewnie by tu nie trafił, o ile trafiłby dokądkolwiek.

- Cześć - odezwała się Claire w stronę mijanych cel; nie sądziła, żeby wampiry ją rozumiały, ale zawsze starała się być wobec nich uprzejma. Nic nie mogły poradzić na to, czym się stały - czymkolwiek się stały. Były szalone, to na pewno. Niektóre mniej niż inne. To ich widok ją zasmucał - tych, które zdawały się rozumieć, gdzie się znalazły i dlaczego. Jak Myrnin.

Claire zatrzymała się przy lodówce i zabrała zapasy toreb z krwią, które potem powrzucała do cel z bezpiecznej odległości. Dwie zatrzymała dla Myrnina, bo jego cela mieściła się na samym końcu.

Siedział na łóżku, z okularami opuszczonymi na czubek nosa. Czytał zniszczony tomik Woltera.

- Claire - powiedział i włożył wyblakłą różową wstążkę między strony. Podniósł wzrok, spojrzał na nią, młody i przystojny i (przynajmniej dzisiaj) nie do końca szalony. - Przydarzyła mi się przedziwna rzecz. Wzięła krzesło i usiadła.

- Tak?

- Chyba zaczyna mi się polepszać.

- Nie wydaje mi się - powiedziała. - Chciałabym, żeby to była prawda, ale...

Przesunął w stronę krat celi plastikowy pojemnik.

- Masz.

Claire znieruchomiała, podejrzliwie wpatrując się w pojemnik.

- Hm... A co to jest?

- Tkanka mózgowa.

- Co takiego?!

Myrnin poprawił okulary i spojrzał na nią ponad ich oprawkami.

- Powiedziałem, że tkanka mózgowa.

- Czyja tkanka mózgowa?

Rozejrzał się po celi, unosząc brwi.

- Wiesz, nie mam tu w okolicy zbyt wielu chętnych dawców.

Claire dopadła pewna straszna myśl. Nie była w stanie ubrać jej w słowa.

Myrnin uśmiechnął się do niej wrednie.

- Testujemy serum, tak? A na razie jestem jedynym obiektem badań?

- To jest tkanka mózgowa. Jakim cudem...? - Claire szybko zamknęła usta. - Nieważne. Chyba nie chcę tego wiedzieć.

- Poważnie, moim zdaniem jest świetnie. Weź to, proszę. - Na chwilę pokazał zęby w bardzo niepokojącym uśmiechu. - Oddaję ci część własnego umysłu.

- Naprawdę wolalabym, żebyś tego nie mówił. - Zadrżała, ale w końcu podeszła na tyle blisko krat, żeby wziąć pojemnik. Tak, to coś wyglądało... szaro. I jak materia biologiczna.

Sprawdziła, czy wieczko jest szczelnie zamknięte, a potem wsadziła pojemnik do plecaka. - Dlaczego ci się wydaje, że ci się polepszyło?

Myrnin wziął do ręki kilka ciężkich książek i uniósł je na wyciągniętej dłoni.

- Przeczytałem je przez ostatnie półtora dnia - powiedział. - Co do jednego słowa. Mogę odpowiedzieć na każde pytanie, gdybyś chciała mnie przepytać z treści.

- To nie jest dobry test. Ty już te książki znasz.

Zrobił zdziwioną minę.

- Tak, to prawda. No cóż. A jak chciałabyś mnie przetestować?

- Przeczytaj mi kawałek stąd - powiedziała i podała mu wyjętą z plecaka powieść. Zerknął na nazwisko autora i na tytuł, otworzył książkę na pierwszej stronie i zaczął czytać.

Obserwowała, jak jego oczy przebiegają linijki - szybciej niż jakikolwiek człowiek mógłby przyswoić słowa widniejące na papierze. Był bardzo skupiony i wydawał się szczerze zainteresowany.

- Stop - odezwała się pięć minut później. Myrnin posłusznie zamknął książkę i oddał ją Claire. - Opowiedz mi, co przeczytałeś.

- Bardzo sprytnie, że wybrałaś powieść o wampirach - powiedział Myrnin. - Chociaż moim zdaniem trochę śmieszny jest ten ich lęk przed lustrami. Główne postaci wydają się ciekawe. Chyba chciałbym doczytać to do końca. - A potem zaczął szczegółowo recytować opisy i historie głównych postaci, tak jak przedstawiono je na pierwszych pięćdziesięciu stronach... I całą akcję. Claire zamrugła i, sprawdziła, czy ma rację.

W niczym się nie pomylił.

- Widzisz? - Myrnin zdjął okulary i schował je do kieszeni fioletowej atlasowej kamizelki, którą założył na białą koszulę. - Claire, polepszyło mi się. Serio.

- No cóż, powinniśmy poczekać i zobaczyć, czy...

- Nie, nie wydaje mi się. - Wstał, zwinny i silny, i podszedł do krat.

Ujął je w ręce, szarpnął i zamek, który powinien był wytrzymać atak najsilniejszego, najbardziej szalonego wampira, głośno trzasnął. Myrnin odsunął na bok kratę i stanął w otwartym przejściu, uśmiechając się do niej.

- To dla mnie? - Wskazał na torebki z krwią leżące na jej plecaku. Zdała sobie sprawę, że pobielalymi palcami ściska książkę w ręku i prawie nie oddycha. Mam nadzieję, że nie usunął sobie tej części mózgu, która go może powstrzymać przed atakowaniem...

- Tak - udało jej się wykrztusić. Zamierzała rzucić mu torebkę z krwią, ale stwierdziła, że to by wyglądało niewłaściwie. Zamiast tego wzięła pierwszą z brzegu i mu ją po prostu podała.

Myrnin podszedł do niej powoli - rozmyślnie powoli, żeby miała czas przyzwyczaić się do sytuacji - i wziął plastikową torebkę, nawet nie dotykając jej dłoni. Nie odwrócił się, kiedy się w nią wgryzał. Chociaż od odgłosów ssania zrobiło jej się niewyraźnie i nieco niedobrze, to kiedy na niego spojrzała, na jego twarzy ani na plastikowej torebce nie było ani śladu krwi.

Claire wyciągnęła do niego drugą. Pokręcił głową.

- Nie muszę się opychać - powiedział. - Jedna zupełnie mi wystarczy. - To też było dziwne, bo Myrnin zwykle należał do - jak to ująć, żeby nie doprowadzić się do mdłości - osób obdarzonych apetytem.

- Odłożę to - powiedziała, ale zanim zdążyła ruszyć się z miejsca, Myrnin wyjął jej torebkę z ręki. Tym razem nawet nie zauważyła jego ruchu.

- Sam to zrobię. - Zadrżała, nasłuchując i wypatrując, ale już znikł w mroku. Usłyszała skrzypienie ciężkich drzwi lodówki i ich zamykanie, a potem nagle pojawił się znów, powoli idąc

przez mrok. Z ramionami zaplecionymi na piersi. Oparł się o ścianę naprzeciw niej.

- I co? - spytał. - Wydaję ci się szalony?

Pokręciła głową.

- Nie powiedziałaś mi, gdybym szalony był, prawda, Claire?

- Pewnie nie. Mógłbyś się rozzłościć.

- Mógłbym się rozzłościć, gdybyś mnie okłamała - powiedział Myrnin. - Ale się nie rozłoszczę.

Wcale nie czuję teraz gniewu. Ani głodu, ani nawet niepokoju, który nigdy mnie chyba przez ostatnie lata nie opuszczał. To ten lek, który mi dałaś, Claire. On chyba zaczyna działać. Wiesz, co to znaczy?

- Skoczył przez przestrzeń i kiedy znów udało jej się skupić na nim wzrok, klęczał obok jej krzesła, jedną dłoń opierając o jej kolano. - To znaczy, że mój rodzaj uda się uratować. Ich wszystkich.

- A mój? - spytała Claire. - Jeśli twój się uratuje, co będzie z moim?

Myrnin miał obojętną minę.

- Los ludzi naprawdę nie leży w zakresie mojej odpowiedzialności - powiedział. ~ Amelie bardzo ciężko pracowała, żeby zapewnić, że Morganville stanie się miejscem równowagi, miejscem, gdzie nasze dwa gatunki będą w stanie żyć we względnej harmonii. Wątpię, żeby zmieniła w tej sprawie zdanie w wyniku jednego eksperymentu.

Mógł sobie wątpić, ile chciał, ale Claire знаła Amelie lepiej niż on. Wiedziała, że w pierwszej kolejności zrobi to, co dobre dla jej gatunku, dopiero potem pomyśli o ludziach. Claire nie była do końca pewna, ale podejrzewała, że Morganville faktycznie stanowiło taki właśnie eksperyment - eksperyment, który zostanie zakończony po uzyskaniu pożądanego rezultatu.

A jeśli to jest rezultat - to co się potem stanie z laboratoryjnymi szczurami?

Ciemne oczy Myrnina płonęły teraz szczerością.

- Claire, nie jestem żadnym potworem. Nie dałbym cię krzywdzić. Zrobiłaś nam ogromną przysługę i zostaniesz otoczona opieką.

- A co z innymi ludźmi? - spytała.

- Jakimi ludźmi? A, twoimi przyjaciółmi, twoją rodziną. Tak, oczywiście, ich też obejmie całkowita Ochrona, cokolwiek się zdarzy.

- Nie, Myrnin, ja mówię o wszystkich innych! O facecie, który robi hamburgery w Burger Dog! O tej babce, która prowadzi sklep z używanymi ciuchami! O wszystkich!

Zamrugął wyraźnie zaskoczony.

- O wszystkich zadbać nie możemy, Claire. To nie leży w naszej naturze. Możemy tylko zadbać o tych, których znamy, albo o tych, z którymi jesteśmy związani. Podziwiam twój altruizm, ale...

- Nie opowiadaj mi o naszej naturze! Nie jesteśmy tacy sami!

- Nie? - Myrnin łagodnie poklepał ją po kolanie. - Jestem naukowcem. Tak samo jak ty. Mam przyjaciół, ludzi, których los mnie obchodzi i których kocham. Tak samo jak ty. W czym się różnimy?

- Ja nie wysysam obiadu z torebki!

Myrnin się roześmiał. Wcale przy tym nie pokazał kłów.

- Och, Claire, a ty uważasz, że zjadanie zaszlachtowanych i porąbanych na kawałki zwierząt jest mniej obrzydliwe? Oboje jemy. Oboje cieszymy się towarzystwem innych. Oboje...

- Ja sobie nie wydłubuję szarej materii z mózgu! Aha, i nie zabijam - powiedziała. - A ty tak. I wcale ci to tak bardzo nie przeszkadza.

Odsunął się nieco i przypatrzył się jej. Jego szczere spojrzenie nieco stwardniało.

- Myślę, że się jednak przekonasz, że przeszkadza - powiedział. - W przeciwnym razie nie

znosiłbym czegoś podobnego ze strony...

- Ze strony służącej? Bo tym dla ciebie jestem, prawda? A może gorzej, niewolnicą? Twój a własnością?

- Jesteś zdenerwowana.

- Tak! Oczywiście... Oczywiście, że jestem zdenerwowana. - Próbowała się opanować, ale nie mogła. Żal uchodził z niej jak para z kotła pod ciśnieniem. - Siedzę tu i omawiam przyszłość ludzkiego gatunku, a moi przyjaciele i rodzina wybierają się na imprezę, a ja ich nie mogę ochronić...

- Cicho, dziecko - powiedział. - Ta uczta jest dziś wieczorem, prawda?

- Ja nawet nie wiem, co to za impreza.

- Oficjalne uznanie Bishopa przez Amelie. Każdy wampir z Morganville, który trzyma się na nogach, będzie tam obecny, wszyscy mają zaprzysiąc mu posłuszeństwo i każdy będzie miał ze sobą prezent na znak szacunku. Pociągnęła nosem i otarła twarz.

- Jaki prezent?

Myrnin nie spuszczał z niej ciemnych oczu.

- Prezent krwi - powiedział - a konkretnie, człowieka. Masz słuszość, niepokojąc się o przyjaciół i rodzinę. On ma prawo wybrać sobie dowolnego z ofiarowanych mu ludzi. Gest w zamierzeniu jest czysto formalny - to przejaw wieloletniej tradycji - ale nie musi być tylko formalny.

Wtedy Claire zrozumiała. Zrozumiała, dlaczego Amelie zabroniła jej przychodzić, zrozumiała, dlaczego Michael zaprosił Monice Morrell zamiast Eve.

To były szachy, a pionkami byli ludzie. Wampiry grały tymi, których mogły bez obawy poświęcić.

- Ty... - Jej głos brzmiał niepewnie. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz. - Powiedziałeś, że on może wybrać dowolnego człowieka.

Myrnin nawet nie mrugnął.

- Albo i wszystkich - powiedział. - Jeśli będzie miał takie życzenie.

- Wiesz, że on to robi, że kogoś zabije.

- Prawdopodobnie, tak.

- Musimy go powstrzymać - powiedziała. - Myrnin... Dlaczego ona to chce zrobić?

- Amelie nie jest kobietą dzielną. Jeśli będzie miała małe szansę, podda się; jeśli szansę będą mniej więcej równe, będzie grała na zwłokę i czekała na okazję. Ona wie, że sama nie zdoła pokonać Bishopa; nawet wspólnie z Oliverem nie byliby w stanie tego dokonać. Musi planować swoją grę na wiele ruchów wprzód, Claire. Całe życie tak grała. - Ciemne oczy Myrnina znów zabłyśły i znów się uśmiechnął. - Amelie kalkuluje swoje szansę, nie biorąc oczywiście mnie pod uwagę. Ze mną przy boku może wygrać.

- Chcesz iść. Na tę ucztę.

Myrnin obciągnął kamizelkę i strzepnął z rękawów nieistniejące pyłki.

- Oczywiście. I pójdę tam, z tobą czy bez ciebie. A teraz, czy w tych okolicznościach zgadzasz się iść?

- Ja... Amelie mówiła...

- Tak czy nie, Claire.

- A więc... tak.

- Potrzebne nam będą kostiumy - powiedział. - Nic się nie martw. Wiem, skąd je wziąć.

- Wyglądam jak kretyńka - powiedziała Claire. Poza tym strasznie rzucała się w oczy. - Nie

możemy wybrać czegoś spokojniejszego, skoro mamy się tam dostać ukradkiem?

- Przestań gadać - przykazał jej Myrnin, nakładając podkład na jej twarz. Bawił się chyba o wiele lepiej, niż na to pozwalała ta cała cholerna sytuacja. Claire po raz kolejny zwątpiła, czy to lekarstwo rzeczywiście jest lekarstwem. Musiał istnieć sensowny powód, dla którego Amelie powiedziała, że nie powinno go być na uczcie, i dla którego wykluczała go ze swoich planów dotyczących wojny czy pokoju. Amelie to na pewno przemyślała, ale Claire za dobrze znała już Amelie. Jeśli pokój oznaczał, że przypłaci go śmiercią kilkoro ludzi, nawet ci, którzy byli dla Claire bardzo ważni, uznałaby, że to poświęcenie, na które jest gotowa.

Claire na nie gotowa nie była.

- Już - powiedział Myrnin. - Teraz zamknij oczy.

Claire zamknęła i poczuła miękki pędzel pudrujący jej twarz. Kiedy otworzyła oczy, Myrnin cofnął się, a z lustra spojrzało na nią odbicie zupełnie innej istoty.

Naprawdę wyglądała śmiesznie, ale musiała przyznać, że zupełnie nie przypominała Claire Danvers. Wcale a wcale. Eve byłaby dumna z tak białej twarzy. Z czerwonych wydatnych ust. Z wielkich, obrzeżonych czernią oczu z zabawnymi kreseczkami - mi, które miały przyciągać wzrok.

Obcisły kostium, góra i legginsy, w czerwone i czarne romby pokryte diamencikami. Kapelusz matadora.

- Kim ja mam niby być? - wypaliła. Myrnin zrobił minę rozczarowaną jej niewiedzą.

- Arlekinem - powiedział i okręcił się na pięcie niczym szalona dziewczynka. - Ja jestem Pierrotem. - Myrnin był ubrany na białą, i o ile kostium Claire był obcisły, jego był luźny i rozdymał się wokół jego ciała jak tunika chórzysty z białymi spodniami pod spodem. Wokół szyi miał niesamowicie wielką białą kryzę, a jego biały kapelusz wyglądał jak stożek drogowy. Miał też taki sam zwariowany makijaż, przy którym jego ciemne oczy wydawały się szerzej otwarte i bardziej szalone. - Czy was już niczego w szkołach nie uczą?

- Nie o tym.

- Szkoda. Pewnie takie są skutki zdobywania edukacji głównie przez Google. - Coś jej umocował na twarzy. - Pani maseczka, madame. - Była to prosta maska karnawałowa, ale w taki sam czarno - czerwony wzór jak jej kostium. - Umiesz zrobić gwiazdę? Salto w tył?

Spojrzała na niego z rozpaczą.

- Jestem naukowcem, nie czirliderką.

- Po raz drugi, szkoda. - Założył maseczkę, czarną. Pomalował sobie twarz podobnie jak jej - śmiertelnie bladą twarz z wielkimi czerwonymi wargami. Niesamowicie to wyglądało. - No dobrze, kostiumy już mamy. Teraz potrzeba już tylko czegoś, co przechyli szalę na naszą korzyść, gdyby coś miało się nie powieść. A jestem pewien, znając Bishopa, że tak się stanie.

Byli na poddaszu Domu Glassów, otoczeni rzeczami zbieranymi setki lat. Claire jeszcze nigdy tu na górze nie była; nawet nie wiedziała, że na strych prowadzi jakieś wejście. Myrnin zabrał ją do ukrytego wiktoriańskiego pokoju, a potem nacisnął kilka guzów na ścianie, które otworzyły kolejne sekretne przejście, prowadzące zakurzonym, zagraconym korytarzem do wielkiego, ciemnego składu. Znalazł te kostiumy spakowane w skrzyni, która wyglądała na tak starą, że mogła chyba pochodzić sprzed wojny secesyjnej. Toaletka, przy której siedziała Claire, była chyba nawet starsza. Sam kurz na niej leżący wyglądał starzej.

Myrnin błędził między stosami pudeł, waliz i rozsypanych rzeczy, mrucząc coś, chyba w obcym języku. Zaczął czegoś szukać. Claire znów spojrzała na swoje odbicie w lustrze. W tym przebraniu i

makijażu wyglądała obco i fajnie, ale to nadal były jej oczy. Przerazone oczy.

W głowie mi się nie mieści, że chcemy to zrobić, pomyślała.

Myrnin pojawił się obok niej jak przerażający, ludzkich rozmiarów pajac wyskakujący z pudełka, niosąc walizę rozmiarów Rhode Island. Rzucił ją na drewnianą posadzkę, o którą uderzyła z głośnym hukiem.

- Ta - dam! - Otworzył ją i przybrał dumną pozę.

W środku była broń. Mnóstwo broni. Kusze. Noże. Miecze. Krzyże, niektóre z ostro zakończonymi ramionami.

Myrnin pogrzebał w tym bałaganie i wyjął brudną buteleczkę, która pewnie służyła do przechowywania perfum, gdzieś tak w średniowieczu.

- Woda święcona - powiedział. - Prawdziwa woda święcona, pobłogosławiona przez samego papieża. Wielka rzadkość.

- Co to jest? Skąd się wzięły te wszystkie rzeczy?

- Od ludzi, którzy nieskutecznie ich używali - powiedział. - Ale nie zalecałbym buteleczek z łatwopalnym płynem, tych zielonych. Działają, ale możesz równie łatwo pozabijać sprzymierzeńców, jak wrogów. Woda święcona rani, ale nie zabija. Wolałbym, żebyś nie miała ze sobą prawdziwie śmiertelnej broni.

- Dlaczego?

- Nawet jeśli wygramy, Amelie będzie zmuszona oddać pod sąd każdego człowieka, który zabije wampira. Dobrze wiesz, czym to się kończy. - Claire wiedziała i aż zadygotała. Shane już raz o mało nie zginął za zabójstwo, którego nie popełnił. - Jeśli ktoś ma zabijać, niech to będą ja albo inne wampiry, I tak lepiej się do tego nadajemy. - Owinął dłoń materiałem i ujął średniej wielkości ozdobny krzyż o zastrzonym końcu. Obchodził się z nim bardzo ostrożnie. - Wyłącznie w samoobronie. A teraz, dla mnie...

Myrnin wyciągnął groźnie ostry sztylet, przyjrzał się kry - tycznie jego ostrzu, a potem znów wsunął go do skórzanej pochwy. Schował sztylet pod tuniką, przy boku.

- To wszystko? - spytała Claire zdziwiona. Przecież miał przed sobą cały arsenał.

- Tylko tego potrzebuję. Czas iść - powiedział. - To znaczy, o ile jesteś naprawdę pewna, że chcesz to zrobić.

- Jestem pewna. - Claire spojrzała na siebie i na swój kostium. - Hm... Ale gdzie ja mam kieszenie?

ROZDZIAŁ 11

Dom Glassów leżał na czymś, co Claire nazywała Siecią Podróży „Niemożliwych... System przejść Myrnina prowadził do dwudziestu miejsc w mieście, które umiała zidentyfikować, a jednym z nich był salon w ich domu. Innym oczywiście było więzienie, gdzie ostatnio zamieszkał. Kolejnym był Dom Dayów i podejrzewała, że większość prowadzi do innych Domów Założycielki.

Było też przejście do zamku Amelie - a przynajmniej Claire przywykła uważać go za zamek; nie miała pojęcia, jak może wyglądać z zewnątrz. Ale od wewnątrz wydawał się stary i przypominał twierdzę. W systemie były też przejścia do budynku uniwersyteckiej administracji, do biblioteki, do ratusza i do budynku Rady Starszych.

A tam właśnie miał się odbyć bal.

- W głowie mi się nie mieści, że to robimy - szepnęła Claire do Myrnina, który wpatrywał się w pustą ścianę Domu Glassów. - Myrnin, jesteś pewien? Może powinniśmy wziąć samochód.

- Tak będzie szybciej - powiedział. - Chyba się nie boisz? Nie ma potrzeby. Jesteś ze mną. - Powiedział to z wrodzoną sobie arogancją, a ona znów zaczęła czuć chłód wątpliwości. Czy on się dobrze czuł? Wydawało się, że łączy myśli w sposób całkowicie logiczny, ale coś tu... nie grało. Ten łagodny Myrnin, który zwykle pojawiał się w krótkich okresach przytomności umysłu, znikł, a tego nowego Myrnina zupełnie nie знаła.

Ale dał jej wodę święconą i krzyż, a tego robić nie musiał. Poza tym... potrzebowała go.

Nieprawdaż?

Za późno było na wątpliwości. Obszar ściany, w który wpatrywał się Myrnin, zaczynał falować i zamieniać się w szarą mgłę. Mgła zawirowała, nabrała koloru i zamieniła się w ciemność, przeciętą na dole linią ledwie widocznego, złotawego światła.

Wyglądało to jak wnętrze szafy.

- Chodź - powiedział Myrnin i wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją i razem wstąpili w mrok. Poczula, że za ich plecami portal zasklepia się, a kiedy się obejrzała za siebie, niczego tam nie zobaczyła.

To miejsce pachniało środkami do czyszczenia, a kiedy Claire pomacała ręką dokoła, trafiła na trzonek mopa. Schowek sprzątaczy. No cóż, pewnie wychodząc z niego, nie będą się zbyt rzucić w oczy.

Pomijając fakt, że będą parą klaunów wychodzących z szafy.

Myrnin się nie wahał. Sięgnął dłonią, przekręcił gałkę w drzwiach, a potem nieco je uchylił.

- Droga wolna - powiedział i szeroko otworzył drzwi. Wyszedł pierwszy. Claire szybko poszła za nim i zamknęła drzwi za nimi. Byli w jakimś bocznym korytarzu o białych, czystych ścianach, wyłożonym czerwoną wykładziną.

Wszystkie drzwi były nieoznaczone. I identyczne. Claire próbowała je policzyć, żeby potem móc odszukać te właściwe.

- Tędy - powiedział Myrnin i ruszył korytarzem w prawo. Jego biała tunika wydymała się, kiedy

szedł. Powinien był w tym przypominającym drogowy stożek kapeluszu wyglądać śmiesznie, ale... ale jednak nie wyglądał. - Powiniennem był tobie dać się przebrać za Pierrota, moja mała Claire. Pierrot słynie ze swojej łagodnej, miłej natury. Nie tak, jak Arlekin. Libitor pochopnie, Claire.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że to ty powinnaś być Pierrotem...

- Nie - zaprzeczyła powoli. - Powiedziałeś „libitor pochopnie”. O co ci chodziło?

- Co powiedziałem? - Myrnin spojrzał na nią chłodno. - Przecież to nonsens. To wszystko aqua lace.

Stała jak wryta, a po paru krokach on połapał się, że została z tyłu, i obejrzał się niecierpliwie.

- Claire, iguana czasu.

„Claire, nie mamy czasu”.

- Myrnin, mówisz bez sensu. Chyba... Chyba to serum przestaje działać.

- Czuję się aktywność.

„Czuję się dobrze”.

- Ale słyszysz sam siebie? Słyszysz, co wygadujesz?

Uniósł ręce w górę. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że robił ze słów sałatkę. Komplikacje neurologiczne, pomyślała i pożałowała, że nie może skonsultować się z doktorem Millsem. No jasne, przecież wydlubał sobie fragment mózgu. To mogło spowodować jakieś szkody. No ale z drugiej strony, jeszcze parę minut temu mówił zupełnie do rzeczy.

Claire próbowała odezwać się jak najspokojniejszym tonem.

- Moim zdaniem potrzebujesz kolejnego zastrzyku. Proszę cię. Chyba nie możemy czekać, aż ci się jeszcze pogorszy, prawda?

Myrnin w milczeniu wyciągnął ramię i podsunął rękaw w górę. Jego obnażona skóra była alabastrowo biała, a kiedy jej dotknęła, sprawiała wrażenie nie tyle ludzkiej ręki, co marmuru obleczonego miękko wyprawioną skórą. Claire wyjęła mały pojemnik, który zatknęła sobie za pasek spodni - ten, który dał jej doktor Mills, ze strzykawką i fiolkami z lekiem. Ćwiczyła robienie zastrzyków na pomarańczach, ale to jednak było coś innego.

- Spróbuję zrobić to tak, żeby cię nie bolało - powiedziała. Myrnin przewrócił oczami.

Dłonie jej drżały, kiedy przekłuwała igłą gumowy korek fiolki i napełniała strzykawkę. Wycisnęła kilka kropel płynu ze strzykawki, a potem wzięła głęboki oddech.

Miała nadzieję, że Myrnin pozwoli jej to zrobić, nie stawiając oporu.

Wydawało się, że nie zamierza sprawy utrudniać, przynajmniej na razie; stał biernie, kiedy celowała igłą w chłodną błękitną żyłę.

- Gotowy? - spytała. Właściwie to pytała samą siebie, nie jego. On chyba to rozumiał, bo się uśmiechnął.

- Ufam ci - zapewnił.

Pchnęła strzykawkę, a igła przebiła skórę i wśliznęła się głęboko. Przez moment żyła stawiała opór, a potem igła wkuła się w nią.

Szybko docisnęła tłoczek i wyszarpnęła igłę. Na skórze pojawiła się w tym miejscu malutka kropla krwi, którą starła kciukiem, zostawiając na jego skórze niewyraźną plamkę.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że źrenice zmniejszyły mu się tak, że zupełnie znikły i na moment Claire zamarła w bezruchu, ogarnięta okropnym przerażeniem. Czerwone usta Myrnina rozchyliły się w szerokim uśmiechu i było w nim coś, co naprawdę, ale to naprawdę jej się nie podobało...

Ale potem znikło, a jego źrenice znów zaczęły się rozszerzać do normalnych rozmiarów. Zadrżał i westchnął.

- Niemiłe - powiedział. - Ach, a teraz pojawia się to ciepło. Teraz jest mi przyjemnie.

- Ale nie bolało?

- Nie przepadam za igłami.

Co zabrzmiało na tyle zabawnie, że się roześmiała. Spojrzał na nią ponuro, ale nadal chichotała i musiała zakryć sobie usta dłonią, kiedy ten śmiech ogarniał ją coraz mocniej i śmiała się coraz głośniejszym i cieniejszym, na skraju hysterii. Claire, weź się w garść!

- Lepiej? - zapytała go. Arogancja Myrnina wróciła, zobaczyła ją wyraźnie w spojrzeniu, jakie jej rzucił, kiedy pakowała sprzęt.

- Nie było ze mną źle - powiedział. - Ale doceniam i twoją troskę.

Korytarz kończył się przed nimi białymi, wahadłowymi drzwiami, a Myrnin wziął ją za rękę i siłą tam ociągnął.

- Czekaj! Zwolnij!

- Dlaczego?

- Bo chcę się upewnić, że jesteś...

- *Compos mentis*? Claire, to łacina. Znaczy?

- Jesteś przy zdrowych zmysłach, tak, wiem.

- Nie plotę głupstw. I wydaje mi się, że w ogóle nie potrzebowałem tego zastrzyku. - Nabzdyczył się przy tym. Claire pomyślała, że to jest w tym wszystkim najbardziej przerażające... Myrnin naprawdę nie umiał wyczuć, kiedy zaczynało mu się pogarszać.

Miała nadzieję, że to jest właśnie najgorsze sądząc po zapale wypisanym na twarzy Myrnina, zaczynała się obawiać, że może się zrobić o wiele gorzej.

Po drugiej stronie drzwi był bardzo zatłoczony hol siedziby Rady Starszych. Ludzie stali i rozmawiali, trzymali w rękach lampki szampana czy wina, albo czegoś, bo na wino było zbyt czerwone. Wszyscy w kostiumach, wszyscy w maseczkach.

- Miałaś rację - powiedziała do Myrnina. - Moim zdaniem wszystkie wampiry z miasta tu są..

- I każdy przyprowadził ze sobą przyjaciela ludzkiego rodzaju - odparł. - Ale ty chyba jako jedyna znasz prawdziwy powód.

Claire najpierw dostrzegła Jennifer, puszącą się u ramienia François, protegowanego Bishopa. Miała na sobie kostium w stylu lat sześćdziesiątych: farbowany w nierówne plamy top z amerykańskim dekoltem, małą minispódniczkę, buty na platformach, biżuterię z symbolem pacyfy. Maseczka do tego nie pasowała. Widać było, że kostium został pomyślany tak, żeby pokazać jak najwięcej ciała, nie rozbierając się jednocześnie do końca. Nieźle, pomyślała Claire. François wyraźnie też był tego zdania. Sam przebrał się za Zorro.

Niedaleko Jennifer stała Monica, która przebrała się za Marię Antoninę, w sukni z wielkim dekoltem i obszerną spódnicą. Na szyi zawiązała sobie czerwoną wstążkę - Claire na ten widok zrobiło się nieco niedobrze - a w ręku miała małą gilotynę. Trzymała pod ramię... Michaela. Który nawet w masce na twarzy wyglądał, jakby żałował, że nie może się znaleźć gdziekolwiek indziej, byle nie obok Moniki. Przebrał się za księdza, w gładką czarną sutannę z białą koloratką. Ale bez żadnego krzyża.

Claire pobiegła za wzrokiem Michaela w przeciwny kąt sali i zobaczyła wysokiego stracha na wróble - jak żywcem przeniesionego z najgorszego horroru o polach kukurydzy, jaki mogła sobie

wyobrazić - i dziewczynę ubraną jak Sally z „Miasteczka Halloween” Tima Burtona... Oliver i Eve. Eve wyglądała zupełnie jak Sally - tęskna, smutna, cała z łątek pozszywanych wyłącznie nadzieją.

Ona też patrzyła na Michaela.

Oliver kompletnie ją ignorował i obserwował tłum. Rozglądając się wkoło, Claire powoli rozpoznała jeszcze parę osób. Matki nigdzie nie widziała, ale jej ojciec był przebrany za niedźwiedzia i z bardzo niezadowoloną z siebie miną stał obok jakiejś kobiety w średnim wieku - wampirzycy? - przebranej za czarownicę.

- Widzisz gdzieś Shane'a? - Claire niespokojnie spytała Myrnina. Skinął głową w stronę innego fragmentu sali. Już tam patrzyła przedtem, ale poszukała jeszcze raz i trzy razy minąwszy go wzrokiem, teraz wreszcie dostrzegła.

Czy ten kostium będzie ze skóry? - spytała go wtedy. A on powiedział: Tak, w sumie to prawdopodobne.

I był ze skóry. Składał się ze skórzanej psiej obroży, skórzanych spodni i smyczy, a na tej smyczy prowadziła go Ysandre, od szył po kozaki do pół uda ubrana w obcisłą czerwoną skórę. Uzupełniła kostium parą diabolicznych rogów i czerwonym trójzębem.

A więc zrobiła z Shane'a swojego psa. Włącznie z włochatą psią maską na twarzy.

- Oddychaj - powiedział Myrnin. - Sam za tym nie przepadam, ale słyszałem, że ludziom to dobrze robi.

Claire zdała sobie sprawę, że on ma rację; wstrzymywała oddech. Kiedy wypuściła powietrze z płuc, szok zaczął jej mijać, zastąpiony falą gniewu. Co za suka!

Nic dziwnego, że Shane miał nieszczęśliwą minę.

- Nie zrobiła mu absolutnie nic złego - powiedział Myrnin cicho do ucha Claire. - A ty może i nosisz kostium Arlekina, ale to Ysandre zdecydowanie ma w sobie sporo diabła. Więc uważaj. Nie spiesz się. Dam ci znać, kiedy przyjdzie pora zaatakować twojego wroga.

Claire pokiwała głową. Jeśli miała przedtem jakiegokolwiek wątpliwości w tej sprawie, teraz minęły. Miała zamiar wydostać stąd swoją rodzinę i przyjaciół i osobiście wyjąć Ysandre z ręki tę smycz, a potem zrobić za jej pomocą coś strasznego.

- Będę gotowa - powiedziała.

Myrnin rzucił jej szalone spojrzenie.

- Tak - powiedział. - Widzę, że będziesz gotowa, moja mała.

Trzymali się blisko siebie i obserwowali innych, a inni z ciekawością im się przyglądali, ale nikt nie podchodził. Claire zapytała - lepiej późno niż wcale - czy Myrnin nie zostanie rozpoznany mimo tego makijażu, ale on pokręcił głową.

- Raczej się nie udzielam towarzysko - powiedział. - Amelie, Sam, Michael, Oliver i jeszcze paru może mnie znać z widzenia. Ale poza tym nikt więcej, a zresztą pewnie nikt się nie spodziewa, że mnie tu zobaczy. Zwłaszcza jako... - obrócił się teatralnym gestem, a biała tunika zafalowała wokół jego postaci - Pierrota.

Co w ogóle nic jej nie mówiło, bo nadal nie miała pojęcia, kogo przedstawiał Pierrot, ale pokiwała głową. Myrnin zobaczył, że jedna ze stojących w pobliżu wampirzyc przygląda się mu i złożył jej wyszukany ukłon.

- Zrób gwiazdę - mruknął pod nosem do Claire.

- Co mam zrobić?

- Poprosiłbym, żebyś zrobiła salto, ale jestem prawie pewien, że z tym byłby kłopot. Zrób

gwiazdę. Już.

Claire czuła się jak kompletna idiotka, ale umocowała swój kapelusz matadora na głowie elastyczną gumką i zrobiła gwiazdę, po której stanęła uśmiechając się szerokim, nieco niepewnym uśmiechem.

Ludzie zaczęli klaskać i śmiać się, a potem wrócili do swoich rozmów. Wszyscy poza Oliverem, który patrzył na nich uważnie.

Ale przynajmniej trzymał się na dystans.

Bishopa ani Amelie nigdzie nie było widać, ale Claire stopniowo rozpoznała większość znanych sobie wampirów. Sam przyszedł przebrany za Hucka Finna, co świetnie pasowało do jego rudych włosów i piegów. Przeprowadził dziewczynę, którą Claire słabo pamiętała z Common Grounds, jedną z pracownic Olivera. Pewnie tę, która zastąpiła Eve po jej odejściu. Ze względu na Sama Claire miała nadzieję, że to ktoś, bez kogo Oliver może się obyć.

Była tam Miranda, ubrana w kostium starożytnej Greczynki, z wężami we włosach, a obok niej stał niski, wyblakły facecik w kostiumie Sherlocka Holmesa.

- Charles - potwierdził Myrnnin, kiedy Claire go zapytała. - Zawsze przejawiał słabość do tych zaburzonych.

- Przecież ona ma tylko piętnaście lat!

- Obawiam się, że to współczesne standardy. Charles pochodzi z czasów, kiedy to był właściwy wiek do małżeństwa, więc trochę lekceważy waszą zasadę osiemnastu lat jako progu dojrzałości.

- Jest pedofilem.

- Być może - powiedział Myrnnin. - Ale nie stoi po stronie Bishopa.

Sam ich zobaczył, zmarszczył brwi, i zaczął powoli przedzierać się przez tłum w ich stronę. Myrnnin znów złożył swój komiczny ukłon, ale Claire ucieszyła się, że tym razem nie domagał się do niej gwiazdy.

- Samuel - powiedział. - Jak miło cię widzieć.

- Czyś ty...? - Sam z trudem powstrzymał się, bo pytanie pewnie miało brzmieć: „Czyś ty oszalał?”, a odpowiedź wydawała się oczywista. - Amelie ci nie kazała trzymać się z daleka?

Claire...

- I tak by tu przyszedł - powiedziała. - Rozwalił zamek.

Pomyślałam, że powinnam przyjść z nim. - Co stanowiło dość prawdziwe - chociaż tchórzliwe - usprawiedliwienie ich obecności. Myrnnin jednak rzucił jej spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Przyznaj się”. - Pewnie i tak bym przyszła - powiedziała szybko. - Nie mogę pozwolić, żeby moi rodzice i przyjaciele byli tu beze mnie. Po prostu nie mogę.

Sam zrobił ponurą minę, ale pokiwał głową, jakby ją rozumiał.

- Dobrze, więc przyszedł tu. Już zobaczyłaś. Teraz czas iść, zanim zostanieie zaanonsowani. Myrnnin...

Myrnnin kręcił głową.

- Nie, Samuel. Nie mogę tego zrobić. Ona mnie potrzebuje.

- Ona potrzebuje, żebyś się do tego nie mieszał! - Sam stanął tuż przed Myrnninem i oczy Myrnnina zabarwiły się szkarłatem.

Sama również. - Idź do domu - powiedział Sam. - Natychmiast.

- Zmusz mnie - odparł Myrnnin aksamitnym szeptem. Claire jeszcze nie widziała, żeby wyglądał tak śmiertelnie groźnie, i teraz się przeraziła.

Trąciła go w bok. Delikatnie.

- Myrnin. A co się stało z naszą grą na zwłokę? Sam to nie nasz wróg.

- Sam chce ochronić naszego wroga.

- Ochroniam Amelie. Wiesz, że umarłbym, żeby jej bronić.

To Myrnina otrzeźwiło przynajmniej na tyle, że się cofnął.

Biała kryza kostiumu Pierrota robiła z niego najbardziej przerażającego klauna, jakiego Claire w życiu widziała, zwłaszcza z tym uśmiechem.

- Tak - powiedział Myrnin. - Wiem, że byś to zrobił, Sam. Któregoś dnia to cię zniszczy. Trzeba wiedzieć, kiedy sobie odpuścić. To sztuka, którą najstarsi z nas musieli opanować, wciąż jej się ucząc od nowa.

Sam spojrzał na nich nerwowo i odwrócił się.

Tłum się powoli zagęszczał, wypełniając całą owalną salę, a Claire usłyszała, że gdzieś w oddali stojący zegar wybija godzinę. Te głębokie, dźwięczne tony zdawały się trwać bez końca. Kiedy ucichły, na sali zapanowała cisza, pomijając szelest materiałów, gdy ludzie rozpychali się, szukając jak najlepszego miejsca.

Pozłacane, podwójne drzwi po prawej stronie Claire otworzyły się, a do sali wdarł się zapach róż. Znała ten zapach i to pomieszczenie. Na tamym podwyższeniu umieszczono kiedyś ciało wampira. A ją, Eve i Shane'a próbowano tam zastraszyć.

Niezbyt miłe miejsce i niezbyt miłe wspomnienie.

- Pani Muriel i jej towarzysz, Paul Grace - odezwał się jakiś niski, dudniący głos w pobliżu drzwi. Niósł się po najodleglejsze zakątki sali.

Claire wyciągnęła szyję i dostrzegła niską, pulchną wampirzycę przebraną za Egipcjanę. Eskortował ją wysoki mężczyzna ubrany w wiktoriański strój. Mężczyzna, który ich zaanonsował, stał z boku, w obu rękach trzymając otwartą, pozłacaną księgę, chociaż wcale do niej nie zaglądał.

Szambelan umarłych.

- John z Leeds - szepnął do niej Myrnin. - Znakomity wybór. Kiedyś był heroldem króla Henryka, o ile pamiętam. Nienaganne maniery.

Już wywoływano następne nazwisko i kolejna para wysunęła się naprzód. Ze swojego miejsca Claire nie widziała, co jest za drzwiami do bocznej sali, ale dostrzegła blask palących się świec.

- To potrwa wieki - stwierdziła.

- Ceremoniał to część radości życia - powiedział Myrnin i podał jej kieliszek czegoś musującego.
- Pij.

- Nie powinnam.

Uniósł brew. Podniosła szampan do ust i spróbowała - ani słodki, ani gorzki, po prostu taki jak trzeba. Jak butelkowane światło.

Może chociaż mały łyczek.

Kieliszek był pusty, zanim ona i Myrnin znaleźli się na początku kolejki; Claire zrobiło się gorąco i nieco się chwiała na nogach, cieszyła się, że Myrnin wziął ją pod ramię. Herold John stał teraz po lewej stronie Myrnina i chyba nieco się zdziwił na chwilę, a potem zapowiedział ze swoją zwykłą swadą:

- Pan Myrnin z Conwy, ze swoją towarzyszką, Claire Danvers.

I tyle by było z ich incognito.

Głowy zaczęły się obracać w ich stronę. Claire usłyszała szepty, kiedy weszła z Myrninem do

salę. Było to ogromne pomieszczenie urządzone jak sala bankietowa, zastawione okrągłymi stolikami i krzesłami, z wysokim podestem na podwyższeniu. Białe obrusy na stołach. Na każdym stole kwiaty. Połyskujące szkło i błyszcząca porcelana. Cała sala oświetlona była świecami - tysiącami świec w ciężkich, kryształowych świecznikach.

Byłby to widok magiczny, gdyby nie był tak przerażający. Pod naporem setek oczu śledzących każdy jej krok Claire poczuła, że kolana zamieniają jej się w torebki z wodą.

Myrnin to chyba wyczuł.

- Spokojnie - powiedział cicho. - Uśmiech. Głowa do góry. Żadnej oznaki słabości.

Starła się. Nie była pewna, czyjej się udało, ale kiedy puścił ją obok krzesła, bardzo szybko usiadła. Znajdowali się przy pustym stole w głębi sali. Kiedy rozejrzała się wkoło, zobaczyła, że Sam siedzi niedaleko, tak samo Oliver. Eve była przy nim i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w Claire.

Michaela nie widziała. Niestety, Shane'a widziała za to aż za bardzo wyraźnie, bo Ysandre zasiadła na podwyższeniu, a Shane'a poprowadziła za sobą na smyczy, żeby każdy mógł się mu przyjrzeć. Siedzieli na jednym krańcu długiego stołu, François ze swoją towarzyszką siedział na drugim.

Ale nadal nie było widać ani Amelie, ani Bishopa.

Ojciec Claire zaczął już się podnosić ze swojego miejsca po przeciwnej stronie sali, ale wampirzyca wzięła go za ramie; i pociągnęła z powrotem na krzesło. A więc najwyraźniej zasady mówiły, że gościom nie wolno się przemieszczać. Bardzo chciała do niego podejść, ale kiedy spojrzała na Myrnina, pokręcił głową.

- Czekaj - powiedział. - Sama chciałaś grać w tę grę, Claire. Teraz przekonamy się, czy naprawdę masz dość ikry, żeby to zrobić.

- To mój tata!

- Mówiłem ci, że to będzie sprawdzian nerwów. Twoje widać jak na dłoni. Uspokój się.

Ciekawe słowa ze strony faceta, któremu oczy czerwieniały, kiedy zaczynał mu się stawiać ktoś tak mało groźny jak Sam. Claire skupiła się jednak na powolnym, głębokim oddychaniu i nie podnosiła wzroku, żeby uniknąć pokusy. Powoli się uspokajała.

- Ach - odezwał się Myrnin głosem pełnym satysfakcji. - Tu są.

Miał na myśli, oczywiście, Amelie i Bishopa. Amelie weszła pierwsza, z prawej części podniesienia, niczym połyskująca rzeźba, cała w bieli tak zimnej, że aż kłuła w oczy. Przebrała się za ducha lodu, co pod wieloma względami do niej pasowało. Platynowe włosy miała splecione w połyskujący kok, wyglądała delikatnie i krucho.

U jej boku szedł Jason Rosser. Przynajmniej tak się Claire wydawało. Jeszcze nigdy nie widział go po kąpielu i wizycie u fryzjera, ale poznawała go po zgarbionych ramionach i chodzie. Miał na sobie mnisią szatę z kapturem. Wybrała kogoś, kogo nie boi się stracić - pomyślała Claire. Dlatego nie zdecydowała się na mnie. Powinna była poczuć się lepiej z powodu tego odrzucenia, a jednak lepiej się nie poczuła.

Bishop wszedł na podwyższenie od lewej strony. Ubrany był w kościelną purpurę i przebrany - jakżeby inaczej - za biskupa, pomijając brak krzyża. Miał nawet infułę, wysoki kapelusz.

U boku miał anioła, a przynajmniej kobietę przebraną za anioła, z białymi pierzastymi skrzydłami, które były wyższe niż ona sama i ciągnęły się za nią po ziemi.

Claire obiema dłońmi zakryła usta, żeby powstrzymać krzyk, który jej się wyrывał.

To była jej matka.

- Spokojnie - powiedział Myrnin. Chłodną dłonią uścisnął jej ramię. - Co ci mówiłem? Panuj nad sobą! Przed nami jeszcze daleka droga.

Nie chciała go słuchać. Chciała rzucić się po mamę i tatę, po Shane'a, Michaela i Eve. Chciała wydostać się stąd, wyjechać poza granice Morganville, a potem jechać dalej.

Nie chciała już tu dłużej być.

Pozostali goście zajęli resztę krzeseł przy ich stoliku, a dwoje z nich to byli Charles i Miranda. Miranda wyglądała okropnie młodo i blade pod wężowatymi włosami, w greckim kostiumie. Usiadła obok Claire i pod obrusem sięgnęła po jej dłoń. Claire pozwoliła j ą sobie uścisnąć. Dłoń Mirandy była tak samo zimna jak Myrnina i wilgotna od potu.

- To się dzieje - powiedziała Miranda. - Cała ta krew. Cały strach. To się naprawdę dzieje.

- Cicho - powiedział siedzący obok niej Charles i wskazał talerz. - Jedz. Wołowina doda ci sił.

Miranda, podobnie jak Claire, bez apetytu dziobała mięso na talerzu. Claire spróbowała - mięso było smaczne, miękkie, pachnące dymem - ale nie miała apetytu. Myrnin zabrał się do swojego z przerażającym zapałem. Zastanawiała się, ile czasu minęło, odkąd jadł prawdziwy posiłek albo miał na taki posiłek ochotę. To ją naprowadziło na całą serię chaotycznych pytań: Czy w tym tłumie są wegetarianie? Czy wampirom zdarza się cierpieć na alergie pokarmowe? Bez entuzjazmu pogryzając chleb, Claire zobaczyła, że Amelie patrzy w ich stronę. Z tej odległości nie sposób było odczytać wyrazu jej twarzy, ale Claire była pewna, że Amelie nie była uradowana.

- Amelie chyba każe nas stąd wyrzucić - powiedziała do Myrnina. Przeżuł ostatni kęs swojej wołowiny.

- Nie wyrzuci - odparł z absolutnym przekonaniem. - Nie masz zamiaru tego jeść?

Claire z ulgą podsunęła mu swój talerz. Myrnin zaczął kroić mięso.

- Amelie nie może sobie pozwolić na scenę - powiedział. - A Bishop na pewno się ubawi na mój widok.

Znów wydawał się dziwny, niemal szczęśliwy. Claire przyjrzała mu się niepewnie.

- Dobrze się czujesz?

- Jak nigdy - odparł. - Ach, deser!

Służący zaczęli roznosić do stolików kieliszki do martini pełne jagód ze śmietaną. Jagód ze śmietaną nawet Claire nie była w stanie sobie odmówić. Zjadła cały deser, w przerwach zerkając czy Shane też je. Chyba nie jadł. W ogóle się nie ruszał.

Kiedy rozniesiono poobiednie napoje - krew dla wampirów, szampan i kawę dla nie tolerujących hemoglobiny - w sali zaczęły się szmery, ich fala rosła, a Claire też ogarnęło ogólne ożywienie.

- Myrnin? Co się dzieje?

Miranda znów złapała ją za rękę, ściskając tak mocno, że Claire o mało nie pisnęła.

- Nadchodzi - powiedziała Miranda. - Już jest prawie po wszystkim.

Zanim Claire zdążyła zapytać, co ona ma na myśli, Myrnin dotknął jej ramienia i powiedział:

- Ceremonia się zaczyna.

John z Leeds zajął miejsce na podeście. Miał na sobie tradycyjny kaftan herolda, zauważyła Claire, zupełnie taki sam jak w książkach i na obrazach. Na wpół spodziewała się, że wyciągnie długą, cienką trąbkę.

Zamiast tego otworzył tę samą księgę, którą trzymał przed wejściem do sali.

- Oto przyszedł dla nas dzień - rozpoczął niskim głosem, - kiedy ten, który wart jest naszego

hołdu lennego, nawiedził nas, więc witamy go w naszych progach.

Bishop wstał. Na podwyższeniu za nim rozsunęła się kurtyna, za którą stał rzeźbiony tron.

Bishop podszedł i na nim zasiadł.

Matka Claire została na swoim miejscu, za stołem.

- Co się dzieje? - spytała Claire. Myrnin ją uciszył.

- Kiedy wymienię wasze imiona, podchodźcie bliżej ze swoimi darami - powiedział John. -

Maria Theresa. Wysoka Hiszpanka ubrana w połyskujący kostium matadora wstała z krzesła, wzięła za ramię mężczyznę, który przyszedł z nią na ucztę i zaprowadziła go w stronę podwyższenia.

Skłoniła się przed Amelie, a potem zwróciła w stronę tronu Bishopa. Znow się ukloniła.

- Składam ci hołd lenny - powiedziała. - I przekazuję dar. Spojrzała na stojącego obok niej mężczyznę. Wydawał się... oszołomiony. Jakby zmarł.

Bishop spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Królewski podarunek - powiedział. - Dziękuję ci za niego. Machnął w ich stronę palcami i okazało się, że to już po wszystkim.

- Vassily Ivanowich - zawołał John z Leeds.

Parada trwała. Nikogo nie zabijano. Zupełnie jakby to było tym, czym to określił Myrnin. Symbolem. Wyrazem poddaństwa.

Claire wypuściła wstrzymywany oddech. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak długo go trzyma, ale cała klatka piersiowa aż ją bolała.

- On mógł ich zabić. Prawda? Gdyby chciał?

- Prawda. Ale tego nie robi. - Minę miał bardzo poważną i skupioną pod makijażem klauna. -

Zastanawiam się, co go powstrzymuje.

Claire zauważyła, że to może jeszcze trwać godzinami.

Ale stało się inaczej. Pierwsze ostrzeżenie przyszło, kiedy Sam wstąpił na podwyższenie ze swoim darem. Skłonił się przed Amelie, ale Bishopowi tylko skinął głową. Bishop się wyprostował.

- Witam cię w Morganville - powiedział Sam. - Ale nie złożę ci przysięgi lojalności.

W sali zapadła całkowita cisza, nie słyhać było nawet szelestu materiałów i brzęku porcelany, jaki do tej pory dało się tam słyszeć. Amelie, zauważyła Claire, przysunęła się bliżej Sama, odsuwając się od pozostałych wampirów.

- Nie? - powiedział Bishop i skinieniem wezwał Sama bliżej siebie. Sam podszedł, ale tylko o krok. - Towarzyszka ci dama uznaje mnie. Dlaczego ty nie chcesz?

- Złożyłem inną przysięgę.

- Jej - powiedział Bishop. Sam pokiwał głową. - No cóż, w takim razie jej przysięga ciebie też ze mną zwiąże, Samuelu. Wierzę, że to wystarczy. - Popatrzył na dziewczynę. - Zostaw tu swój dar.

Samuel nawet nie drgnął.

- Nie.

Amelie coś do niego mruknęła, ale na tyle cicho, że szept nie doleciał do uszu Claire, mimo znakomitej akustyki pomieszczenia.

- Ona jest pod moją opieką - powiedział Sam. - A jeśli chcesz dostać dar, weź to, co Morganville ci oferuje. Wolność.

Sięgnął do kieszeni przepasanych sznurem parcianych spodni Hucka Finna i wyjął z niej torebkę z krwią.

Ysandre zerwała się natychmiast ze swojego miejsca. Tak samo François.

- Jak śmiesz! - warknął François i wytrącił Samowi torebkę z krwią z ręki. - Zabierz stąd to świństwo!

Ysandre chwyciła za włosy towarzyszkę Sama i odciągnęła ją na bok.

- Ona jest darem - powiedziała - i nie masz prawa go jemu odmawiać.

- On nie ma prawa - powiedziała Amelie. Każde jej słowo brzmiało dźwięcznie jak kryształ. - Ale ja mam. Bishop i ona zmierzyli się spojrzeniami i przez bardzo, bardzo długą chwilę nikt nie śmiał się poruszyć.

A potem Bishop uśmiechnął się, usiadł swobodnie na tronie i machnął ręką.

- Zabierz ją, Samuelu - powiedział. - Stwierdzam, że jednak, nie przypadła mi do gustu.

Sam złapał dziewczynę za rękę. W półmroku rozlegały się szepty, kiedy mijał stoły. Skierował się prosto do stolika, przy którym siedział Michael, nachylił się i coś do niego powiedział. Michael coś odparł ze spiętą miną. O cokolwiek się spierali, Michael zdecydowanie się sprzeciwiał.

Sam szarpnięciem postawił Michaela i rym razem Claire usłyszała, co mówi:

- Po prostu idź ze mną!

Cokolwiek planował Michael, było już za późno, bo John z Leeds zapowiedział:

- Michael Glass z Morganville. - A wszyscy czekali na to, co zrobi najmłodszy wampir w mieście.

Michael wziął Monice za rękę i podszedł do podwyższenia. Wszedł po stopniach, skinął głową Amelie, a potem Bishopowi. Bez specjalnego ugrzecznienia wobec żadnej ze stron.

- Ach, dziewczyna Morrellów - powiedział Bishop. - Wiele o tobie słyszałem, moje dziecko.

Monica, ta idiotka, chyba się z tego ucieszyła. Dygnęła.

- Dziękuję panu.

- Czy pozwoliłem ci mówić? - spytał i znów skupił uwagę na Michaelu. - Twój krewniak odmówił złożenia przysięgi lojalności. Co ty powiesz, Michaelu?

- Jestem tu - odparł Michael. - Ale przysięgać niczego nie zamierzam.

Bishop polecił mu zejść z podwyższenia. Monica szła powoli i mizdrzyła się do Bishopa.

- Co za kretynka - mruknęła Claire pod nosem, a Myrnin zachichotał.

- Kilka zawsze się znajdzie - powiedział. - Na szczęście. - Kolejny wampir stał na podium. Był nieco bardziej uprzejmy niż Michael. Powitał Bishopa jako gościa Morganville, ale też nie złożył przysięgi. Bishop zrobił kwaśną minę. - Zaczyna się robić ciekawie. Zastanawiam się, ile czasu on to będzie tolerował.

Niedługo, jak się zdawało, bo Oliver był następny. I chociaż uklonił się, było w tym ukłonie coś wysilonego. Coś wojowniczego. Bishop to wyczuł.

- Cóż powiesz, Oliverze z Heidelbergu?

- Witam cię - powiedział Oliver. - I nic więcej. - Znów się uklonił, tym razem kpiąco. - Twoje panowanie dobiegło końca.

Nie zauważyłeś?

Bishop wstał. Podnieśli się też François i Ysandre.

- Zostaw swój dar - powiedział. - I odejdz, póki odejść ci pozwalam.

A Oliver, ten tchórz, puścił dłoń Eve i zszedł z podestu. Porzucił ją tam.

Michael, wciąż obecny na sali, próbował ruszyć jej na pomoc, ale Sam złapał go i przytrzymał.

- Puszczaj mnie! - wrzasnął Michael i we dwóch potoczyli się na stół, z którego posypały się kryształy i kosztowna porcelana. - Nie możesz mu pozwolić...

François i Ysandre zbliżali się do Eve z dwóch stron niczym polujące tygrysy. A ona stała tam, zmrożona strachem i wzrokiem Bishopa.

Shane wstał i zdjął psią maskę, którą kazała mu nosić Ysandre. Podszedł i stanął obok Eve, odpiął smycz i rzucił jej skórzany zwój na posadzkę.

- Skończyłem z tym badziewiem - powiedział i podsunął łokieć Eve. - A ty?

- Jak najbardziej - zgodziła się. - Chociaż lubię udane maskarady. Czy mogę zatrzymać tę obrozę, jeśli już nie jest potrzebna?

- A bierz ją sobie.

Próbowali zachować swobodę, ale Claire wyczuwała zbierające się wkoło zło, tę brutalność, która za moment mogła eksplodować, ale Shane nic by im nie zrobił, nie mógł zwyciężyć. Mógł tylko dać się zabić.

Zaczęła się wyrywać, żeby wstać z krzesła. Myrnin przytrzymał ją i zmusił, żeby usiadła.

- Nie powiedział. - Czekaj.

- To moi przyjaciele!

- Czekaj!

Miał rację. Między Shane'em i Eve a Bishopem stanęła Amelie.

- Oni należą do mnie - powiedziała. - Oliver nie może ich nikomu podarować.

- Ten sam argument można wysunąć do każdego w tym mieście - powiedział Bishop. - Odmówisz mi wszelkich darów?

Uśmiechnęła się powoli.

- Tego nie powiedziałam. Uważaj, ojcze. Mówisz jak desperat.

Claire zobaczyła, że oczy Bishopa błysły czerwienią, a potem bielą.

Amelie się nie cofnęła. Lekko obróciła głowę w bok i skinęła Shane'owi i Eve. Shane szybko sprowadził Eve z podwyższenia na posadzkę sali bankietowej. François jakby otrzymał ciche polecenie od Bishopa, bo zszedł im z drogi.

Sam pomógł Michaelowi wstać i w parę sekund Michael znalazł się po drugiej stronie sali, dołączając do Shane'a i Eve schodzących z podwyższenia.

Sam poszedł za nim. Stworzyli niewielką grupkę na neutralnym gruncie, na samym środku przejścia między stolikami.

- Zaczyna się - powiedział Myrnin. - Jesteśmy w punkcie krytycznym. On wie, że przegrywa. Będzie musiał zacząć działać.

A John z Leeds powiedział spokojnym głosem:

- Pan Myrnin z Conwy.

Znów zaczęto obracać głowy w ich stronę. Myrnin wstał z krzesła i wyciągnął dłoń do Claire. Oczy miał jasne, nieco za jasne. Nieco zbyt szalone.

Jego uśmiech przestraszył ją i pomyślała, że chodzi nie tylko o makijaż.

- Gotowa? - spytał.

Wstała, podała mu rękę i poszła w stronę czegoś, do czego za nic w świecie nie chciałyby się zbliżyć.

ROZDZIAŁ 12

Wchodząc po schodkach, czuła się, jakby wstępowała na szubienicę. Amelie stała po jednej stronie i wpatrywała się w Myrnina. Ujął jej bladą, piękną dłoń i ucałował.

- Och, nie patrz z takim niepokojem, moja droga przyjaciółko - powiedział. - Czuję się naprawdę znakomicie.

- Nie - powiedziała Amelie. - Nieprawda. I poczujesz się znacznie gorzej. - Zwróciła się w stronę Bishopa. - Żałuję, ale pan Myrnie źle się czuje. Powinien stąd wyjść ze względu na zdrowie.

Wygląda zupełnie dobrze - odparł Bishop. - Pozwól mu podejść.

- Ty durniu - szepnęła Amelie do Myrnina, który wykonał piruet Pierrota i zakończył go idealnym ukłonem tancerza aż do podłogi. - Och, mój miły idioto. - Claire nie umiała stwierdzić, czy ona jest oburzona, zła czy smutna. Być może wszystkie trzy rzeczy naraz.

Bishop zdawał się rozbawiony.

- Ileż to już lat minęło? - powiedział. - I jak ci się wiodło, Myrnie?

- Tak dobrze, jak można było oczekiwać - odparł Myrnie.

- Pierrot. Jakie to dziwne... Uważam, że o wiele lepiej pasuje do ciebie Arlekin.

- Zawsze uważałem że Pierrot jest niebezpieczny - powiedział Myrnie. - Pod tą niewinnością po prostu musi się coś kryć.

Bishop się roześmiał.

- Tęskniłem za tobą, błaznie.

- Naprawdę? Dziwne/ Ja za tobą, panie, nie tęskniłem wcale.

Bishop z miejsca przestał się śmiać a Claire poczuła wielki strach.

- Ach, pamiętam już teraz czemu przestałeś być zabawy, Myrnie. Używasz szczeroci jak maczugi.

- Sądziłem, że raczej jak rapiera, panie.

Bishop znużył się już wymianą błyskotliwych uwag.

- Przysięgniesz?

- Jasne. - Po czym wyrecytował stek przekleństw. Zakończył, mówiąc: - Zaplute zidiociale stare jabłuszko, wandalski krętać, co profanuje psie truchła! - A Potem jeszcze kręcił się wokół własnej osi i złożył ukłon.~ Czy o to ci chodziło, panie?

Claire sapnęła, kiedy czyjeś zimne dłonie chwyciły ją za gardło. Ktoś ją pociągnął w tył. Trzymała ją Ysandre i teraz wampirzyca nachyliła się, żeby szepnąć:

- Tak, proszę, stawiaj opór. Straciłam twojego chłopaka, zanim go mogłam skosztować. Zadowolę się zamiast niego tobą.

Claire się nie wahała. Sięgnęła pod tunikę, wyjęła starą buteleczkę po perfumach, którą dał jej Myrnie i Wyjęła korek.

A potem wylała święconą wodę na głowę Ysandre.

Ysandre wrzasnęła tonem tak wysokim, że kryształki na stolikach zadźwięczały. Odsunęła się,

szarpiąc Sie za włosy, strząsając z siebie krople. Poleciały one na François , który właśnie do niej podbiegł. On też krzyknął. Tam, gdzie krople padały na ich skórę, woda ją wyżerała. Claire nie mogła oderwać wzroku, przerażona. Oberwało im się, rzeczywiście. I to mocno.

Myrnin roześmiał się niskim, gardłowym śmiechem i wyjął wąski sztylet, który miał u boku. Kiedy Bishop zbliżył się niego, ciął go, nadal się śmiejąc.

Zwarli się.

Zranił Bishopa w ramię, ale to było tylko płytkie skaleczenie. Claire widziała jednak rozdartą szatę wampira i cienką warstewkę krwi na ostrzu.

Bishop zdziwił się na tyle, że przystanął, by obejrzeć zniszczony kostium.

Śmiech Myrnina wznosił się coraz wyżej i wyżej i wampir znów zaczął się obracać wokół własnej osi, coraz szybciej.

- Myrnin! - wrzasnęła Claire. Cofała się przed Ysandre, oparzoną i wściekłą, a ta szła w jej kierunku. Potknęła się i przewróciła na plecy. - Myrnin, zrób coś!

Przestał wirować i spojrzał na zakrwawiony sztylet w swojej dłoni.

- Jak mówiłem wcześniej Samowi, trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać - powiedział. - Claire, już czas. - Przesłał jej dłonią pocałunek i przeskoczył stół.

A potem wybiegł, nadal się śmiejąc i wymachując trzymanym w ręku sztyletem.

Przez kilka sekund nikt się nie poruszył. Claire patrzyła na Ysandre, która wydawała się równie zaskoczona jak ona i obejrzała się na Bishopa.

A ten przesunął palcami po rozcięciu w szacie i zachichotał.

- Mój błazen - powiedział niemal z sympatią. - Szaleńcy śmieją się śmiechem bogów, nie sądzicie?

Usiadł na tronie z uśmiechem.

- Ysandre, zostaw to dziecko. Jestem dziś wieczorem skłonny zezwolić naszym przyjaciołom na te małe akty oporu.

- Ona mnie sparzyła! - warknęła Ysandre.

- Zagoi się. Nie piszcz mi tu jak skopany psiak. Masz to, na co sobie zasłużyłaś.

Amelie podeszła i pomogła Claire wstać na nogi.

- Dość tego - powiedziała. - Już się zabawiliś, ojczu. Zakończ to.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Czas na test, moje dziecko. Przysięgnij mi wierność i będzie po wszystkim.

- Jeśli przysięgnę ci wierność, nic się nigdy nie skończy - poprawiła go Amelie. - Nigdy nie składałam ci żadnej przysięgi. Naprawdę uważałeś, że to się może zmienić?

- Krwawa zdrajczyni - syknął. - Suka. Witasz mnie w swoim małym miasteczku? Pozwalasz mi chodzić jego ulicami i brać twoich poddanych? Pewnie się nie ośmielisz. Za dobrze mnie znasz.

- Na nic ci nie zezwalam. Nie przysięgnę ci lojalności. Nie dam ci nic, ojczu. - Wydawało się, że to niemożliwe, ale przy tych słowach Amelie w oczach Claire wyglądała jakoś... po ludzku. Była bezbronna, krucha i narażona na zniszczenie.

- Dasz mi jedną rzecz, jeśli chcesz zachować to, co tu zbudowałaś - powiedział. - Chcę moją książkę. Tą, którą mi ukradłaś, składając mnie do pospiesznie wykopanego grobu, córko.

Zamarła. Amelie, której nie sposób było zaskoczyć, tym razem wyglądała na zupełnie zbitą z tropu.

- Książkę.

- Myślisz, że potrzebne mi jest to twoje żałosne miasteczko? Twoi śmieszni poddani? - Bishop obrzucił pogardliwym spojrzeniem Claire, a potem resztę sali. - Chcę odzyskać moją własność. Oddaj mi ją, a odejdę. Co powiesz?

- Książka nie należy do ciebie - powiedziała Amelie.

- Wyjąłem jaz rąk martwego rywala - powiedział Bishop. - To ją czyni moją. Prawo podboju. - Przyjrzał jej się niespiesznie i chłodno. - Tak samo, jak ty odebrałaś ją mnie, o ile pamiętasz, tyle że ja nie byłem jeszcze wystarczająco martwy. Szkoda, że się nie upewniłaś, prawda?

Wszystko szło na opak. Myrnin uciekł, chociaż powinien był zostać, powinien był walczyć. Amelie nie mogła sobie poradzić z Bishopem bez wsparcia; sam tak powiedział.

A pozostałe wampiry stały z boku i pozwalały, żeby to się działo.

- Amelie - powiedział Bishop. - Zniszczę cię, jeśli mi odmówisz. Nie jesteś tego świadoma? Nie zdawałaś sobie z tego sprawy, od kiedy tu przyjechałem?

Claire podeszła i stanęła obok niej.

- Ona chce, żeby pan wyjechał - powiedziała. - Musi pan wyjechać. Natychmiast.

Bishop się roześmiał.

- Grozi mi mały, ujadający piesek. Co, zjesz mnie, kundelku?

- Nie - powiedział Sam Glass. Staął obok Amelie. - A w każdym razie nie bez pomocy.

Michael dołączył do niego, pokonując dzielący ich dystans jednym skokiem, a Shane i Eve stanęli na schodach.

Przez jedną pełną napięcia chwilę nic się nie działo, a potem inni ruszyli się z miejsc. Oliver. Monica. Charles i Miranda.

Tata Claire podszedł, wziął jej matkę za rękę i odprowadził ją na bok.

Nadchodzili kolejni.

Wampiry i ludzie z Morganville stawali obok siebie, tłoczyli się na podeście naprzeciwko Bishopa, Ysandre i François. Nie wszyscy, ale ponad połowa sali.

- Nie jesteś tu mile widziany - powiedział Oliver. - Panie Bishopie, to nasze miasto i nasi ludzie. Pora, żebyś stąd wyjechał.

- To rebelia - powiedział Bishop. - Jakie to odświeżająco nowoczesne.

Skinął głową Ysandre i François.

Ysandre udała, że rzuca się na Shane'a, a potem złapała Jasona Rossera i zatopiła kły w jego szyi.

Chaos. Sam i Michael uderzyli François, kiedy próbował ukąsić wrzeszczącą Jennifer, i Claire niemal natychmiast straciła ich z oczu. Bishop poderwał się i zaczął przepychać się z Oliverem.

Amelie złapała Ysandre za kark i odciągnęła ją od Jasona.

- To moja własność - rzuciła ostro i przytrzymała wrywającą się i syczącą Ysandre na odległość ramienia. - Chłopcze. Chłopcze! - Pochyliła się nad Jasonem, bladymi palcami dotykając jego twarzy:

Jason otworzył oczy. Płakał, uznała Claire, ale potem zobaczyła jego twarz i zorientowała się, że on jednak wcale nie płacze. On się śmiał.

- Frajerka - powiedział.

- Nie! - krzyknęła Claire, ale było już za późno.

Jason wyjął spomiędzy fałd mnisiego habitu kołek i pchnął nim Amelie w serce.

Wszystko się zatrzymało.

Amelie zatoczyła się w tył. Ten drewniany kołek w jej piersi wyglądał groteskowo, nierealnie,

dziwacznie.

Amelie była przecież niezniszczalna. Nie można jej było skrzywdzić.

Plama czerwieni wykwitła na białym materiale wokół kołka i zaczęła rosnać Claire w oczach.

Sam krzyknął. Porzucił François, widząc osuwającą się Amelie, i podtrzymał ją, delikatnie kładąc na drewnianych deskach podestu. Ten wyraz jego twarzy... Claire jeszcze nigdy nie widziała u nikogo takiego bólu.

Oliver uderzył Bishopa tak mocno, że starzec zatoczył się w tył na tron, a potem Oliver podbiegł do Amelie.

- Nie! - rzucił ostro, kiedy Sam ujął kołek, chcąc go wyciągnąć. - Ona jest stara. Wytrzyma, póki nie zabierzemy jej w bezpieczne miejsce. Zabierzcie ją!

A potem obrócił się w samą porę, bo Jason skoczył w jego stronę z kolejnym kołkiem. Oliver złapał go w powietrzu i złamał mu rękę bez najmniejszego wysiłku, odrzucając go na podest, gdzie zderzył się z François, który walczył z Michaelem w parterze.

- Mamo! Tato! Uciekajcie stąd! - wrzasnęła Claire. Tata ruchem ręki pokazał jej, żeby poszła z nimi, ale tylko pokręciła głową. Nie miała zamiaru zostawić przyjaciół. Nie w taki sposób, w jaki Myrnin zostawił ją.

Rodzice ruszyli w stronę drzwi. Inni też biegli, głównie ci, którzy nie zdecydowali się od początku stanąć przeciwko Bishopowi. Claire zobaczyła Marię Theresę wymykającą się bocznymi drzwiami i ciągnącą za ramię swojego ludzkiego towarzysza. Wydawał się przerażony i usiłował jej się wyrwać.

Z ciemności poza salą dobiegł ją krzyk.

Amelie zamrugła powiekami, chwyciła oddech i szepnęła coś do Sama. Podniósł oczy na Claire, a jego twarz była tak twarda i biała jak marmur.

- Końcówka rozgrywki - powiedział. - Bishop kontratakuje.

Claire spojrzała i zobaczyła, że niektórzy z wychodzących zaczęli rzucać się na towarzyszących im ludzi albo na inne wampiry. Bishop sprowadził tu własnych uśpionych agentów i było teraz tylko kwestią czasu, zanim przedrą się do podestu. Zapowiadała się ogólna walka.

Michael dołączył do nich. Ubranie miał podarte, a na jednym policzku długą, bezkrwawą szramę.

- Zabierz, ich stąd! - wrzasnął do niego Oliver. - Ale już!

Oliver rzucił się na Bishopa, zmuszając starego wampira do oparcia się o tron, a potem sięgnął w głąb swojego kostiumu stracha na wróble. Wyciągnął długi, ostry jak igła sztylet i przeszył nim tors Bishopa, przyszpilając go do drewna tronu.

Bishopa bardziej to rozżłościło, niż zraniło. Wyrwał się i wyciągnął sztylet z piersi, a potem uderzył Olivera tak mocno, że drugi wampir spadł z podestu i znikł w mroku sali bankietowej.

- Sam! - krzyknął Michael.

Sam porwał Amelie w ramiona i zeskoczył z podestu. Większość pozostałych ruszyła za nim. Michael złapał Eve i Shane'a, a Claire chciała zbiec za nimi po stopniach podestu.

Zatrzymała ją Ysandre.

- Nie tak szybko - powiedziała. Jej głos już nie brzmiał jak koci pomruk; to był warkot, niski i złowrogi. - Ciebie to ja chcę.

Claire zaczęła szukać jakiejś broni. Trafiła ręką na widelec, który spadł ze stołu, i wbiła go w ramię Ysandre. Wampirzyca wrzasnęła, wyrwała go i zacisnęła dłoń na gardle Claire, prawie ją kładąc na stół. Claire nie mogła złapać tchu. Uderzała wampirzycę po silnej jak żelazo dłoni i

próbowała się wyrwać, ale bezskutecznie.

Czuła, że umiera.

Oliver skoczył na Ysandre i zbił ją z nóg. Wpadła na Bishopa i oboje się przewrócili. Zanim jeszcze zdążyli upaść na podłogę, Oliver złapał Claire za nadgarstek i pociągnął po schodach. Nie nadała za nim, więc porwał ją na ręce, a potem świat wkoło nich zawirował.

Wampirza prędkość.

Wrzaski zlały się w jeden ogólny hałas, potem Claire usłyszała jakieś trzaski i syreny, a potem nic.

Dziwne, czuć się bezpiecznie w ramionach Olivera.

Kiedy się ocknęła, jej głowa spoczywała na kolanach Shane'a, a on gładził ją włosach. Usłyszała szmer głosów.

- Co... - Gardło ją bolało. Bardzo bolało. A jej głos brzmiał dziwnie.

- Hej - powiedział Shane i uśmiechnął się, spoglądając na nią. Coś było nie tak z tym uśmiechem.

- Nic nie mów. Jesteśmy w domu... Wszystko jest zabezpieczone. Nic się nie martw.

Niedowierzała mu. Słyszała odgłos syren samochodów przejeżdżających ulicą. Jakieś głosy w domu, i to liczne. Spróbowała usiąść, ale Shane ją powstrzymał. - Sam jest na górze z Amelie, w pokoju rekreacyjnym. - Shane tak nazywał osobistą kryjówkę Amelie.

- Miasto jest sparaliżowane. Bishop miał już na swojej liście płac wielu ludzi. Sporo było niespodzianek. Bynajmniej nie próżnował.

Bezgłośnie zapytała.

- Kto tu jest?

- Tak, no cóż, mamy dziś wieczorem trochę gości - odparł. - Nie mogli się dostać do siebie, więc schronili się tutaj. Są tu twoi rodzice.

I faktycznie byli, bo odsunęli Shane'a na bok. Mama płakała, głaszcząc Claire po twarzy. Tata zachowywał więcej stoicyzmu, ale jego twarz była zaczerwieniona, a szczęka mocno zaciśnięta.

- Jak się czujesz, mała? - spytał.

- Świetnie - szepnęła i wskazała na nich.

- My się czujemy znakomicie, kochanie - powiedziała jej matka i pocałowała ją w czoło. Nadal ubrana była w długą białą suknię, ale anielskie skrzydła miała zmięte i przekrzywione. - Kiedy Oliver cię tu przyniósł, myślałam... Myślałam, że jest za późno. Myślałam...

Myśleli, że zginęła. Claire poczuła się winna, chociaż przecież wcale nie chciała zemdleć.

- Nic mi nie jest - udało jej się powiedzieć. Próbowała przełknąć i przekonała się, że to nie był zły pomysł; to był pomysł fatalny. Zakaszła. To zabolowało jeszcze gorzej.

Żalotne.

- Oliver? - szepnęła. Tata skinął głową w stronę kogoś stojącego za kanapą, na której leżała.

- Rozmawia przez telefon - powiedział. - To dość energiczny gość, nieprawdaż?

Światła w domu zgasły i ludzie zaczęli krzyczeć. Niemal natychmiast pozapalały się latarki; Eve i Shane mieli je pod ręką, Michael również.

- Uspokójcie się - powiedział Michael. - Proszę wszystkich o spokój! Dom jest bezpieczny.

Nic nie jest bezpieczne przed Bishopem, chciała mu powiedzieć Claire. Ysandre i François już tu byli i jeśli zechcą, znów się tu dostaną. Czuła wokół siebie ciężkie, przytłaczające przygnębienie. Jeśli w tym domu były jakieś duchy - inne niż duch, którym był kiedyś Michael - to dzisiaj wyległy wszystkie, ściągnięte lękiem i gniewem.

- Hej - odezwała się Eve. Stała przy frontowych oknach i wyglądała na zewnątrz. - Tam coś się pali.

Obok przejechał wóz strażacki, a za nim sznur samochodów policyjnych. Służby miejskie mają trudną noc - pomyślała Claire na wpół przytomnie. Wstała mimo protestów matki.

Pokój trochę zawirował wkoło niej, ale potem znieruchomiał. Stała obok Eve, przy oknie. Eve otoczyła ją ramieniem i przytuliła, nie odrywając oczu od pożaru. Był spory, trzy przecznice dalej. Płomienie strzelały na kilka metrów w górę.

- Jak się czujesz? - spytała Eve.

Claire w milczeniu pokazała jej uniesiony kciuk i zobaczyła, że Eve się uśmiecha.

- Tak, zamieniłaś się tam w prawdziwego Spartakusa. Byłam z ciebie bardzo dumna, wiesz. Dopóki nie dałaś sobie skopać tyłka.

Claire próbowała wykrztusić z siebie oburzenie:

- Hej!

- No dobra, może to nie była twoja wina. - Eve znów ją uściskała. - Święcona woda. Fajny pomysł. Prawie mi zaimponowałaś.

- Czyj dom? - Claire udało się wykrztusić szeptem dwa słowa na raz. To już postęp. - Się pali?

- Chyba to dom Melville'ów - odparła Eve, próbując spojrzeć pod nieco innym kątem. - Cholera.

Widzę następne.

Niedobrze.

Dołączył do nich Michael.

- To część planu Bishopa - powiedział. - Tak mi się wydaje. Wywołać chaos. Zbić Amelie z tropu.

Claire mogła się założyć, że awaria prądu też stanowiła część tego planu.

- Ilu tu jest?

- W naszym domu? Ze trzydzieści osób. - Eve przewróciła oczami. - Połowa z nich to wampiry.

Super, nie? Po tym wszystkim.

Claire wytrzeszczyła na nią oczy.

- Trzydzieści?

Eve pokiwała głową.

- A co?

- To nas czyni niezłym celem.

- Ona ma rację - powiedział Michael. - Musimy być czujni.

Shane wcisnął się obok Claire. Nadal miał na sobie skórzane spodnie, ale włożył też swoją starą, zniszczoną koszulkę z Marilyn Mansonem, która wyglądała tak, jakby wyjął ją z kosza na brudy.

Było jej wszystko jedno. Shane objął ją i przez tę jedną chwilę czuła, że wszystko jest w porządku.

- Królik zabójca - powiedział do niej czule i pocałował ją. - A ten kostium to co?

- Arlekin - wychrypiała. - Myrnin... - Wróciło do niej wspomnienie tego, jak Myrnin się zachował. Jak prowokował Bishopa. Jak zostawił Amelie, żeby sobie z tym poradziła i ciekł. Ją też tam zostawił, na pewną śmierć.

- To był Myrnin? Ten szaleniec? Claire, jak ty mogłaś mu w ogóle zaufać? - Shane ujął jej twarz w dłonie. - On namówił cię na to, prawda?

Niezupełnie. Chciała wierzyć Myrninowi. Chciała wierzyć w tę niewinną, łagodną duszę, którą

czasem w nim dostrzegala, ale teraz nie byla pewna jej istnienia.

Albo, jeśli istniała, to być może jej lekarstwo ją zniszczyło.

- Nie mogłam... - Claire próbowała zebrać słowa, ale było jej za trudno, a oczy Shane'a były zbyt wyrozumiałe. Pocałował ją mimo wszystkich okoliczności, mimo obecności jej rodziców w tym samym pokoju, mimo że dom był pełen wampirów, a połowa Morganville znalazła się w niebezpieczeństwie, pomyślała, że mogłaby stać tu tak w jego ramionach przez całą noc i cały dzień.

- Ja wiem - mruknął z ciepłymi, wilgotnymi ustami przy jej ustach. - Wiem.

Prawie uwierzyła, że zrozumiał.

- Przepraszam, że wam przerywam - odezwał się Michael sucho zza pleców Claire - ale zdaje się, że musimy zrobić mały obchód okolicy.

- Niezły pomysł - powiedział Shane i odsunął się. - Skoro podpalają domy, żeby wywabić ludzi na ulicę. Pewnie łatwiej im ich w ten sposób wyłapać.

- Właśnie. - Michael podał mu łom. Shane zakręcił nim i wsadził go sobie pod ramię. - Jak powiedziała Claire, stanowią niezły cel. Tak jak wszystkie Domy Założycielki. Ja sprawdzę na tyłach, ty od frontu.

- Pomogę - zaproponowała Claire. Shane i Michael złapali ją pod ramiona i odprowadzili na kanapę, gdzie ją bez większych ceremonii posadzili. - Hej!

Shane zwrócił się do jej rodziców.

- Zadbajcie, żeby się stąd nie ruszała.

- Tak dokładnie zrobimy - powiedziała jej matka i usiadła obok Claire. - Serio, Claire, co ty sobie wyobrażasz? Tam jest niebezpiecznie!

Dokładnie to samo myślała Claire o Shanie. Ale wiedziała, że w obecnej formie nie na wiele im się przyda. Nie do tego celu w każdym razie.

- Łazienka. - Westchnęła. Jej rodzice wymienili spojrzenia.

Tata wzruszył ramionami.

- Pójdę z tobą - zaproponowała mama.

- Mamo, jestem już na tyle duża, żeby do łazienki chodzić sama. - Głos z chwili na chwilę miała coraz mocniejszy i tylko ze dwa razy zacięła się, wypowiadając to zdanie. Nadal jednak jej głos brzmiał, jakby codziennie wypalała paczkę papierosów.

Ale podobno tak! zachrypnięty głos jest seksowny, prawda?

Mama miała wątpliwości, ale została na kanapie. Popatrzyli po sobie z tatą i wzruszyli ramionami. Claire wyminęła grupkę obcych osób - wampirów o chłodnych, podejrzliwych oczach - i poszła na górę.

Na podeście schodów siedziała Miranda, chowając w dłoniach twarz obrzeżoną wężowatymi włosami.

- Nic ci nie jest? - zapytała Claire i przysiadła obok niej.

Miranda pokręciła głową.

- Mówiłam wam - powiedziała. - Krew. Ogień. Wszystko się kończy.

- A widzisz coś na nasz temat? Co z tym domem?

Miranda zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jestem zbyt zmęczona.

- Chodź - powiedziała Claire i pomogła Mirandzie wstać. - Mam tam łóżko. Ktoś może się w nim położyć.

Ułożyła dziewczynę, która natychmiast zaczęła zasypiać, a potem - zgodnie z obietnicą daną mamie i tacie - poszła do łazienki. Była tam kolejka. Potem mogła swobodnie zastanowić się, co dalej.

Przecież nie obiecywała, że z wróci łazienki.

Drogę tam, gdzie chciała iść, blokował jeden z ochroniarzy Amelie - ten, który przy poprzedniej wizycie skinął jej głową. Miał nieco mniej nieprzystępną twarz niż pozostali służący Amelie, ale i tak wzbudzał przerażenie. Claire popatrzyła na niego, doskonale świadoma, że siniaki na jej szyi zaczęły już przybierać fioletowy odcień.

- Mogę tam wejść? - spytała. Przez długą chwilę ochroniarz przyglądał się jej, ale potem skinął głową i odstąpił na bok.

Zapukał. Ukryte drzwi otworzyły się i Claire wślizgnęła się do środka, zamykając je za sobą.

U stóp schodów stał kolejny wampir ochroniarz, wcale nie taki przyjazny, ale po krótkiej, prowadzonej szeptem rozmowie u szczytu schodów, przepuścił ją na górę.

Na górze była tylko Amelie, leżąca na sofie w zamrożonym wodospadzie białego jedwabiu, Sam i Oliver.

Kolek nadal tkwił w jej piersi, a oczy miała szeroko otwarte i puste.

Gdy tylko weszła na górę, Oliver warknął do niej:

- Odejdź stąd!

Zawróciłaby, ale Sam szybko się wtrącił.

- Nie - powiedział. - Zasłużyła na to. Ona pierwsza stanęła u boku Amelie, nie ty. Nawet nie ja.

Oliver chyba się zirytował, ale spojrzał na nieruchomą, bladą twarz Amelie.

Nachylił się bardzo nisko, patrząc w jej otwarte oczy bez ruchu. Sekundy mijały, Sam czekał.

- Teraz - szepnął Oliver.

Sam złapał za kolek i pociągnął jednym szybkim ruchem. Ciało Amelie wygięło się spazmatycznie, a usta szeroko otworzyły. W świetle zabłyśły ostre zęby.

Nie wydała żadnego dźwięku.

Sam miał udęconą minę. Oliver coś szeptał, ale zbyt cicho, żeby Claire mogła wychwycić słowa, pochylając głowę tak nisko, że prawie stykała się z głową Amelie. Kiedy Sam wyciągnął ręce w jej stronę, Oliver uniósł wzrok i pokręcił głową. Sam zamarł.

- Potrzyj ją - powiedział Oliver i puścił jej twarz. Sam szybko zajął jego miejsce. Oliver podciągnął rękaw szarej bluzy, wziął głęboki oddech i podsunął przedramię pod usta Amelie.

Claire drgnęła, kiedy Amelie ugryzła. Oliver nie drgnął. Sam patrzył na przemian to na Amelie, to na niego, jakby sprawdzając coś, czego Claire do końca nie pojmowała, a potem puścił Amelie i złapał Olivera za rękę, żeby go od niej oderwać.

Oliver zatoczył się, przysiadł i schował twarz w dłoniach. Z otwartych ran na jego ręce krew sączyła się kroplami, plamiąc podłogę. Potem krople padały wolniej, aż ustały, a rana się zagoiła.

Amelie zamrugnęła i spojrzała w stronę Claire. Wyglądałaby zupełnie jak martwa, gdyby nie to, że się poruszała; jej oczy nadal patrzyły nieruchomo, źrenice były rozszerzone, a skóra przybrała dziwny, błękitnawy odcień.

- Ta dziewczyna - szepnęła. - Musi iść. Głód.

Sam pokiwał głową i obejrzał się przez ramię na Claire.

- Idź i przynieś jej trochę krwi - powiedział. - W lodówce powinna być krew.

A Claire zdała sobie sprawę, że krew się im skończyła.

- Cholera - sapnął Shane, kiedy razem przeglądali zawartość lodówki. Na półkach były resztki chili, jakiś makaron, hamburgery. Wystarczająco dużo dla nich na jakieś dwa dni. Ale na pewno nie dosyć dla wszystkich znajdujących się w domu, nawet licząc tylko ludzi. - Myślisz to samo, co ja?

- Myślę, że mamy tu z piętnaście wampirów i brak krwi - powiedziała Claire. - O to chodziło?

- Nie, myślałem, że skończyły nam się chipsy. Oczywiście, że o to chodziło. - Shane poprzesuwał butelki z sosami, po raz trzeci bez skutku szukając jakiejś zapomnianej butelki z krwią. - Powiedziałem: cholera?

- Tak, parę razy. Nie powinieneś wracać przed dom?

- Zamieniłem się na warcie z jednym wampirem. Lepiej, żeby to one patrolowały teren po ciemku. Poza tym im mniej ich się teraz kręci po domu...

- Tym lepiej - dokończyła. - Zgadza się. Ale Sam powiedział, że Amelie musi zaspokoić głód, czyli napić się krwi.

Zresztą nie ona jedna. A co z Centrum Krwiodawstwa?

- Nie dostarczają do domu - powiedział Shane, a potem strzelił palcami. - Zaraz. Zaraz. Dowożą.

- Co?

Złapał telefon z uchwyty na ścianie, ale potem go odwiesił.

- Nie działa.

Claire wyjęła swoją komórkę.

- Mam zasięg. - Podała mu ją i patrzyła, jak wystukuje jakiś numer. - Dokąd dzwonisz?

- Do Pizza Hut.

- Wariat.

Uniósł palec.

- Hej, Richard? - Nie, jak zauważyła Claire, Dick. Obecna sytuacja awansowała go do osobnika zasługującego na pełne imię. - Słuchaj, stary, mamy tu problem w Domu Glassów.

Claire mogła sobie wyobrazić drugą stronę tej rozmowy i reakcję Richarda Morrella niemal co do słowa. „A tobie się wydaje, że co ja tu mam, jak całe miasto zwariowało?”

- Skończyła nam się krew - powiedział Shane. - Amelie jest ranna. Sam sobie przekalkuluj. Nie zaszkodziłoby, gdyby dzielna policja z Morganville zabawiła się w domowego dostawcę.

Cokolwiek powiedział Richard, nie było to stwierdzenie pełne entuzjazmu.

- Żartujesz - powiedział Shane zupełnie innym, zmartwionym tonem. - Nie żartujesz. O Boże. - Na chwilę umilkł. - Stary, rozumiem. Rozumiem. Dobra, jasne. Trzymaj się.

Pomyślała, że tak grzecznie Richard i Shane jeszcze nigdy nie rozmawiali. Niemal przyjaźnie.

Shane zamknął klapkę telefonu i rzucił go Claire z wystudiowanym spokojem na twarzy.

- Co jest?

- Centrum Krwiodawstwa się pali - powiedział. - I co teraz myślisz o głodzie?

Krwiobus przystanął przed ich domem dokładnie kwadrans później - błyszczący, czarny i groźny. Pojawił się w otoczeniu obstawy złożonej z wozów policyjnych. Policjanci w kamizelkach kuloodpornych pozajmowali posterunki u obu wylotów ulicy.

Claire spojrzała na zegarek. Dochodziła prawie czwarta rano. Do świtu mieli jeszcze parę godzin, chociaż przy pożarach trudno byłoby odróżnić noc od dnia. Straż pożarna Morganville nie dawała sobie rady. Seryjni podpalacze zatrudnieni przez Bishopa dzielnie wywiązywali się ze swoich zadań.

Claire spojrzała na zegarek. Dochodziła prawie czwarta rano. Do świtu mieli jeszcze parę godzin, chociaż przy pożarach trudno byłoby odróżnić noc od dnia. Straż pożarna Morganville nie dawała sobie rady. Seryjni podpalacze zatrudnieni przez Bishopa dzielnie wywiązywali się ze swoich zadań.

Claire spojrzała na zegarek. Dochodziła prawie czwarta rano. Do świtu mieli jeszcze parę godzin, chociaż przy pożarach trudno byłoby odróżnić noc od dnia. Straż pożarna Morganville nie dawała sobie rady. Seryjni podpalacze zatrudnieni przez Bishopa dzielnie wywiązywali się ze swoich zadań.

Claire zastanowiła się, co robi teraz Bishop. Pewnie czeka. Nic innego mu nie pozostało. Morganville popadło w chaos po atakach na węzły komunikacyjne, Centrum Krwiodawstwa i - zgodnie z plotką przez kogoś jej powtórzoną - szpital. Jak na razie uniwersytet był chyba bezpieczny. W kampusie mieli zapasy krwi, ale trudno byłoby się tam dostać w tym zamieszaniu.

Michael wyszedł przed dom na spotkanie z wampirem prowadzącym krwiobus. Wrócił, kręcąc głową. - Nic nie zostało - powiedział. - Dzisiejsze zapasy już odwieźli do Centrum. Nie mają żadnych więcej. Powiedział, że zapasy szpitalne też zostały zniszczone.

- Jak nie zaczniemy chodzić od drzwi do drzwi i prosić o butelki i torebki, to nic nie będziemy mieli - dorzucił wampir o ponurej twarzy. - A mówiłem Radzie, że musimy rozbudować system zapasów.

- A co z zapasami na uniwersytecie?

- Wystarczą na parę dni - powiedział kierowca krwiobusu. - O żadnych innych nie wiem.

- Ja wiem - powiedziała Claire i z trudem przełknęła ślinę, kiedy na nią popatrzyli. - Ale musiałabym dostać zezwolenie od Amelie, żeby was tam zabrać.

- Amelie nie jest w stanie wydawać żadnych zezwoleń. Może Oliver?

Claire pokręciła głową.

- To musi być Amelie. Przykro mi.

Kierowca krwiobusu wydawał się zmęczony i mocno zdenerwowany. Ścisnął teraz palcami grzbiet nosa.

- Dobrze - powiedział. - Ale zanim ona będzie mogła wydać zgodę, musi się najeść. Potrzebuję dawców.

Eve, jak na siebie dziwnie milcząca, wysunęła się naprzód.

- Ja oddam - powiedziała.

- Ja też. - To była Monica Morrell. Zdjęła perukę Marii Antoniny i położyła ją na ziemi. Claire przypomniała sobie, co mówił Richard Morrell o burmistrzu, który chciał zwrócić ten kostium i odzyskać pieniądze, i o mały włos nie parsknęła śmiechem. Plan burmistrza właśnie trafiał szlag. - Gina! Jennifer!

Chodźcie tu! I przyprowadźcie, kogo się da!

Monica, równie władcza jak francuska królowa, raz dla odmiany wykorzystwała umiejętność dowodzenia i komenderowania ludźmi w dobrej sprawie. Po dziesięciu minutach mieli całą kolejkę chętnych do oddania krwi, a wszystkie cztery stanowiska krwiobusu były zajęte.

Claire wśliznęła się do domu. Wszystkie wampiry wyglądały przez okna, wypatrując jakichś niespodzianek. Większość ludzi była na zewnątrz i oddawała krew.

Przyjrzała się fragmentowi gołej ściany w salonie, obok stołu. Muszę to zrobić szybko.

Ściana zamieniła się w mgłę, a Claire przeszła przez nią i znikła niemal, jeszcze zanim portal na dobre się otworzył.

Znalazła się w więzieniu, sięgnęła pod bluzę kostiumu Arlekina i wyjęła zaostriżony krzyż, który dostała od Myrnina. Używaj go tylko w samoobronie.

Miała zamiar się do tego dostosować.

Cela Myrnina była pusta, telewizor włączony i nastawiony na jakiś program rozrywkowy. Claire zajrzała do więziennej lodówki. Były tam niezłe zapasy, gdyby udało jej się przetransportować je, gdzie trzeba.

Myrnin mógł być wszędzie.

Nie, pomyślała. Myrnin może być w dwudziestu innych miejscach w Morganville, o ile używa tych portali.

Podeszła z powrotem do portalu, skoncentrowała się, otworzyła przejście do laboratorium i weszła.

I tam go znalazła.

Pracował gorączkowo, pozapalał wszystkie możliwe lampy i świece w całym pomieszczeniu. Nie przebrał się z kostiumu, tyle że zgubił gdzieś stożkowy kapelusz. Teraz, na oczach Claire, przysunął jeden zbyt długi rękaw za blisko świecy i kostium zajął mu się ogniem.

- *Cachiad!* - zaklął, oddarł rękaw i cisnął go na ziemię, żeby zdeptać płomień. Zirytowany, zerwał z siebie całą szeroką tunikę i ją też rzucił na podłogę.

Podniósł oczy, na wpół nagi, oszalały, i zobaczył, że Claire mu się przygląda.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło, a potem Myrnin powiedział:

- To nie tak, jak myślisz.

Claire weszła do środka. Zatrzasnęła drzwi i domknęła zasuwę.

- Jeśli nie chciałeś, żeby ktoś tu za tobą wszedł, trzeba było się zamknąć.

- Nie mam na to czasu, i ty też nie. Chcesz mi pomóc?

- Już ci nie będę pomagała! - krzyknęła. Zmęczony głos załamał się wpół zdania jak stłuczone szkło i usłyszała, że skrzeczy w ślepej furii. - Uciekłeś! Zostawiłeś nas wszystkich na śmierć!

Myrnin się skrzywił. Odwrócił wzrok, popatrzył na to, co robił na laboratoryjnym stole. Zobaczyła, że przygotowywał zestaw próbek mikroskopowych.

- Miałem swoje powody - powiedział. - To długa rozgrywka, Claire. Amelie zrozumie.

- Amelie dostała kołkiem w serce - powiedziała.

Powoli uniósł głowę.

- Co takiego?

- Bishop przekupił jej partnera, Jasona. Jason przebił ją kołkiem.

- Nie. - Ledwie słyszalne słowo. Myrnin zamknął oczy. - Nie, to niemożliwe. Ona wiedziała...

Mówiłem jej...

- Zostawiłeś ją na śmierć!

Pod Myrninem ugięły się nogi. Opadł na kolana i ukrył twarz w dłoniach, pogrążony w milczącym żalu.

Claire mocniej chwyciła krzyż i trzymając go u boku, podeszła do niego. Nie poruszył się.

- Ona żyje? - spytał.

- Nie wiem. Może.

- Zatem to moja wina. To się nie powinno było zdarzyć.

- A reszta powinna była?

- Długa rozgrywka - szepnął Myrnin. - Nie zrozumiesz.

W kącie, gdzie zwykle Myrnin czytał, stała rozłożona szachownica. Jakąś grę przerwano wpół ataku. Claire popatrzyła na planszę i przez moment widziała oczyma wyobraźni Amelie, siedzącą tam z Myrninem i przesuwającą figury swoimi chłodnymi, białymi palcami.

- Ona wiedziała - powiedziała. - Pomogła ci. Prawda?

Myrnin wstał, a Claire uniosła między nimi krzyż. Myrnin nawet na niego nie spojrzał. Przysunęła go bliżej. Może to kwestia odległości?

Myrnin położył dłoń na jej dłoni i odebrał jej krzyż. Trzymał go gołą ręką.

Żadnego syku. Żadnej reakcji.

- Krzyże nie działają - powiedział. - Wszyscy udajemy, że działają, ale tak nie jest.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Dlaczego? - No i super. Jej ostatnie słowa to będą, jak zwykle, pytania.

To powstrzymuje ludzi przed szukaniem czegoś, co nam faktycznie zaszkodzi. - Myrnin uniósł brwi, ale jego ciemne oczy były smutne i ostrożne. - Claire, ja tam wcale nie miałem zostawać. Miałem tylko rozproszyć ich uwagę, zdobyć próbkę i uciec.

- Próbkę.

Wskazał na laboratoryjny stół i na to, czym się zajmował. Claire zobaczyła tam sztylet o srebrzystym połysku, ten, który wziął na ucztę - teraz już czysty, bez żadnych śladów krwi.

Ale krew starannie przeniesiono na laboratoryjne szkiełka leżące szeregiem.

- Krew Bishopa?

Myrnin pokiwał głową.

- Nigdy nie udało nam się zdobyć próbki krwi żadnego wampira mieszkającego poza Morganville. Popatrz.

Claire mu nie ufała. Cofnął się dość daleko od stołu i wskazał mikroskop z przeproszającym ukłonem.

- Mogę to potrzymać? - spytała i porwała ze stołu nóż.

- O ile nie będziesz nim celowała we mnie - odparł. Sztylet w dłoni nieco ją uspokoił. Jednak sporo czasu jej zajęło skupienie wzroku na próbce pod mikroskopem, żeby ją porządnie obejrzeć, zamiast ciągle sprawdzać, gdzie stoi Myrnin.

Kiedy obejrzała próbki, natychmiast dostrzegła różnicę. Komórki krwi Bishopa były - jak na wampira - zdrowe. Odsunęła się i popatrzyła na Myrnina.

- On nie jest zainfekowany.

- Jest jeszcze lepiej - powiedział Myrnin i skinął głową w stronę rzędu próbek. - Zerknij na numer osiem.

Zamieniła próbki.

- Nie widzę żadnej różnicy.

- Właśnie - powiedział. - A to moja krew, zmieszana z krwią Bishopa. I popatrz na siódmkę. Moja krew bez domieszek.

Była koszmarna. Jeszcze gorsza niż kiedykolwiek. Cokolwiek to serum wyczyniało z Myrninem, zabijało go. Jeszcze raz sprawdziła próbkę numer osiem. I siedem.

- On stanowi lek - powiedziała.

- Teraz rozumiesz - stwierdził Myrnin - dlaczego gotów byłem zaryzykować wszystko i wszystkich, żeby to sprawdzić.

Po kolejnej godzinie Myrnin znów poczuł się gorzej. I tak trwało to dłużej, niż oczekiwała Claire po obejrzeniu pod mikroskopem próbek. Kiedy zaczął się męczyć i przekręcać słowa, otworzyła drzwi celi i zabrała go do niej z powrotem.

- Cholera. - Westchnęła, przypominając sobie wyłamany zamek. - Musimy cię przenieść.

Trochę to potrwało, chociaż złapała tylko rzeczy, które Myrnin wskazał jako najniezbędniejsze - ubrania, koce, dywanik, książki. Zanim przeniosła wszystko do sąsiedniej, pustej celi i wymieniła starą, brudną prycę na czystą kozetkę, Myrnin siedział już w kącie, skulony w kłębek. Powoli kołysał się w przód i w tył.

Podeszła do niego ostrożnie.

- Już gotowe - powiedziała. - Chodź. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Myrnin podniósł wzrok i nie mogła się zorientować, czy ją rozumie, ale z trudem dźwignął się i machnięciem drżącej ręki kazał jej zejść sobie z drogi.

Zamknął drzwi celi i sprawdził zamek, a potem rzucił się na posłanie.

- Amelie - powiedział. - Zajmijcie się Amelie.

- Tak zrobimy - obiecała Claire. Podała mu paczkę z krwią. Nie rzuciła jej, ale mu ją podała.

- Przepraszam cię. Nie rozumiałam.

Jego skinienie głową przypominało konwulsyjny odruch. Krew przyciągała jego wzrok, ale zmusił się, żeby znów spojrzeć jej w twarz.

- Długa rozgrywka - powiedział. - Wykorzystaj to, czego chce Bishop. Pozwól mu myśleć, że wygrywa. Graj na czas.

Sprowadź doktora.

- Doktora Millsa?

- Potrzebuję pomocy.

- Jakoś go tu ściągnę. - Claire nie chciała zostawiać Myrnina, ale miał rację. Były rzeczy, które należało zrobić. - Nic ci nie będzie?

Uśmiech Myrnina był znów smutny, ale piękny.

- Nie - powiedział cicho. - Dziękuję ci za zaufanie. Dziękuję za to, że wierzyłaś.

Nie wierzyła. Ale teraz już uwierzyła.

A kiedy się odwracała, dosłyszała jego szept:

- Bardzo mi przykro, dziecko. Tak bardzo mi przykro, że cię zostawiłem.

Udała, że nie słyszy.

ROZDZIAŁ 13

Teraz, kiedy w Morganville przerwano dostawę prądu, portale zrobiły się mylące. Większość miejsc była zupełnie ciemna i, jakby się Claire nie koncentrowała, trzech punktów docelowych zupełnie nie mogła przywołać.

Co oznaczało, jak się domyślała, że przestały istnieć.

Skupiła się na obrazie domu, ale znów zobaczyła ciemność. Usłyszała jednak rozmawiających ludzi, a potem dostrzegła błysk zapalanej świecy.

Twarz Eve oświetloną jej blaskiem.

Dom.

Szykowała się już, żeby przejść na drugą stronę, kiedy coś uderzyło ją w tył, ciche i ciężkie. Straciła kontrolę nad portalem, potykając się, lecąc naprzód i krzycząc. Usłyszała głos Myrnina, gdzieś daleko za sobą. Zawołał:

- Claire? Claire, co się dzieje?

Myślała, że to jeden z mieszkańców więzienia, ale potem poczuła, że jakaś dłoń mocno ją chwyta za włosy, a czyjeś usta muskają jej szyję.

Usłyszała kpiący śmiech Bishopa.

- Dziękuję - powiedział. - Za doprowadzenie mnie do mojego błazna.

Wrzucił ją w portal.

Uderzyła o posadzkę po drugiej stronie i przewróciła się, a potem poderwała się i rzuciła na ścianę. Nie otworzyła się przed nią. Zaczęła walić o nią pięściami.

Nic.

Claire obróciła się, bo to miejsce niczym nie przypominało domu. Ciemność i kompletna cisza.

- Halo? - Żadnej odpowiedzi. - Shane? Mama? Nie była w Domu Glassów. Bishop zmienił punkt docelowy, kiedy ją przerzucił przez portal, i nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Prawie płacząc, po omacku zaczęła obchodzić pomieszczenie. Trafiała palcami na miękki materiał i pociągnęła. Zasłona, pomyślała. Szarpnęła za nią i dostrzegła promień światła zza okna. Pomarańczową poświatę.

Claire odsłoniła okno i wyjrzała na płonące Morganville. Dało jej to dość światła, żeby zobaczyć resztę wnętrza, w którym się znalazła. Z wyglądu było takie samo jak salon w Domu Glassów, więc musiał to być któryś z Domów Założycielki... Zatem, jeden z tych trzynastu. Ale który? Nie Babuni Day; była w tamtym domu w środku, był zagracony meblami. W tym piętrzyły się pudła...

Claire dostrzegła zarys kanapy. Podeszła do niej i dłonią pogładziła miękką krzywizną oparcia. W miejscu, gdzie łączyło się z tylną częścią obicia, wymacała sztywniejszy fragment tkaniny. To tam dwa lata temu wylała słodki napój, ale nigdy nie udało się do końca wywabić lepkiej plamy.

Na niektórych stojących w salonie pudłach widniał napis: „Claire”.

To był nowy dom mamy i taty.

Claire wyobraziła sobie w myślach jego plan. Ten dom wychodził na północny wschód, więc

jeśli pójdzie do odpowiednika swojej sypialni, powinna móc spojrzeć w stronę Domu Glassów. Nie była pewna, co jej to da, poza tym, że lepiej się zorientuje, jakie ma szansę na dotarcie z powrotem do domu.

Ale najpierw musiała go zobaczyć. Żeby wiedzieć, że jej przyjaciele i rodzina są bezpieczni.

W tamtej stronie płonął jakiś dom, ale to był ten sam, który płonął już wcześniej. Dom Melville'ów. Claire nie mogła wypatrzeć niczego za tą pożogą, poza kilkoma słabo oświetlonymi oknami.

Pomyślała, że nadal są tam bezpieczni.

Jakiś wóz policyjny jechał prędko w stronę pożaru, na migających światłach, i Claire z irytacją uderzyła się w czoło. Idiotka, mruknęła. Nie miała w kostiumie żadnych kieszeni, żeby schować komórkę, wsadziła ją więc pod kapelusz.

Dzięki elastycznej gumce, ten głupi kapelusik matadora nadal miała na głowie.

Claire odetchnęła z ulgą, wyciągając telefon z dziury w podszewce kapelusza i wybrała numer Richarda Morrella.

- Potrzebuję transportu.

Richard był w połowie robionej jej przez komórkę awantury w związku z tym, że nie jest jej taksówkarzem, a utrzymanie działania miejskich służb porządkowych jest bardzo ważne, kiedy z piskiem opon zatrzymał samochód tuż pod domem. Claire zeskoczyła ze stopni werandy domu rodziców i pobiegła do samochodu, a Richard szeroko otworzył dla niej drzwi.

Wskoczyła do środka, zatrzasnęła drzwi i zamknęła ich zamek. Richard przyjrzał jej się od stóp do głów. Już nie był taki wyprasowany i idealny; był poplamiony sadzami, zmęczony i rozczochrany, ale i tak jeszcze nigdy widok żadnego człowieka nie sprawił jej takiej przyjemności.

- Kim niby masz być, u licha? - spytał.

- Arlekinem.

- To ten wredny typ od Batmana?

- Myślałam, że pan się spieszy.

Richard docisnął pedał gazu i samochód ruszył z piskiem opon.

- Zapnij się - powiedział nieobecny tonem. Zapięła pas bezpieczeństwa. - No i? Udany miałas wieczór?

- Kapitalny - odparła. - A pan?

- Fantastyczny. - Szarpnęła kierownicą. Kiedy skręcał w prawo, samochód o mało nie wpadł w poślizg. - W tej chwili w elektrowni siedzą dwa wampiry z drużyny Amelie i nie zgadzają się włączyć świateł. A trzy inne kazały nam stać i patrzeć, jak płonęło Centrum Krwiodawstwa. Masz jakieś pojęcie, co tu się dzieje?

- Gra na zwłokę - powiedziała Claire. Spojrzał na nią. - Nie, właściwie, to nie wiem. Ale w szachach tworzy się otwarcia takie, żeby zmusić przeciwnika do popełnienia fałszywego ruchu.

- Szachy - powtórzył Richard z niesmakiem. - Ja mówię o ludzkich losach. Dziecko, zaczynasz mnie przerażać.

- Samą siebie przerażam - powiedziała Claire. Wcale nie czuła się dzieckiem. Czuła się tak, jakby miała z milion lat, i była bardzo zmęczona. - Proszę mnie tylko zawieźć do domu.

Bo będzie musiała powiedzieć Amelie, że właśnie zostawiła Myrnina, samego i zdanego na łaskę Bishopa.

Amelie próbowała usiąść, kiedy pojawiła się Claire, eskortowana przez Richarda Morrella, na

którego natychmiast rzuciła się siostra i ojciec, zasypując go uściskami i prośbami o informacje. Amelie nie wyglądała dobrze, ale przynajmniej była żywa.

W pewnym sensie.

Claire nie miała dla niej żadnego współczucia.

- Myrnnin - powiedziała. - Wykorzystałaś go.

Sam, siedzący na oparciu fotela Amelie, spojrzał ostro.

- Przestań. Jest bardzo zmęczona.

- Wszyscy mamy swoje problemy. - Claire odtrąciła też dłoń Michaela. - Krew Bishopa jest lekarstwem. Mieliście z Myrnninem rację.

Wyraz twarzy Amelie się nie zmienił. Nadal była chłodna, wyniosła, nieosiągalna.

I nagle Claire zapragnęła jakoś ją zranić. I to mocno. Więc to zrobiła.

- Bishop tam jest - powiedziała. - Ma Myrnnina.

Amelie spojrzała na nią i nagle cała wściekłość opuściła Claire.

- Wiem - powiedziała Amelie. - Czuję to. Wiedzieliśmy, że trochę ryzykujemy, wykorzystując Myrnnina jako figuranta, ale coś trzeba było zrobić.

- Nie możesz go tam zostawić. Nie możesz.

Amelie westchnęła.

- Owszem - zgodziła się. - Nie mogę. Nadal bardzo Myrnnina potrzebuję. Jest o wiele za blisko początku gry, żeby go poświęcić.

Claire z trudem przełknęła ślinę.

- Czy my w ogóle coś dla ciebie znaczymy? Ktokolwiek z nas?

Amelie rozejrzała się po pokoju. Po wszystkich ludziach noszących fioletowe elastyczne opaski na rękach - znak, że oddali krew, żeby ją ratować. I po wampirach czekających na jej polecenia.

- Znaczący dla mnie wszystko - powiedziała. - Przetrwanie mojej rasy i waszej jest wszystkim, czego kiedykolwiek chciałam, Claire. Dlatego przyjechałam tutaj. Tylko ten cel mi przyświecał w pracy. - Jej oczy pochłodziły i znów nieco przypominała dawną Amelie. - Poświęciłabym dla tego celu Myrnnina, Olivera, Sama. Nawet samą siebie. Ale to nie wystarczy.

Wszyscy obecni milczeli. Shane stanął obok Claire, była też świadoma, że Michael i Eve stają tuż za nią. Ale Amelie patrzyła tylko na nią.

- Co ty poświęcisz, Claire? - spytała. - Żeby zwyciężyć?

- To nie jest gra - powiedziała Claire.

- Prawda. To wojna. Wszyscy musimy walczyć o życie.

Claire wzięła swoich przyjaciół za ręce.

- Więc powiedz nam, co zrobić.

Amelie przez chwilę milczała, a potem wstała. Claire pomyślała, że tylko ci, którzy ją znali, naprawdę dobrze znali, wiedzieli, ile ją to musiało kosztować.

- Musimy rozdzielić nasze siły - powiedziała. - Nie wolno nam stracić Domów Założycielki, krwiobusu, uniwersytetu i Common Grounds. Utrzymamy je. Tym, którzy opowiedzieli się za Bishopem, przyznano prawo wolności polowania. Ci z nas, którzy mają dość siły, odmówią im tego prawa. Ci, którzy mogą stać się ofiarami, zostaną wyposażeni w broń dla własnej ochrony. To nie jest kwestia wolnego wyboru! Wszyscy ludzie dostaną broń i nauczą się, jak atakować wampira.

- Od tego nie ma odwrotu - powiedział Oliver. Głos miał obojętny, ale wyraz twarzy nie. - Dajesz im zbyt wiele.

- Daję im równość - powiedziała Amelie. - Akurat teraz chciałbyś się ze mną na ten temat spierać?

Oliver przez jedną pełną napięcia chwilę milczał, a potem pokręcił głową.

- Więc idźcie - powiedziała Amelie. - Oliverze, Eve, wy pójdziecie do Common Grounds i utrzymacie kawiarnię. Samie, wybierz obrońców dla każdego Domu Założycielki. Przynajmniej dwa wampiry i dwoje ludzi na dom. Michaelu, Richardzie - wy pójdziecie na uniwersytet. Skontaktuję się z rektorem, otrzymacie wszelką konieczną pomoc.

Przeniosła spojrzenie na Claire.

Ty zostaniesz ze mną - powiedziała. - Pójdziemy po Myrnina.

- Tam jest Bishop - przypomniała jej Claire.

- Jestem tego jak najbardziej świadoma. Zadbamy o środki ostrożności.

Shane odchrząknął.

- Nigdzie nie pójdziecie beze mnie.

- Obawiam się, że jednak tak - powiedziała Amelie. - Shanie Collins, dla ciebie mam zadanie specjalne.

- Chyba mi się nie spodoba, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Tak mi się wydawało - dokończył Shane pod nosem.

- Obejmiesz krwiobus - powiedziała Amelie. - I jeszcze jedna sprawa.

- Jakby krwiobus nie wystarczył?

Amelie sięgnęła do kieszeni wyszywanych kryształkami szat i wyjęła małą, oprawną w skórę książeczkę.

Wyglądała naprawdę bardzo znajomo. To była ta książka, przez którą już wcześniej miewali kłopoty - książka, której pragnął Bishop.

- Zaopiekujesz się nią. - Podała mu książkę.

Wziął ją, a wtedy do Claire dotarło, co właśnie zrobiła Amelie.

Wystawiała Shane'a jako przynętę.